

PRZEKŁAD – **Red-Room**



Savannah Dupree

ROZDZIAŁ 1



UNIWERSTET BOSTOŃSKI

PAŹDZIERNIK 1974.

Savannah Dupree obróciła srebrną urnę w okrytych rękawiczkami dłoniach, studiując jej misterny grawerunek, ukryty pod brudno -szarym nalotem, który zmatowił to dwustuletnie dzieło sztuki. Kwiecisty motyw wytłoczony na polerowanym srebrze wskazywał na styl wczesnego Rokoko, panujący od początku do połowy siedemnastego wieku, mimo to ten wzór był dość konserwatywny, dużo mniej zdobny niż większość przykładów opublikowanych w materiałach źródłowych, które leżały pootwierane przed nią na stole laboratoryjnym.

Zsuwając z dłoni jedną z miękkich, białych, bawełnianych rękawiczek, których zadaniem było chronienie urny przed tłustymi odciskami palców podczas oględzin, Savannah sięgnęła po jedną z książek. Przerzuciła kilka stron przedstawiających fotografie dzieł sztuki, pucharów, półmisek i tabakier, pochodzących z Włoch, Anglii i Francji, porównując ich bardziej skomplikowane zdobienia do tego z urny, którą próbowała skatalogować.

Ona i trzech innych studentów pierwszego roku historii sztuki dzielących z nią tą salę w archiwum uniwersytetu, zostali starannie wyselekcjonowani przez Profesora Keatona, by mogli zarobić dodatkowe punkty, poprzez pomoc w katalogowaniu i analizowaniu mebli i wyposażenia rezydencji w stylu kolonialnym, niedawno

przekazanej uczelni.

Nie była ślepa na fakt, że nieżonaty profesor wybrał do tej dodatkowej pracy po godzinach jedynie atrakcyjnych studentów płci żeńskiej. Koleżanka Savannah, Rachel, z którą dzieliła pracownię była zachwycona tym wyborem. Ale przecież ta dziewczyna usiłowała zwrócić na siebie uwagę Keatona od pierwszego tygodnia spędzonego na uczelni. I z pewnością została zauważona. Savannah zerknęła w stronę biura profesora, znajdującego się w sąsiedztwie sali, gdzie pracowały. Ciemnowłosa mężczyzna stał przy oknie łączącym oba pomieszczenia. Rozmawiając przez telefon, przyglądał się z jawnym zainteresowaniem pięknej, rudowłosej Racheli, ubranej w obcisły, wydekoltowany sweterek i mikro - mini.

- Czyż on nie jest milutki? - szepnęła do Savannah. Kolekcja wąskich, metalowych bransoletek zadźwięczała melodyjnie, gdy Rachel wyciągnął rękę, żeby założyć za ucho luźny kosmyk włosów. - Wygląda jak rodzony brat Burt Reynolds'a, nie sądzisz?

Savannah sceptycznie zmarszczyła brwi. Zerknęła na szczupłego mężczyznę z włosami do ramion i bujnymi wąsami, w brązowym, sztruksowym garniturze i rozpiętej pod szyją atlasowej koszuli. Naszyjnik z wisiosem w kształcie znaku zodiaku błysnął z gniazda gęstych włosów na obnażonej klatce piersiowej. (*kurcze, moda w latach siedemdziesiątych była the Best ;)*

Modny czy nie, sam wygląd nic dla Savannah nie znaczył. - Przykro mi, Rach. Jakoś tego nie widzę. Chyba, że Burt Reynolds ma brata w porno biznesie. Ponadto, on jest dla ciebie za stary. Musi mieć około czterdziestki, na litość boską.

- Och, zamknij się! Myślę, że on jest słodki - zachichotała Rachel, krzyżując ramiona pod pokaznym biustem i odrzucając włosy ruchem głowy, który sprawił, że profesor Keaton niemal oślinił szybę.

- Mam zamiar pójść do niego i spytać, czy chce sprawdzić moją pracę. Może poprosi mnie bym została po zajęciach, powycierała tablice i wyplukała gąbki albo coś w tym stylu.

- Mm - hmm. Albo coś w tym stylu - ze znaczącym uśmiechem wycedziła Savannah przeciągając samogłoski i kręcąc głową, gdy Rachela znacząco poruszyła brwiami, po czym ruszyła w kierunku biura profesora.

Savannah rozpoczynająca studia na Bostońskim Uniwersytecie z pełnym stypendium za osiągnięcia w nauce i najwyższymi wynikami egzaminów spośród uczniów dwudziestu dwu parafii południowej Luizjany, naprawdę nie potrzebowała wzmacniać swojej pozycji. Zaakceptowała te dodatkowe zajęcia tylko z powodu swojej nienasyconej miłości do historii i nauki.

Ponownie spojrzała na urnę, po czym zaczęła wertować kolejny katalog, zawierający eksponaty londyńskich sreber z okresu kolonialnego, porównując okazy udokumentowane na jego stronach. W tym momencie zwątpiła w słuszność swojej poprzedniej analizy. Wzięła ołówek i starła to, co wcześniej napisała w swoim notatniku. Urna nie pochodziła z Anglii. *Amerykańska*, poprawiła. Prawdopodobnie została wykonana ręcznie w Nowym Jorku albo Filadelfii, jeśli musiałyby zgadywać. Lub może ze względu na prostotę rokokowego wzoru powinna skłonić się bardziej w kierunku dzieł rzemieślników z Bostonu?

Savannah westchnęła ciężko, sfrustrowana swoją nużącą i jak się okazało mało efektywną pracą.

Przecież dysponowała lepszym sposobem.

Znała dużo skuteczniejszą i dokładniejszą metodę, by określić pochodzenie... i

poznać wszelkie sekrety... tych antyków. Ale nie mogła tak po prostu zacząć pieścić wszystkiego swoimi nagimi rękami. Nie, kiedy profesor Keaton znajdował się w biurze odległym o zaledwie kilka metrów. Nie w obecności dwóch innych studentek, które razem z nią pracowały przy jednym stole nad swoimi własnymi eksponatami. W ich obecności nie ośmieliłaby się wykorzystać dziwnej umiejętności, z którą się urodziła.

Nie, zostawiła tą część swojej istoty w domu w Acadiana. Nie miała zamiaru pozwolić komukolwiek w Bostonie uważać ją za jakąś dziwaczkę parającą się magią wudu. Uważała, że i tak dosyć się już wyróżnia na tle głównie jasnoskórych studentów. Nie chciała, by ktoś przekonał się, jak naprawdę była dziwna. Oprócz jej jedynej żyjącej krewnej... starszej siostry, Amelie... nikt nie wiedział o parapsychofizycznym darze Savannah, i dziewczyna miała zamiar utrzymać taką sytuację.

Mimo, że kochała Amelie, Savannah z przyjemnością opuściła mokradła Luizjany i próbowała znaleźć swoją własną drogę. Normalne życie. Takie, które nie pogrzebałoby ją żywcem na bagnach z matką Cajunką, która była bardziej niż delikatnie ekscentryczna, z tego co Savannah mogła sobie przypomnieć o niej, i ojcu, który nigdzie nie zagrzebał miejsca, ciągle nieobecny w życiu córek, niewiele lepszy od mitu, zgodnie z tym co mówiła Amelie.

Gdyby nie Amelie, która praktycznie ją wychowała, Savannah nie miałaby nikogo. Wciąż czuła się jakoś nie na miejscu w otaczającym ją świecie, zgubiona i ciągle czegoś szukająca, odstająca od wszystkich wokół niej.

Odkąd pamiętała, zawsze czuła się... inna.

Co prawdopodobnie było powodem, że tak uparcie dążyła do tego, by uczynić swoje życie normalnym.

Miała nadzieję, że wyprawka na studia do odległego miasta zaraz po ukończeniu liceum nada jej życiu jakiś sens. Poczucie przynależności i celu. Wzięła na siebie maksymalną liczbę zajęć, a weekendy i wieczory wypełniała jej dodatkowa praca w bostońskiej bibliotece publicznej.

O cholera.

Rzucając okiem na ścienny zegar, zdała sobie sprawę, że może spóźnić się do pracy. Musiała tam być o czwartej, a droga do biblioteki zabierała jej dwadzieścia minut... miała zaledwie wystarczającą ilość czasu, by szybko się pozbierać i wyekspediować swój tyłek na drugą stronę miasta.

Savannah zamknęła notes i pośpiesznie ogarnęła swoje stanowisko przy stole. Urękawiczonymi rękoma podniosła urnę i zaniósła ją z powrotem do magazynu archiwum, gdzie została umieszczona reszta katalogowanej, podarowanej muzeum kolekcji.

Gdy postawiła srebrne naczynie na półce i zdjęła rękawiczki, przyciągnęło jej uwagę coś znajdującego się w ciemnym kącie pomieszczenia. Długi, smukły przedmiot stał oparty o ścianę, częściowo ukryty za zwiniętym, zabytkowym kobiercem.

Czyżby ona i inni studenci przegapili tą rzecz?

Podeszła bliżej, by mieć lepszy widok. Za zrolowanym kobiercem stał stary, drewniany futerał. Wysoki na półtora metra, był zupełnie zwyczajny, wyłączając fakt, że wydawał się być rozmyślnie ukryty... i odseparowany od reszty przedmiotów w pokoju.

Co zawierał?

Savannah odsunęła na bok ciężki, zwinięty chodnik, chwilę walcząc z dużym i nieporęcznym przedmiotem. Kiedy opierała go pionowo o ścianę, zaczepiła o drewniany futerał, który niespodziewanie się przechylił, grożąc upadkiem na podłogę. Przestraszona Savannah błyskawicznie rzuciła się do przodu wyciągając przed siebie ręce i używając całego swojego ciała, by zamortyzować jego upadek. Kiedy go złapała, przyciskając do ugiętych kolan, puściły stare trzymające go w kupie zawiasy, wydając przy tym ciche pyk-pyk-pyk.

Kawałek zimnej, gładkiej stali wypadł z futerału prosto w otwarte dłonie Savannah.

Jej nagie dłonie.

Metal w jej rękach był lodowato zimny. Ciężki. O ostrych krawędziach. Śmiercionośny.

Zaskoczona Savannah wessała powietrze, ale nie zdołała dość szybko uniknąć przedłużającego się kontaktu, ani mocy daru, który się w niej obudził. Historia miecza otworzyła się przed nią, jak okno do przeszłości. Przypadkowy moment, uwięziony na wieki w metalu teraz wybuchł w umyśle Savannah, eksplozją pełnych życia szczegółów.

Dostrzegła mężczyznę trzymającego go przed sobą, jak podczas walki. Był wysoki i groźny, grzywa gęstych blond fal zatańczyła lekko wokół jego głowy, kiedy obrócił ją, by spojrzeć na niewidocznego przeciwnika pod czarnym, aksamitnym, rozświetlonym księżycową poświatą niebem. Jego postawa była niezłomna, a otaczająca go aura mroczna jak sama śmierć. Przenikliwe niebieskie oczy spoglądały spomiędzy zwilżonych potem kosmyków włosów, które osłaniały również ostre kości policzkowe i mocną, kwadratową szczękę.

Mężczyzna był ogromny. Pod luźną osłoną lnianej koszuli koloru écru, widoczne były potężne wybrzuszenia szerokich ramion i bicepsów. Gładkie, jasnobrązowe spodnie opięły jego potężne uda, gdy ruszył za swoją zdobyczą unosząc ostrze do śmiertelnego ciosu. Kimkolwiek był człowiek, który kiedyś dzierżył tę śmiercionośną broń, nie był jakimś post-elżbietańskim dandysem, ale wojownikiem.

Śmiałym.

Aroganckim.

Hipnotyzującym.

I bardzo niebezpiecznym.

Szermierz skupił się na swoim celu. Nie było odrobiny litości, ani w jego zaciśniętych ustach, ani w płonących, niebieskich oczach zwężonych niezachwianą determinacją, wydających się prawie płonąć jakąś wewnętrzną furią, której Savannah nie mogła pojąć. Zalała ją mroczna, drażniąca ciekawość, wypierając lepsze instynkty.

Kim był ten człowiek?

Skąd pochodził?

Jak wyglądało jego życie?

Ile wieków minęło od chwili jego śmierci?

Przez soczewkę oka swojego umysłu, Savannah obserwowała, jak wojownik zatrzymał się. Spojrzał w dół na tego, z którym czekała go śmiertelna walka. Jego szerokie usta były zaciśnięte, bezlitosne. Uniósł dzierżące miecz ramię, przygotowując się do ciosu. Po czym go zadał, prowadząc ostrze błyskawicznym, pewnym ruchem.

Serce Savannah biło gwałtownie, gorączkowo tłukąc się w piersi. Prawie nie mogła oddychać z powodu mieszanki wirujących w niej strachu i fascynacji. Starła lepiej

się przyjrzeć twarzy szermierza, ale dzika plątana jego złotych włosów i nocnych cieni, które go oblokły, ukryły wszystko oprócz najbardziej ogólnych zarysów jego twarzy.

A teraz, jak to się często zdarzało z jej darem, wizja zaczynała się rozpadać. Obraz pękał krusząc się na małe kawałki. Nigdy nie umiała panować nad swoją umiejętnością, nawet gdy próbowała. To był potężny dar, jednak nie poddawał się żadnej kontroli. Tym razem również nie było inaczej. Savannah walczyła, by to opóźnić, jednak przeblysk, który ofiarował jej miecz wymykał się... przygasając... dryfując poza zasięg.

Kiedy umysł Savannah się oczyścił, rozluźniła palce, które zaciskała na ostrzu. Spojrzała w dół na długi kawałek polerowanej stali opierającej się o jej otwarte dłonie. Zamknęła oczy i spróbowała wyczarować twarz szermierza z pamięci, ale udało się jej uchwycić tylko jego mgliste wrażenie. Niedługo, nawet i to się jej wymknęło.

Odszedł.

Wyniany z powrotem w przeszłość, do której należał.

A jednak, jedno dręczące pytanie wciąż pulsowało jej w głowie i przez żyły. Domagało się odpowiedzi, na której znalezienie miała raczej marne szanse.

Kim on był?

PRZEKŁAD - **Red-Room**

ROZDZIAŁ 2



Rozbite szkło i szczątki gnijących krokwi spadły w ciemność, kiedy trzech członków patrolu Zakonu, wskoczyło przez brudny świetlik do opuszczonej fabryki odzieżowej w Chinatown. Niespodziewany atak z góry zaskoczył grupę dzikich, uzależnionych od krwi lokatorów o zdiczających oczach, którzy skryli się w tej starej ruinie, a teraz kłębili się szukając drogi ucieczki.

Byłoby dla nich znacznie lepiej gdyby uciekli.

Gideon i jego dwóch towarzyszy przez większą część nocy śledziło członka tego gniazda Szkarłatnych, czekając na odpowiedni moment do ataku. Czekali aż ta pijawka doprowadzi ich do swojego legowiska, gdzie Zakon mógłby zdjąć nie tylko jednego oszalałego od żądzы krwi drapieźnika, ale kilku. Pół tuzina, według szybkiej rachuby dokonanej przez Gideona, kiedy razem z Dante i Conlanem spadli na to miejsce krótko po północy.

Gideon ruszył na jednego ze Szkarłatnych, gdy tylko jego buty uderzyły w zaśmiecöną podłogę. Skoczył na pijawkę, łapiąc w garść brudny trencz wampira, który wzdymał się za nim jak żagiel. Przytrzymał Szkarłatnego za kark żelaznym chwytem. Wolną ręką sięgnął po krótsze z dwóch ostrzy, których używał do walki. Długie na dwanaście cali... ostre jak brzytwa. Pokryta tytanem stal błysnęła w świetle księżyca, wpadającego przez dziurę w dachu.

Szkarłatny zaczął walczyć wymachując rękami, próbując się oswobodzić warczął przez wysunięte kły. Gideon nie dał pijawce nawet szansy na odrobinę nadziei na ucieczkę.

Zmieniając chwyt, Gideon zacisnął dłoń na kołtunie rozczochranych brązowych włosów Szkarłatnego i szarpnął jego głowę do tyłu. Żłocistożółte oczy wampira świeciły dziko i nieprzytomnie, jego otwarta paszcza ociekała lepką śliną, kiedy warczął i syczał w oszalałej wściekłości wywołanej nałogiem krwi. Gideon zagłębiał swój sztylet we wgłębieniu przy podstawie obnażonego gardła Szkarłatnego.

Śmierć od samego sztyletu mogła być wystarczająca, ale tytan... błyskawicznie działająca trucizna dla chorego systemu krwionośnego Szkarłatnych... przypieczętowała dzieło. Ciało wampira zatrzęsło się, gdy tytan przeniknął do jego krwiobiegu i od wewnątrz zaczął pożerać jego komórki. Nie trwało długo... zaledwie kilka sekund zanim nie zostało nic oprócz spienionego śluzu, który zmienił się w kupkę suchego popiołu. Po pewnym czasie nawet on zniknie.

Kiedy tytan wykonał już swoje zadanie, Gideon odwrócił się gwałtownie, oceniając sytuację, w jakiej znajdowali się jego towarzysze.

Conlan gonił pijawkę, która próbowała uciekać na stalową konstrukcję nad halą fabryczną. Ogromny szkocki wojownik zdjął Szkarłatnego tytanowym sztyletem wystrzelonym z dłoni z szybkością pocisku.

Kilka metrów dalej, Dante walczył wręcz ze Szkarłatnym, który łudził się, że mógłby pokonać ciemnowłosego wojownika w bezpośrednim starciu. Dante ze stoickim spokojem, ale błyskawicznie unikał wszystkich chaotycznych ataków, zanim wyciągnął z pochew na biodrach parę swoich okrutnych, zagiętych ostrzy i przeciągnął nimi przez klatkę piersiową atakującego wampira. Pijawka zawyla z niespodziewanego bólu, upadając bezwładnie u stóp wojownika.

- Trzech uziemionych - zawołał Con ze swoim ciężkim szkockim akcentem. - Jeszcze trzech do zrobienia.

Gideon skinął głową swoim towarzyszom z drużyny. - Dwóch uciekło na tyły w kierunku rampy załadunkowej. Nie pozwólcie gnojkom zwiać.

Conlan i Dante wystartowali w podanym przez niego kierunku bez pytań ani wahania. Przez wiele lat wykonywali misje likwidowania Szkarłatnych pod rozkazami Gideona, wystarczająco długo, by wiedzieć, że mogli polegać na jego wskazówkach nawet podczas najzacieklejszych miejskich walk.

Gideon schował sztylet do pochwy i dobył miecza, broń, której władania nauczył się w Londynie, zanim jego przejścia... i złożone śluby... skierowały go do Bostonu, by odszukać Lucana Thorne i oddać swój miecz i ramię w służbę Zakonowi.

Gideon obrócił głowę, dokonując szybkiej inspekcji pogrążonego w mroku, starego budynku. Błyskawicznie namierzył czwartego Szkarłatnego. Skurczybyk uciekał w kierunku zachodniej części budynku, przystając to tu, to tam. Sprawiał wrażenie jakby szukał kryjówki.

Gideon skupił się na swojej zdobyczy, w swojej obserwacji posługując się czymś jeszcze oprócz normalnego widzenia. Urodził się z darem znacznie silniejszym niż zwykły wzrok: nadnaturalną umiejętnością dostrzegania energii emitowanej przez żywe istoty, nawet przez stałą masę, jaką były solidne ściany.

Przez większą część jego długiej, ponad trzy i pół wiecznej egzystencji ten dar był dla niego czymś niewiele większym niż sprytną sztuczką. Bezużyteczną salonową gierką, czymś co cenił znacznie mniej niż swoją biegłość we władaniu mieczem. Od czasu dołączenia do Zakonu, udoskonalił i zamienił swoją paranormalną zdolność w

bardzo przydatną broń, służącą nowemu celowi w jego życiu.

Jego jedyemu celowi.

Teraz wykorzystał tę umiejętność do prowadzenia go w kierunku jego obecnego celu. Szkarłatny, którego ścigał musiał zdecydować się, że lepiej będzie zrezygnować z szukania kryjówki. Nie marnując cennych sekund, zdziżały wampir skręcił gwałtownie w stronę południowej części budynku.

Przez cegłę, drewno i stal ścian, Gideon popatrzył na ognistą kulę energii, oznaczającą kierunek przemieszczania się Szkarłatnego, zagłębiającego się w trzewia zdewastowanej fabryki. Bezszelestnie podążył jego tropem. Minął rumowisko zniszczonych stanowisk krawieckich i wywróconych, wyblakłych i ponadgryzanych przez gryzonie bel materiałów. Obszedł róg długiego zaśmieconego korytarza. Wzdłuż niego ciągnęły się puste magazyny i wilgotne, ciemne biura. Cel Gideona pierzchnął do holu, robiąc pośpieszny, fatalny błąd. Energetyczna kula Szkarłatnego zawisła w powietrzu za zamkniętymi drzwiami na końcu korytarza... zaledwie kilka niewielkich kroków od okna, które pozwoliłoby mu umknąć na zewnątrz. Gdyby nałóg krwi nie odebrał wampirowi rozumu, mógłby on dzisiejszej nocy uniknąć śmierci.

Ale śmierć go znalazła.

Gideon zbliżył się bezszelestnie. Zatrzymał się tuż za drzwiami, odwrócił się do nich twarzą, po czym jednym brutalnym kopniakiem wyrwał je z zawiasów. Impet posłał Szkarłatnego na plecy, na zasłaną papierami podłogę. Gideon skoczył, jedną stopą przygważdżając klatkę piersiową zdziżającego wampira, ostrze miecza spoczęło pod jego brodą.

- Litości - wychrypiała bestia, głosem bardziej zwierzęcym niż ludzkim.

Litość była słowem nie mającym żadnego znaczenia dla jednego z Rasy, który pograżył się tak głęboko w nałogu krwi jak ta istota. Gideon wiedział o tym z pierwszej ręki. Oddech Szkarłatnego był cierpki, śmierdzący chorobą i nadużyciem ludzkiej krwi, od której był uzależniony. Gęsta ślina pieniała się w jego gardle, widoczna, ponieważ wargi wampira cofnęły się, żeby odsłonić ogromne żółtawe kły.

- Pozwól mi... odejść. Okaż... łaskę...

Gideon spokojnie wpatrywał się w zdiczale złociste oczy. Widział tam jedyne okrucieństwo. Zobaczył krew, dym i tłące się ruiny. Widział śmierć tak przerażającą, że prześladowała go nawet teraz.

- Litości - wysyczał Szkarłatny, chociaż w jego wściekłym spojrzeniu tliła się furia.

Gideon zlekceważył błaganie. Napinając ramię pchnął głęboko swój miecz, jednym ruchem przecinając gardło i kręgosłup wampira.

Szybka, bezbolesna egzekucja.

To było dzisiejszej nocy limitem jego łaski.

PRZEKŁAD - **Red-Room**

ROZDZIAŁ 3



NASTĘPNEGO POPOŁUDNIA Savannah wcześniej pojawiła się na Wydziale Historii Sztuki.

Tego dnia nie mogła doczekać się końca zajęć i chwili opuszczenia sali wykładowej. Przebiegła przez kampus z taką samą błyskawiczną szybkością, jak przez streszczenia literatury angielskiej. W drodze do sali, znajdującej się za biurkiem profesora Keatona, gdzie w ramach dodatkowych zajęć archiwizowano eksponaty, z podekscytowaniem zauważyła, że przyszła pierwsza. Rzucając torbę z podręcznikami obok stołu, przy którym pracowała, wśliznęła się do magazynka, zawierającego przedmioty obecnie katalogowane dla uniwersyteckiej kolekcji.

Miecz był dokładnie tam, gdzie zostawiła go poprzedniego dnia, ostrożnie wkładając go z powrotem do drewnianego etui stojącego w kącie pomieszczenia. Tętno Savannah przyspieszyło, gdy weszła do środka cicho zamykając za sobą drzwi. Piękne stare ostrze... i tajemniczy, złotowłosy wojownik, który kiedyś używał go ze śmiercionośną wprawą... bez przerwy nawiedzali jej myśli. Chciała wiedzieć więcej. Potrzebowała tego. Przymus był zbyt silny, by mu się oprzeć.

Próbowała zignorować lekkie wyrzuty sumienia, które ją ukłuły, gdy ominęła pojemnik z czystymi ochronnymi rękawiczkami i z nagimi dłońmi przykucnęła przed futerałem, w którym ukryty był miecz. Podniosła wieko długiego pudła, powoli go odsłaniając. Kawał lśniącej, polerowanej stali. Wczoraj, gdy tak niespodziewanie wpadł w jej ręce, Savannah nie miała okazji, by dokładnie przyjrzeć się kunsztowi

jego wykonania.

Nie zauważyła wtedy, że tłoczony, stalowy uchwyt został ozdobiony rytem, przedstawiającym brutalnie atakującego drapieżnego ptaka. Jego okrutny dziób był otwarty do krzyku. Ani nie zwróciła uwagi na drogi kamień na głowicy, krwistoczerwony rubin zamknięty w klatce groteskowych, stalowych szponów. Zimny dreszcz przebiegł jej po ramionach, gdy teraz studiowała starą broń.

To nie był miecz żadnego bohatera.

A mimo to, nie mogła oprzeć się potrzebie, by wiedzieć więcej o mężczyźnie, który dzierżył go w jej poprzedniej wizji.

Savannah poruszyła palcami, po czym delikatnie oparła je na ostrzu. Wizja wskoczyła do jej umysłu jeszcze szybciej niż za pierwszym razem. Tyle, że to był kolejny przeblysł przeszłości broni. Coś niespodziewanie innego, ale równie intrygującego.

Dwóch małych chłopców... o lnianych włosach... identycznych bliźniaków... bawiło się mieczem w oświetlonej pochodniami stajni. Mogli mieć nie więcej niż po dziesięć lat, obydwaj ubrani jak drobna siedemnastowieczna szlachta; w białe, lniane koszule, buty do konnej jazdy i ciemnoniebieskie bryczesy zebrane w kolanach. Ze śmiechem sprawiedliwie dzielili się mieczem, na zmianę dźgając i uderzając w bele słomy, udając, że zabijają wymyślone bestie.

Dopóki nie zaskoczyło ich coś na zewnątrz stajni.

Lęk wypełnił młode twarze. Patrzyli na siebie, przestraszeni. W momencie gdy zgasła pochodnia na ścianie stajni, jeden z nich otworzył usta w cichym krzyku.

Savannah odskoczyła od ostrza. Wypuściła je z rąk, pochwycona przez strach o tą dwójkę dzieci.

Co się im przydarzyło?

Nie mogła odpuścić. Nie teraz.

Nie, dopóki się tego nie dowie.

Drżały jej palce, kiedy ponownie przykładła je do miecza. Położyła dłonie na zimnej stali i czekała. Jednak niezbyt długo. Okno do przeszłości otworzyło się przed nią, jak paszcza smoka, jak ciemna i wyszczerbiona otchłań, lizana ogniem.

Stajnia płonęła. Płomienie wspięły się na zagrody i krokwie, pożerając wszystko na swojej drodze. Krew plamiła nieheblowane drewniane słupy i bele żółtej słomy. Tak dużo krwi. Była wszędzie.

I chłopcy...

Bliźniacy leżeli nieruchomo na klepisku stajni. Ich ciała zostały zaatakowane z furją, rozszarpane. Ledwie mogła rozpoznać dwójkę dzieci, które niedawno były takie radosne i beztroskie, tak pełne życia.

Serce Savannah czuło się jak w imadle, zimne i ściśnięte, kiedy rozgrywała się przed nią ta okropna wizja. Pragnęła odwrócić wzrok. Nie chciała widzieć tych strasznych, pokaleczonych zwłok, które pozostały po pięknych, niewinnych braciach.

O Boże. Przeważenie niemal ją dusiło.

Ktoś zabił tych słodkich chłopców, po prostu ich zmasakrował. Nie, nie ktoś, doszło to do niej w następnej chwili.

Coś.

Zamaskowana postać, która teraz trzymała miecz, miała figurę człowieka... ogromnego, barczystego mężczyzny. Ale z wnętrza ciemnego, ciężkiego wełnianego kaptura świeciły złocistożółte oczy, płonąc jak węgle w potwornej, nieludzkiej twarzy. Nie był sam. Byli z nim dwaj inni tacy sami jak on, ubrani podobnie w ciężkie peleryny z kapturem, stali tam, grupa odpowiedzialna za masakrę. Nie była w stanie dokładnie zobaczyć ich twarzy z powodu cieni i migotliwego światła, padającego od płomieni, które wspinały się po ścianach i belkach stajni.

To nie ludzie, upierał się jej umysł. Jeśli jednak nie byli ludźmi, to czym? Savannah starała się przyjrzeć im lepiej, kiedy postacie morderców bliźniąt zaczęły falować i tracić kontury.

Nie. Spójrzcie na mnie, do cholery.

Niech was zobaczę.

Ale wizja zaczęła się roztrzaskiwać, jej kawałki rozpadały się na mniejsze okruchy, wirujące we wszystkich kierunkach. Wymykając się jej. Zniekształcając to, co zobaczyła.

To musiała być jakaś sztuczka jej niepewnej kontroli nad darem. Ponieważ to, co dostrzegła w tej wizji przeszłości nie mogło być rzeczywiste.

Z wnętrza głębokiego kaptura, tego który trzymał miecz, para jarzących się oczu płonęła jak jasny bursztyn. A na sekundę przed tym, gdy obraz zniknął całkowicie, Savannah przysięgłaby na własne życie, że dostrzegła błysk zębów. Białych i ostrych jak brzytwy.

Kłów.

Co do...?

Jakaś dłoń opadła na jej ramię. Savannah wrzasnęła, niemal wyskakując ze skóry.

- Spokojnie - roześmiała się Rachel, kiedy Savannah gwałtownie odwróciła głowę.
- Nie dostań cholernego zawału. To tylko ja. Jezu!, wyglądasz jakbyś właśnie zobaczyła ducha.

Tętno Savannah wyrabiało nadgodziny, prawie zadławiła się oddechem. Nie była w stanie wydobyć z siebie głosu, żeby odpowiedzieć koleżance. Mogła tylko patrzeć na nią w milczeniu.

Spojrzenie Racheli spoczęło na mieczu. - Co tu robisz całkiem sama? Skąd to się tu wzięło?

Savannah odchrząknęła, kiedy jej serce w końcu zwolniło rytm. Odsunęła dłonie od ostrza, ukrywając je tak, by Rachel nie zauważyła jak bardzo się trzęsły.

- Ja ... znalazłam to wczoraj.

- Czy to jest rubin... kamień w rękojeści tej rzeczy?

Savannah wzruszyła ramionami.- Myślę, że tak.

- Naprawdę? Odłotowo! - Pochyliła się, by lepiej mu się przyjrzeć. - Daj mi rzucić okiem.

Savannah prawie ostrzegła przyjaciółkę, żeby była ostrożna, że nie chciałaby oglądać tego, czego Savannah właśnie była świadkiem. Ale przecież dar... dzisiaj raczej przekleństwo... należał wyłącznie do niej.

Savannah obserwowała jak Rachela unosi i podziwia miecz. Nic się jej nie stało. Nie miała żadnego przeczucia, przerażającej wizji przeszłości, wsączonej w wielowiekową broń. - Rach... wierzysz w potwory?

- Co? - dziewczyna wybuchnęła śmiechem.- O czym ty do diabła mówisz?

- Nic - Savannah potrząsnęła głową. - Zapomnij o tym. Żartowałam.

Rachela chwyciła miecz oburącz i obróciła wokół siebie, przyjmując teatralną pozycję do walki. Jej nadgarstki były pełne wąskich metalowych bransoletek, które dźwięczały melodyjnie do rytmu pozorowanych pchnięć. - Wiesz, że nie powinniśmy dotykać tego bez rękawiczek. Boże, ależ jest ciężki. I chyba stary.

Savannah wstała. Zagłębiła dłonie w kieszeniach swoich rozszerzonych džinsów. - Ma dwieście lat, co najmniej. Przypuszczam, że może pochodzić z końca szesnastego wieku. - To było więcej niż przypuszczenie, pewność.

- Jest piękny. Założę się, że musi być warty fortunę.

Savannah lekko wzruszyła ramionami. - Tak przypuszczam.

- Nie przypominam sobie, że bym widziała ten przedmiot na liście inwentaryzacyjnej kolekcji. - Rachela zmarszczyła brwi.- Mam zamiar pokazać miecz Bilowi. Nie mogę uwierzyć, że go przeoczył.

- Billowi?

- Rachela przewróciła oczami. - Profesorowi Keatonowi. Ale jakoś niezręcznie byłoby mi tytułować go w ten sposób na naszej dzisiejszej randce, nieprawdaż?

mroczne słowo rozbrzmiewało echem w jej żyłach za każdym szaleńczym uderzeniem serca.

Wampiry.

PRZEKŁAD - **Red-Room**

ROZDZIAŁ 4



PRZEZ PRAWIE STO LAT miasto Boston grało rolę nieświadomego żywiciela dla grupy wojowników Rasy, którzy ślubowali zachować pokój z ludźmi, oraz trzymać w sekrecie istnienie wampirów... a także ich zdziczałej i uzależnionej od krwi nacji.

Zakon został zawiązany w Europie w połowie trzynastego wieku, liczył wtedy ośmiu członków - założycieli, z których pozostało tylko dwóch: Lucan, onieśmielający przywódca Zakonu, i Tegan, zimnokrwisty wojownik, który przestrzegał jedynie własnych reguł i nie spowiadał się przed nikim.

Tego późnego popołudnia, zebrali się oni, wraz z resztą obecnego składu... Gideona, Dantego, Conlana i Rio... przy stole konferencyjnym w sali narad podziemnej centrali Zakonu. Gideon właśnie złożył sprawozdanie z ataku swojego oddziału na kryjówkę Szkarłatnych, który miał miejsce poprzedniej nocy, a teraz Rio relacjonował efekty swojej solowej misji rozpoznawczej podejrzanego gniazda ulokowanego w Southie.

U szczytu długiego stołu, po lewej stronie Gideona, znajdował się czarnowłosy lider Zakonu. Pochodzący z pierwszego pokolenia przywódca siedział w enigmatycznym milczeniu, łącząc palce pod podbródkiem, ocienionym ciemnym zarostem, słuchał raportów wojowników.

Natomiast ręce Gideona nie próżnowały. Pomimo, że jego umysł był w pełni obecny na spotkaniu, palce miał zajęte majstrowaniem przy nowym prototypie mikrokomputera, który dorwał w swoje ręce zaledwie kilka dni temu. Urządzenie wyglądało niepozornie, zwykłe metalowe pudło o wielkości nesesera z niewielkimi przełącznikami i czerwonymi lampkami LED na przodzie, ale niech go cholera jeśli nie sprawiało, że krew zwawiej krążyła mu w żyłach. Prawie tak samo, jak gdy spopielał Szkarłatnych. Cholera, to było prawie tak ekscytujące jak seks.

Nie, żeby dobrze pamiętał jak to było, biorąc pod uwagę, kiedy po raz ostatni pozwolił sobie zapragnąć kobiety. To było lata temu, co najmniej. Prawdopodobnie dekadę, gdyby chciało mu się dokładnie policzyć. Ale nie miał na to ochoty.

Podczas gdy Rio kończył swój raport z rozpoznania, Gideon tworzył szybki program kodu binarnego, używając przełączników klapkowych, żeby załadować komendy do procesora. Pojemność urządzenia była ograniczona, funkcje jeszcze bardziej, ale fascynowała go wszelka technologia, a jego umysł był wiecznie spragniony nowej wiedzy, nieważne z jakiej dziedziny.

- Dobra robota, chłopaki - powiedział Lucan, kiedy spotkanie zbliżyło się ku końcowi. Spojrzał na Tegana, postawnego wojownika o płowych włosach, siedzącego po przeciwnej stronie stołu. - Jeśli informacje Rio się potwierdzą, możemy natknąć się na gniazdo z ponad tuzinem pijawek. Będziemy potrzebować wszystkich, by dzisiejszej nocy oczyścić to miejsce.

Tegan wpatrywał się w niego przez chwilę, zielone oczy były twarde niczym

szlachetne kamienie. - Jeśli chcesz, żebym poszedł oczyścić to gniazdo, to mówisz i masz. Ale wiesz, że pracuję sam.

Lucan spojrział na niego spod zmarszczonych brwi, w jego chłodnych szarych oczach błysnęły bursztynowe iskry gniewu.- Rozkurzysz gniazdo, ale zrobisz to ze wsparciem. Jeśli masz pragnienie śmierci, szukaj jej w prywatnym czasie.

Na kilka długich sekund sala narad pogrążyła się w niezręcznej ciszy. Tegan wykrzywił usta, jego wargi rozchyliły się obnażając końcówki kłów. Warknął nisko z głębi gardła, ale dłużej nie kontynuował przepychanki o władzę. Dobrze, bo Bóg wiedział, że gdyby ci dwaj wojownicy pierwszego pokolenia kiedykolwiek stanęli naprzeciw siebie w prawdziwej walce o przywództwo, dla żadnego z nich nie byłoby to łatwe zwycięstwo.

Jak wszyscy wojownicy zebrani wokół stołu, Gideon wiedział o waśni między Lucanem i Teganem. To miało związek z kobietą... zmarłą bardzo dawno temu Dawczynią Życia Tegana, Sorczą, która została mu odebrana we wczesnych latach Zakonu. To była ogromna tragedia, Tegan stracił ją jakby dwukrotnie. Najpierw wróg Zakonu zamienił ją w Sługusa, skazując na los gorszy od śmierci. Jednak ostatecznie Sorcha zginęła z ręki Lucana, był to akt miłosierdzia, którego Tegan nigdy nie zdołał mu wybaczyć. To było ponurym, ale dosadnym przypomnieniem, dlaczego większość wojowników zrezygnowała z wzięcia sobie partnerek. Z obecnej załogi Zakonu, jedyne Rio i Conlan byli związani z Dawczyniami Życia.

Eva i Danika były silnymi kobietami; musiały takie być. Mimo, że przedstawiciele Rasy byli bliscy nieśmiertelności i bardzo trudni do zabicia, jednak każda misja wiązała się z ryzykiem śmierci. A martwienie się o pozostawioną w rozpacz i żałobie Dawczynię Życia, było odpowiedzialnością, jaką niewielu wojowników chciałoby zaakceptować.

Służba była najważniejsza i nie potrzebowali, by coś ich rozpraszało.

To była zasada, której Gideon nauczył się boleśnie na własnej skórze. Popęłił błąd, którego nie mógł cofnąć, bez względu na to, jak bardzo tego pragnął. Nieważne, ilu Szkarłatnych udałoby się mu spopielić, ta wina wciąż będzie w nim tkwiła.

Mamrocząc soczyste przekleństwo, Gideon wyrwał swoje myśli z przeszłości i wszedł do ostatniej linii kodu swojego oprogramowania. Pstryknął zmianę, która zatwierdziła polecenie, i czekał. Początkowo nic się nie działo. Po czym...

- Cholernie genialne! - zapiał, wpatrując się z tryumfalnym zachwytem, jak czerwone lampki LED na przednim panelu procesora rozświetlają się falującym wzorem... dokładnie w taki sposób, jaki nakazywał im program. Wszyscy wojownicy patrzyli na niego z różnymi wyrazami twarzy, począwszy od zmieszania, poprzez zaniepokojenie, a skończywszy na tych wyrażających troskę o jego zdrowie psychiczne.

- Widzieliście to? To jest, kurwa piękne.

Przekręcił skrzynkę w ich stronę, by mogli dokładnie zobaczyć, jaki cud techniki rozgrywał się na ich oczach. Gdy nikt nie zareagował, Gideon wybuchnął pełnym niedowierzania śmiechem. - Chłopaki, przecież to jest niezwykle. To jest pieprzona przyszłość.

Dante uśmiechnął się z wyższością ze swojego miejsca po drugiej stronie stołu.

- Dokładnie tego potrzebowaliśmy, Gid. Podświetlanego pojemnika na chleb.

- Ten pojemnik na chleb jest jeszcze nie wprowadzonym na rynek przenośnym komputerem.

Zdjął metalowe wieko, więc każdy mógł zobaczyć znajdującą się wewnątrz płytę główną i zespoły układów elektrycznych. - Mówimy tu o ośmiobitowym procesorze i dwustu pięćdziesięciu sześć bitowej pamięci, wszystko na układach scalonych. *(pamiętacie komodorki i atari, koniecznie z taśmami :) aż łza się w oku kręci:)*

Rio znajdujący się nieco dalej przy stole, siedzący niedbale na swoim krześle, pochylił się do przodu, żeby mieć lepszy widok. W jego głosie z leniwym hiszpańskim akcentem brzmiało wyraźne rozbawienie. - Możemy zagrać na tym w ping ponga? - zapytał, po czym wybuchnął śmiechem.

Dante mu zawtórował. Nawet Con przyłączył się po chwili.

- Pewnego dnia poczujecie respekt dla możliwości techniki - powiedział Gideon, nie pozwalając im ostudzić jego radosnego podniecenia. Nie przejmował się za jakiego maniaka komputerowego go mieli. Wskazał dłonią przyległe pomieszczenie, gdzie lata wcześniej zaczął organizować centrum sterowania za pomocą komputerów typu mainframe, które miały odpowiadać między innymi za system obserwacyjny i ochronę Centrali Zakonu.- Mogę wyobrazić sobie dzień, kiedy ten pokój pełny procesorów wielkości lodówki stanie się doskonałym laboratorium technicznym, posiadającym komputery wystarczającej mocy, by móc sterować niewielkim miastem.

- Ok, spoko. Cokolwiek powiesz - odpowiedział Dante. Jego szerokie usta drgnęły. - Ale do tego czasu, żadnej zabawy piłeczkami?

Gideon pokazał mu środkowy palec, uśmiechając się złośliwie do siebie. - Cioty. Banda beznadziejnych onanistów.

Lucan odchrząknął i przywrócił spotkanie na właściwe tory.- Musimy zaostrzyć patrole. Niczego nie pragnę bardziej niż całkowitego uwolnienia Bostonu od

Szkarłatnych, jednak tym sposobem zaniedbujemy inne miasta, które również potrzebują czyszczenia. Prędzej czy później, jeśli sprawy nadal będą rozwijać się w tym kierunku, będziemy musieli oszacować nasze możliwości.

- Co próbujesz nam powiedzieć, Lucan? - zapytał Rio.- Czyżbyś mówił o wprowadzaniu nowych członków?

Lucan niejasno skinął głową. - To w pewnym momencie może okazać się niezłym pomysłem.

Zakon zaczął działać z ósemką wojowników - powiedział Tegan. - Teraz, od dłuższego czasu jest nas tylko sześciu.

- Taaa - przytaknął Lucan. - Ale sprawy, co jest pewne jak cholera, raczej nie zmieniają się na lepsze. Na dłuższą metę musi być nas więcej niż ośmiu.

Conlan oparł łokcie na kancie stołu, omiół spojrzeniem wszystkich siedzących. Znam gościa, który byłby lepszym kandydatem niż ktokolwiek, tak myślę. To Sybirak. Jest młody, ale rozsądny i uczciwy. Może warto byłoby z nim pogadać.

- Będę o tym pamiętać - mruknął Lucan. - W tej chwili priorytetem jest zadbanie o spokój na naszym podwórku. Sześciu Szkarłatnych spopielonych wczorajszej nocy i kolejne gniazdo na celowniku to przyzwoity początek.

- Przyzwoity, a jakże - wtrącił Gideon. - Ale bynajmniej nie wystarczający, jak na mój gust.

Rio zagwizdał pod nosem. - Jedyłą rzeczą, ostrzejszą niż twój umysł, amigo, jest nienawiść, jaką żywisz do Szkarłatnych. Jeśli kiedykolwiek upadnę, nie chciałbym znaleźć się na końcu ostrza twojego miecza.

Gideon zareagował na tą opinię jedynie ponurym spojrzeniem rzuconym w kierunku swojego towarzysza. Nie mógł zaprzeczyć gwałtowności swojej potrzeby, by wykorzeńić chorych członków ich gatunku. Ta nienawiść cofnęła go do około dwóch wieków. Z powrotem do jego początków w Londynie.

Dante przyjrzał się mu się badawczo w poprzek stołu. - Wliczając te pijawki, które zdjąłeś wczoraj wieczorem, to ile będziesz ich miał na sumieniu, Gid?

Gideon wzruszył ramionami. - Plus minus około dwustu sztuk. - powiedział, robiąc w pamięci szybki obrachunek: Dwustu siedemdziesięciu dwóch, odkąd przybył do Bostonu w 1898. Wcześniej, czterdziestu sześciu Szkarłatnych straciło głowy na ostrzu jego miecza, w tym tych trzech, którzy dokonali masakry jego małych braciszków.

Już nie mógł przypomnieć sobie chłopięcych twarzy, ani dźwięku ich śmiechu. Ale wciąż czuł smak popiołu z pożaru, kiedy rozpaczliwie usiłował wyciągnąć ich z palącej się stajni tej nocy, kiedy zostali zabici. Od tamtej chwili Gideon wciąż tropił Szkarłatnych, starając się odkupić swoją winę. Wciąż próbował odpokutować za to, że nie zdołał ich ochronić.

Czy czuł, że kiedykolwiek mu się to uda? Nie, nawet nie był tego bliski.

PRZEKŁAD - **Red-Room**

ROZDZIAŁ 5



SAVANNAH WYBIEGŁA ZE SWOJEGO MIESZKANIA W ALLSTON i złapała metro do miasteczka uniwersyteckiego. Wciąż była półprzytomna i strasznie potrzebowała kawy. Tej nocy miała, delikatnie mówiąc bardzo niespokojne sny. Zbyt wiele koszmarów. Za dużo niepokojących pytań wirujących w jej głowie, po tym czego była świadkiem dotykając tego cholernego miecza. Dlatego przez większą część nocy miała problem z zaśnięciem.

Nie pomogło również to, że Rachelą nie wróciła do domu ze swojej randki z profesorem Keatonem. Oczywiście, że takie miała założenia. Czy nie to powiedziała jej wczoraj?

Niemniej, Savannah leżała obudzona w swojej sypialni, która była częścią małego wynajętego mieszkania, nasłuchując powrotu współlokatorki i martwiąc się, że Rachelą straciła głowę dla faceta takiego, jak profesor Keaton. Dużo starszego mężczyzny, który nie robił tajemnicy z tego, że lubił skakać z kwiatka na kwiatek. Albo, w jego przypadku, starać się zaliczyć jak największą ilość studentów płci żeńskiej.

Savannah nie chciała widzieć, jak jej przyjaciółka zostaje zraniona. Wiedziała z własnego doświadczenia, co znaczy zostać oszukany przez kogoś, komu się zaufało i to była lekcja, której miała nadzieję już nigdy nie powtórzyć. Tylko, że Rachelą prawdopodobnie zbyłaby śmiechem obawy Savannah. Nazwałaby ją cnotliwą kwoczką, zbyt skrytą i poważną jak na jej wiek... Savannah słyszała to już wiele razy

w swoim życiu od innych ludzi.

Prawdę mówiąc jakaś jej część, trochę zazdrościła Racheli jej swobody. Podczas gdy Savannah przejmowała się i martwiła przez prawie całą noc, Rachel prawdopodobnie świetnie się bawiła z profesorem Keatonem. Korekta: Billem, poprawiła przewracając oczami, próbując nie wyobrazić sobie, jak jej współlokatorka dyszy imię profesora w agonii namiętności.

Boże, jak ona miała przetrwać dzisiejsze wykłady bez mimowolnego... zupełnie niepożądanego... wyobrażania sobie ich obojga razem... nagich?

Savannah okrążyła róg i ruszyła w stronę miasteczka uniwersyteckiego na Commonwealth Avenue, wciąż rozważając potencjalną niezręczność tego wszystkiego, gdy osadził ją na miejscu widok radiowozu oraz błyskającego światłami ambulansu, zaparkowanych przed budynkiem Historii Sztuki. Para reporterów i ekipa telewizyjnych wiadomości wyskoczyli z furgonetki, która przedzierała się przez zbierający się na zewnątrz tłum.

- Co do diabła...?

Savannah zaczęła biec, ciężki strach wzbierał w jej gardle. - Co się dzieje? - zapytała kolegę ze studiów, stojącego na obrzeżu zbiegowiska gapiów.

- Wczoraj, późnym wieczorem ktoś zaatakował jednego z profesorów wykładających historię sztuki w jego własnym biurze. - Wygląda na to, że jest w naprawdę kiepskim stanie.

- Ale przynajmniej żyje - dodał ktoś inny. - To więcej niż można powiedzieć o tej studentce, która z nim była.

Serce Savannah zjechało do żołądka, jak ciężki, zimny kamień.

- Studentka? - nie, tylko nie Rachel. To nie mogła być ona. - Kim ona była?

Odpowiedź nadeszła od kolejnej osoby stojącej obok.- Jakaś sikorka ze stadka pierwszorzoczników studiujących na jego wydziale. Chodzą pogłoski, że w biurze byli zaangażowani w nieco pozalekcyjną działalność, gdy spadło na nich to gówno.

Stopy Savannah zaniósły ją w stronę wejścia do budynku, zanim nawet zdała sobie sprawę, że się porusza. Wbiegła do środka, wymykając się glinom i urzędnikom uniwersyteckim, próbującym utrzymać rosnący tłum na zewnątrz pod kontrolą.

- Panienko, w tej chwili nikt nie może wchodzić do budynku - zawołał za nią jeden z funkcjonariuszy policji, kiedy popędziła w kierunku klatki schodowej. Zignorowała polecenie, biegnąc tak szybko jak mogła, pokonała trzy biegi schodów, a potem ruszyła w głąb korytarza w kierunku biura profesora Keatona.

Po korytarzu kręciła się ekipa wiadomości, której przybycie obserwowała kilka minut temu, nagrywając policjantów i ekipę medyczną pracującą za otwartymi drzwiami do biura. Kiedy podeszła bliżej, z jego wnętrza wytoczono na korytarz nosze, którymi opiekował się jeden z ratowników medycznych.

Leżał na nich profesor Keaton, był nieprzytomny, kiedy przewożono go w kierunku wind. Ponad kocem, który przykrywał go od stóp do głów, jego twarz i szyję pokrywała krew, a skóra była blada jak papier. Kiedy Keaton był zabierany do szpitala, Savannah z powodu szoku stała tam jak przyspawana do podłogi.

- Z drogi! - krzyknął ktoś zza jej pleców szorstkim głosem z bostońskim akcentem.

Z drgnięciem wróciła do rzeczywistości i zrobiła krok na bok, ponieważ kolejne

nosze na kółkach opuszczały biuro profesora. Tym pacjentem nie opiekował się żaden lekarz. Nie było żadnego pośpiechu w sposobie, w jaki służby ratownicze popychały nosze przez korytarz w stronę drugiego stanowiska wind. Savannah przycisnęła dłoń do ust, by zdławić zduszony krzyk, który musował w jej gardle.

Och, Rachelo. Nie.

Drobne ciało zostało całkowicie przykryte białym prześcieradłem, poznaczonym ciemnymi, szkarłatnymi plamami.

Jedno z jej ramion wysunęło się spod nakrycia i zwisało bezwładnie z boku noszy. Savannah wpatrywała się w niemym żalu, niezdolna do oderwania spojrzenia od tej martwej ręki i ponad tuzina cienkich bransoletek zebranych przy nadgarstku Racheli, lepkich od jej krwi.

Nie mogąc się pozbierać z powodu niedowierzania i przerażenia, potykając się weszła do biura profesora, jej żołądek zwinął się w ciasny węzeł.

- Wszyscy muszą natychmiast stąd wyjść! - rozkazał jeden z oficerów śledczych pracujących wewnątrz. Położył rękę na ramieniu Savannah, kiedy dziewczyna pochyliła się do przodu i chwyciła za brzuch, próbując nie stracić śniadania.

- Proszę pani, musi pani stąd wyjść. To miejsce popełnienia przestępstwa.

- Ona była moją współlokatorką - wyszeptała Savannah, przez dławiące ją łzy. Mdłości nasiliły się na widok krwi, która plamiła ścianę wokół biurka i kanapy.

- Dlaczego ktoś to zrobił? Dlaczego ją zabił?

- To jest właśnie to, co próbujemy tu ustalić - odpowiedział detektyw, jego głos

nabrał bardziej sympatycznego, pełnego współczucia tonu. - Przykro mi z powodu pani przyjaciółki, ale teraz proszę pozwolić nam wykonywać naszą pracę. Później chciałbym zamienić z panią parę słów na temat tego, kiedy po raz ostatni widziała pani swoją współlokatorkę, tak więc, proszę poczekać na zewnątrz.

Widząc ich rozmowę, ekipa wiadomości uznała, że nadarzył się właściwy moment, by podejść ze swoją kamerą. Reporter wcisnął się pomiędzy Savannah a policjanta, podtykając detektywowi swój mikrofon.

- Czy macie jakiegokolwiek przypuszczenia, co się tu stało? Czy było przypadkowe włamanie? Kradzież? Albo jakiś rodzaj personalnego ataku? Czy dyrekcja kampusu powinna poważniej zająć się kwestią bezpieczeństwa studentów i wykładowców?

Policjant spojrzał zwięzionymi oczyma na sępa z mikrofonem i westchnął z irytacją.

- W tej chwili, nie mamy powodu sądzić, że ktoś jeszcze może być w niebezpieczeństwie. Nie ma żadnych oznak włamania, ani jakichkolwiek oczywistych śladów walki, poza tymi w biurze. Chociaż nie wydaje się, żeby coś zostało skradzione, nie możemy wykluczyć kradzieży jako motywu tego przestępstwa, dopóki w pełni nie przeanalizujemy wszelkich poszlak i miejsca...

Savannah nie mogła już tego słuchać. Wyszła z biura Keatona i udała się przyległej sali, w której niecałe dwadzieścia cztery godziny temu pracowała razem z Rachelą i innymi studentkami. Osunęła się na krzesło przy jednym ze stołów roboczych, czuła się trochę jakby opuściła własne ciało i z boku obserwowała dyskusję o morderstwie Racheli i o tym jak o włos udało się wywinąć śmierci profesorowi Keatonowi, wciąż toczącą się w zbryzganym krwią biurze.

Spojrzenie Savannah błędziło po katalogach i innych materiałach źródłowych ułożonych w stosy na stołach laboratorium, po czym pobiegło w kierunku magazynu archiwum. Drzwi do niego były szeroko otwarte ale w środku nie było nikogo,

żadnych policjantów ani urzędników uniwersyteckich.

Wstała i jak manekin weszła do nieoświetlonego pomieszczenia. I nawet przez mgłę szoku i żalu, natychmiast zorientowała się, że coś tu było nie w porządku.

- Nie ma go tutaj.

Obróciła się na pięcie, nagły przyływ adrenaliny spowodował, że biegiem wróciła do biura profesora. Szybko omiotła wzrokiem pokój, zaglądając za porysowane biurko i mocno wytartą kanapę. Próbując ignorować całą tę krew.

- Zniknął. - Policjanci i przedstawiciele mediów zamilkli, wszyscy jak na komendę odwrócili się i spojrzeli w jej stronę. - Wczorajszej nocy zabrano stąd pewien eksponat.

EVA ZNOWU URUCHOMIŁA czujnik dymu w kuchni centrali Zakonu. Przenikliwe piszczenie spowodowało, że każdy wojownik znajdujący się w tym miejscu rzucił się żeby wyłączyć to cholerstwo.

Gideon przerwał swoją poranną pracę nad mikrokomputerem... jego nową obsesją... i popędził podziemnym korytarzem centrali do kuchni urządzonej specjalnie dla Evy i Daniki, jedynych dwóch mieszkanek biologicznie zdolnych jeść to, co z niej pochodziło. Czasami nawet i to było wątpliwe, zwłaszcza gdy kolej na gotowanie przypadła na partnerkę Rio.

Hiszpan dotarł do kuchni zaledwie na kilka sekund przed Gideonem. Rio wyłączył alarm i wciągnął Evę w czułe objęcia, chichocząc dobrodusznie, kiedy kobieta próbowała się usprawiedliwiać.

- Ja odwróciłam się tylko na minutkę, żeby obejrzeć coś we wiadomościach - poskarżyła się, wskazując w stronę małego telewizora stojącego na ladzie.

Lucan, Dante i Tegan, tylko pokręcili głowami i wrócili do swoich zajęć. Conlan został, obejmując ramieniem swoją partnerkę, Danikę, która stojąc w pobliżu próbowała skryć swój śmieszek za zasłoną dłoni.

- Poza tym - ciągnęła dalej Eva. - Tym razem była tylko odrobinka dymu. Przysięgam, że ten alarm mnie nienawidzi.

- Nie martw się, kochanie - powiedział Rio wybuchając głębokim śmiechem. - Gotowanie nigdy nie było twoją najmocniejszą stroną. Uszy do góry, przynajmniej nikt nie ucierpiał.

- Powiedz to ich śniadaniu - rzucił Gideon cierpko. Podniósł z kuchenki patelnię pełną zwęglonych jajek i kiełbasek, po czym wyrzucił ją do śmieci.

Gdy szedł obok telewizora, został uderzony przez parę czekoladowo-brązowych sarnich oczu, ozdobionych firankami miękkich, gęstych rzęs. Młoda kobieta udzielała wywiadu pod jednym z lokalnych uniwersytetów. Krótkie czarne loki okalały jej uroczą, delikatną buzię. Jej drobne rysy tworzyły doskonały owal, a gładka skóra w kolorze kawy ze śmietanką sprawiała wrażenie, jakby w dotyku była miękka niczym aksamit.

Ale usta młodej piękności wyrażały napięcie, po obu stronach ujęte w nawiasy liniami stresu, a gdy Gideon przypatrzył się dokładniej, zdał sobie sprawę, że te hipnotyzujące ciemne oczy wypełnione są łzami.

- Proszę powiedzieć mi coś więcej na temat tego rzekomo brakującego eksponatu - naciskał reporter, celując mikrofonem w kierunku jej twarzy.

- To miecz - odpowiedziała, głos pasował do jej pięknej twarzy, pomimo drżenia, które sprawiało, że jej słowa brzmiały trochę niepewnie. - Bardzo stara broń.

- Rozumiem - powiedział reporter. - A pani twierdzi, że widziała ten miecz nie dalej niż wczoraj w pracowni profesora Keatona?

- O co chodzi? - zapytał Gideon, jego spojrzenie przykute było do młodej kobiety.

- Ktoś zeszłej nocy zaatakował jakiegoś profesora na terenie kampusu - wyjaśniła Danika. - Został zabrany do szpitala Mass General, był w krytycznym stanie, ale stabilny. Studentka, która była razem z nim została zamordowana. Wygląda na to, że podejrzewają napad rabunkowy.

Gideon mruknął potakująco, zastanawiając się, co udzielająca wywiadu studentka miała wspólnego z tym zdarzeniem.

Miecz był częścią kolekcji mebli i dzieł sztuki w stylu kolonialnym, którą ktoś niedawno ofiarował na rzecz uniwersytetu - powiedziała reporterowi dziewczyna.

- A przynajmniej sądzę, że był jej częścią. W każdym razie, teraz go nie ma. Jest jedyną rzeczą, której brakuję, z tego co mogę stwierdzić.

- Hmm. A mogłaby pani opisać jak wyglądał ten miecz?

- Jest angielski. Pochodzi z połowy siedemnastego wieku - odpowiedziała bez wahania. Ma orła albo sokoła wygrawerowanego wokół rękojeści.

Gideona zamarł, krew płynąca w jego żyłach nagle zamieniła się w lód.

- A głowicę wieńczy rubin - ciągnęła dalej młoda kobieta. - Utrzymywany na

miejscu przez rzeźbione stalowe szpony.

O, Chryste.

Gideon stał tam jak słup soli, sparaliżowany słowami, które wbiły się w jego mózg. Broń, którą studentka opisywała w takich detalach... była mu aż za dobrze znana. Bardzo dawno temu, trzymał ją we własnych dłoniach. Miecz zniknął tej nocy, gdy zostali zamordowani jego bracia bliźniacy. Przypuszczał, że zabrali go Szkarłatni, którzy dokonali tej masakry, podczas gdy Gideon przebywał poza Mroczną Przystanią. Nie chroniąc ich jak powinien był to robić.

Nie przypuszczał, że kiedyś znowu go ujrzy, nigdy tego nie pragnął. Nie po tamtej nocy. Nigdy nie wyobrażał sobie, że mógłby on w końcu dotrzeć tutaj, do Bostonu. Od jak dawna tu był? Do kogo należał?

I wreszcie, kto pragnął go tak bardzo, że był gotów dla niego zabić?

Potrzeba, by znaleźć odpowiedzi na te pytania rozpała ogień w jego żyłach. Musiał je poznać.

A kiedy wpatrywał się w śliczną studentkę na ekranie telewizyjnym, dokładnie wiedział, gdzie zacząć szukać.

PRZEKŁAD - **Red-Room**

ROZDZIAŁ 6



- TO BYŁ OSTATNI Z DZISIEJSZYCH ZWROTÓW, pani Kennefick.

Savannah włożyła kartę do nowej, popularnej powieści grozy o nieprzystosowanej nastolatce zwanej Carrie. Przyjrzała się książce, pełna współczucia dla fikcyjnej dziewczyny z liceum w Maine, która posiadała jakąś przerażającą moc. Kusiło ją, żeby odłożyć tę książkę dla siebie. Może by to zrobiła, gdyby ten dzień nie był już wystarczająco straszny.

Jej kierowniczką, starszą pani Kennefick, zaproponowała, żeby wzięła wolny wieczór, ale smutny fakt był taki, że ostatnią rzeczą, jaką Savannah pragnęła robić, było spędzanie samotnych godzin w pustym domu. Jej popołudniowa praca w bibliotece była pożądaną odskocznią od tego, co stało się na uniwersytecie.

Rachela nie żyła. Boże, Savannah prawie nie mogła w to uwierzyć. Jej żołądek zacisnął się na myśl o przyjaciółce i profesorze Keatonie, w chwili, gdy byli atakowani przez nieznanego napastnika. Łzy cisnęły się jej do oczu, ale je powstrzymała. Nie mogła sobie pozwolić, żeby zawładnęły nią szok i żal. Dziś wieczorem dwa razy musiała odejść od stanowiska zwrotów i w pośpiechu pobiec do łazienki, zanim szloch wyrwał się z jej gardła. Jeśli uda jej się wytrwać bez płaczu pozostałe czterdzieści pięć minut jej zmiany, to naprawdę będzie prawdziwy cud.

- Skończyłaś już, kochaniutka? - Pani Kennefick obchodząc stanowisko zwrotów,

przyglądała swój schludny, siwy koczek, po czym obciągnęła kolorowy, rozpinany sweter.

- Tak - odpowiedziała Savannah, dodając sfatygowany egzemplarz „Carrie” do przepelnionego koszyka zwrotów, które przyjęła tego wieczoru.

- Bardzo dobrze - starsza pani chwyciła za uchwyt wózka i odjechała nim, zanim Savannah zdołała ją powstrzymać. - Nie ma sensu, żebyś zostawała tu dłużej, kochaniutka. Pójdę poodkładać te zwroty. Zamkniesz za sobą, kiedy będziesz wychodziła?

- Ależ pani Kennefick, ja naprawdę mogę...

Kobieta machnęła ręką i poszła dalej, garbiąc się nad wózkiem, jej szara spódnica i buty na miękkiej podeszwie zniknęły bezszelestnie w labiryncie bibliotecznych korytarzy.

Savannah rzuciła okiem na ścienny zegar, obserwując wolno poruszającą się wskazówkę sekundową, szukała w myślach jakiegoś zajęcia, wiedząc, że to była tylko wymówka, by opóźnić powrót do rzeczywistości, która czekała na nią za drzwiami biblioteki. Skorzystała z okazji, by uporządkować kubek na ołówki i dozownik spinaczy do papieru pani Kennefick, posuwając się nawet do użycia mankietu rękawa swojego golfa, by zetrzeć nieistniejący kurz z nieskazitelnie czystej powierzchni biurka szefowej.

Savannah była zajęta poprawianiem kart bibliotecznych, gdy wyczuła jak delikatne włoski na jej karku unoszą się z powodu dziwnego przeczucia. Jakieś ciepło przeniknęło przez jej skórę, drażniące i niepokojące.

Ktoś był w bibliotece.

Pomimo, że w przyległym pomieszczeniu panowała niczym nie zmacona cisza, zasunęła szufladę z kartami i wyszła, by to sprawdzić.

Rzeczywiście, ktoś tam był.

Mężczyzna stał pośrodku sali, odwrócony do niej plecami, ubrany w długi czarny trencz, czarne wąskie spodnie i równie czarne buty na grubych podszewkach. Wyglądał na punka. Bardzo dużego punka.

Jeżu, facet musiał mieć ze dwa metry, a zbudowany był z samych solidnych mięśni.

Co sprawiło, że znalezienie go tutaj pogrążonego w cichym rozmyślaniu, wydawało się jeszcze bardziej absurdalne. Jego głowa pokryta krótką strzechą gęstych nastroszonych, blond włosów, odchyłona była do tyłu. Oglądał freski, które zakreślały pełne 360 stopni wokół wyłożonego boazerią, pomieszczenia w średniowiecznym stylu

Savannah podeszła do niego, ostrożna lecz zaintrygowana. - Biblioteka niedługo zostanie zamknięta. Czy pomóc ci coś znaleźć?

Powoli obrócił się w jej stronę i... och... łał...

Określenie punk mogło mieć zastosowanie jedynie do stylu jego stroju, ale na tym koniec. Był porażająco przystojny. Pod koroną złotych włosów, widoczne było szerokie czoło i wysokie kości policzkowe połączone z upartą kwadratową szczęką, która wydawała się bardziej pasować do filmowego amanta, niż kogoś, kto mógłby stać pośrodku Sali Abbey'a w Bostońskiej Bibliotece Publicznej.

- Tylko oglądam - powiedział po dłuższej chwili, z cieniem brytyjskiego akcentu w

niskim głosem. Zatem oglądał, ale już nie sztukę. Jego przenikliwe niebieskie oczy dotknęły jej spojrzenia i przytrzymały je. Ten chłodny, bystry wzrok wydawał się mieć moc przejrzenia na wskroś jej ciała i umysłu w ciągu zaledwie jednej sekundy.

Pod jego wpływem skóra Savannah wydawała się stawać coraz bardziej wrażliwa, sprawiając, że miękka dzianina beżowego golfu, opinająca jej gardło i piersi zaczęła przypominać papier ścierny. Zrobiło się jej za ciepło, poczuła się nazbyt przytłoczona jego spojrzeniem i zbyt świadoma niezwyklej mocy i skoncentrowanej męskości emanującej od stojącego przed nią nieznanego.

Starła się zachować atmosferę spokoju i profesjonalizmu, pomimo dziwnego chaosu, który opanował jej ośrodkowy układ nerwowy w reakcji na tego człowieka. Podeszła i stanęła obok niego, tylko po to, by uciec od jego badawczego wzroku i spojrziała w górę na serię piętnastu oryginalnych prac, przedstawiających Króla Artura i rycerzy Okrągłego Stołu, namalowanych dla biblioteki na przełomie wieków przez artystę Edwina Austina Abbey'a.

- Więc, co bardziej cię interesuje: prace Abbey'a, czy arturiańskie legendy?

Podążył wzrokiem za jej spojrzeniem. - Interesuję się wszystkim. Umysł nie jest naczyniem, które można napęczyć, lecz ogniem, który trzeba podsycać.

Savannah przypomniała sobie, że już gdzieś słyszała tę sentencję, prawdopodobnie podczas porannego wykładu. - To Plutarch? - zgadła.

W nagrodę została obdarzona rzuconym z ukosa uśmiechem, stojącego obok niej, zachwycającego nie-punka. - Studentka filozofii, jak mniemam.

- To nie jest mój ulubiony przedmiot, ale przewija się przez większość moich zajęć.

Na te słowa jego uśmiech nieco się poszerzył, jakby mentalnie dodał punkt do jej konta. Miał miły uśmiech. Równe białe zęby otoczone przez pełne wargi i ten angielski akcent wyczyniały zabawne rzeczy z jej tętnem.

- Pozwól mi zgadnąć - powiedział, znowu studiując ją w ten wytrącający z równowagi sposób. - Wellesley? Albo może Radcliffe?

Potrząsnęła głową przy wzmiance o dwóch prestiżowych, prywatnych żeńskich college'ach.- Uniwersytet Bostoński. Jestem studentką pierwszego roku historii sztuki.

- Historia sztuki. Niezwykły wybór. Obecnie większość studentów okazuje się być nastawionymi na wysokie profity lekarzami i prawnikami. Albo matematykami, dziećmiakami mającymi nadzieję zostać w przyszłości kolejnymi Einsteinami.

Savannah wzruszyła ramionami. - Przypuszczam, iż można powiedzieć, że w przeszłości czuję się bardziej komfortowo.

Normalnie, byłaby to stuprocentowa prawda. Ale nie ostatnio. Nie po tym, co wczoraj ukazała jej przeszłość miecza. Teraz, chciałaby móc cofnąć się w czasie i zapobiec dotykowi, który pokazał jej horror, jaki w przeszłości spotkał dwóch małych chłopców. Żałowała, że nie mogła wyprzeć z pamięci kolejnego przerażającego odkrycia, którego była świadkiem dalej śledząc historię ostrza... potworów, które po prostu nie mogły istnieć, chyba że jako wytwory najmroczniejszej fikcji.

Chciałaby być w stanie cofnąć zegar do momentu, w którym Rachel poinformowała ją o swojej randce z profesorem Keatonem, by mogła ją ostrzec, aby na nią nie szła. Teraz, po wszystkim, co się ostatnio zdarzyło, Savannah nie mogła już

odnaleźć w przeszłości dawnego komfortu.

- A tak przy okazji, mam na imię Gideon - głęboki baryton wciągnął ją z powrotem do terażniejszości, mile widziana lina łącząca z życiem, nawet jeśli zaoferowana przez nieznanego. Wyciągnął rękę, ale nie mogła zebrać się na odwagę, by ją przyjąć.

- Savannah - odpowiedziała cicho, splatając nagie dłonie za plecami i opierając się pokusie, by podać mu rękę, chociaż jej dar nie dotyczył żywych istot. Pomysł, by go dotknąć, był zarówno frapujący jak i niepokojący. Miała wrażenie, że powinna skądś go znać, może widziała w bibliotece albo gdzieś na mieście. Jednego była pewna, że nigdy wcześniej nie spotkała go w tej sali. - Ludzie na ogół nie przesiadują w tej części biblioteki. Czytelnia i hol są popularniejszymi miejscami.

Była nieco wytrącona z równowagi, ale on wydawał się tego nie zauważać, ani się tym nie przejmować. Te uderzająco niebieskie oczy popatrzyły na nią, studiowały ją. Prawie mogła usłyszeć trybiki poruszające się w jego umyśle, który analizował wszystko, co powiedziała i zrobiła. Szukając czegoś. - A ty, Savannah?

- Co, ja?

- Którą salę lubisz najbardziej?

- Och - zaśmiała się nerwowo, czując się głupio w jego towarzystwie, uczucie do którego nie była przyzwyczajona. Jakby żaden z przedmiotów jej studiów nie miał szansy kiedykolwiek przygotować ją do napotkania kogoś takiego jak on. To były szalone myśli. Założenia nie mające jakiegokolwiek logicznego sensu. A jednak tak czuła. Ten mężczyzna...*Gideon*, pomyślała, delektując się w duszy jego imieniem... wydawał się być kimś ponadczasowym i jednocześnie starożytnym. Jego nieporuszona, pewna siebie postawa mówiła, że niewiele rzeczy byłoby go w stanie

zaskoczyć.

- Ta sala jest moją ulubioną - wyszeptała z zażenowaniem. - Zawsze lubiłam historie o bohaterach.

Po jego ustach przemknął figlarny uśmiech. - Kręcą cię faceci zabijający smoki, albo uwalniający z wież uwięzione księżniczki?

Savannah rzuciła mu kose spojrzenie. - Nie, poszukiwanie prawdy przez kogoś, kto nie boi się tego robić, bez względu na koszty.

Przyjął jej ripostę z lekkim uniesieniem brody. - Nawet jeśli to oznacza ryzyko siedzenia na „Siege Perilous”?

Razem spojrzeli w górę na panel, przedstawiający tę część arturiańskiej legendy, krzesło przy Okrągłym Stole, które przepowiadało śmierć temu, kto na nim usiadzie i okaże się niegodnym szukania świętego Graala.

Savannah mogła wyczuć, że Gideon wciąż ją studiuje, mimo iż jego spojrzenie utkwione było we fresku. Żar jego dużego ciała, które znajdowało się bliżej niż przypuszczała, wydawał się przepalać jej odzież i ogrzewać skórę. Jej tętno zaczęło bić nieco szybciej z każdą sekundą milczenia, jakie zawisło pomiędzy nimi.

- Nastolatka - powiedział po chwili, z dziwną zadumą w głosie.- Nie zdawałem sobie sprawy, że jesteś taka młoda.

- Za kilka miesięcy skończę dziewiętnaście lat - odpowiedziała, niewytłumaczalnie obronnym tonem. - O co chodzi? A myślałaś, że ile mam lat? A ty w jakim jesteś wieku?

Powoli pokręcił głową. Po czym zniżył spojrzenie, żeby na nią popatrzeć.

- Powinienem już iść. Przecież mówiłaś, że zaraz zamykacie bibliotekę. Nie chcę odrywać cię od pracy.

- W porządku, jeśli chcesz możesz zostać jeszcze przez chwilę. Nie będę musiała cię wypraszać przez najbliższy kwadrans, tak więc do tego czasu, proszę bardzo, możesz podziwiać sztukę. - Rzuciła ostatnie spojrzenie na Sir Galahada, prowadzonego do krzesła, które miało potwierdzić jego honor, albo stać się jego nemezis, i nie mogła powstrzymać się przed wygłoszeniem kolejnego cytatu Plutarcha: Malarstwo jest milczącą poezją, a poezja... obrazem malowanym słowami.

Uśmiech, jaki Gideon posłał jej w odpowiedzi, sprawił, że prawie ugięły się pod nią kolana. - To prawda, Savannah. Rzeczywiście tak jest.

Ona również nie zdołała powstrzymać uśmiechu i po raz pierwszy tego dnia poczuła się odprężona. Poczowała radość i mimo, że mogło się to wydawać dziwne czuła się również pełna nadziei. Zelżały towarzyszące jej od rana; żal, szok i zagubienie.

Wystarczyło przypadkowe spotkanie z nieznanym, niespodziewana rozmowa. Kilka chwil uprzejmej pogawędki z kimś, kto nie miał pojęcia o tym, przez co dzisiaj przeszła. Ktoś, kto z powodu kaprysu i ciekawości zabłądził w pobliże jej stanowiska pracy i ni z tego, ni z owego, samą swoją obecnością sprawił, że najgorszy dzień jej życia nie wydawał się już taki okropny.

- Miło było cię spotkać, Gideonie.

- Wzajemnie, Savannah.

Teraz to ona była tą, która wyciągnęła rękę. Nie zawahał się jej przyjąć. Jego uścisk

był ciepły, tak jak się tego spodziewała, a długie palce swobodnie objęły jej dłoń. Kiedy przerwali kontakt, zastanawiała się, czy dla niego był on takim samym wstrząsem jak dla niej. Boże, ich krótkie zetknięcie było jak rozkoszny impuls elektryczny, gorący i musujący przez żyły. I nie mogła pozbyć się wrażenia, że coś w nim wydawało się jej znajome...

- Powinienem już iść - powtórzył, drugi raz tego wieczoru.

Nie chciała, żeby wyszedł, ale również nie mogła tak po prostu poprosić go, aby został. Nieprawdaż?

- Może się jeszcze kiedyś zobaczymy - wypaliła, zanim pozwoliła, by złe przeczucia wysłały impuls do jej mózgu.

Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, ale nie zareagował na jej słowa. Po czym, tak samo tajemniczy, jak w momencie, gdy po raz pierwszy go ujrzała, po prostu odwrócił się i wyszedł na zewnątrz, w noc.

GIDEON CZEKAŁ, PRZYKUCNAŁ JAK GARGULEC na rogu dachu biblioteki. Czekał na Savannah, która miała opuścić budynek kilka minut później. Miał zamiar odejść tak jak powiedział. Zdecydował się na to po kilkunastominutowej rozmowie... dowiedziawszy się, że była studentką pierwszego roku i na rany Chrystusa miała zaledwie osiemnaście lat... jego dążenie, żeby dowiedzieć się, kto posiada ten cholerny miecz, musiało przebiegać bez angażowania tej bystrej, niewinnej młodej kobiety.

Nie mógł wykorzystać Savannah dla uzyskania informacji. W ogóle nie chciał jej wykorzystywać.

I było pewne jak cholera, że nie powinien czaić się wokół jej miejsca pracy i podążać za nią ukradkiem, skacząc z jednego dachu na drugi, kiedy szła z biblioteki w stronę stacji metra. Jednak właśnie to robił, wmawiając sobie, że musi upewnić się, by ta delikatna dziewczyna dotarła bezpiecznie do domu, ponieważ w tym mieście roi się od ukrytych niebezpieczeństw. Mniejsza o to, że mogła słusznie i jego do nich zaliczyć, gdyby miała jakikolwiek pojęcie, kim naprawdę był.

Gideon zeskoczył w dół na poziom ulicy i wśliznął się na stację, zachowując odpowiedni dystans do Savannah. Wsiadł do innego wagonu, obserwując ją przez tłum, żeby upewnić się, czy jej powrót z pracy przebiegał bez przeszkód. Gdy opuściła metro przy Lower Allston, on również wysiadł, podążając za nią do skromnego pięciopiętrowego apartamentowca z czerwonej cegły, stojącego przy bocznej uliczce o nazwie Walbridge. Światło zapaliło się za przysłoniętym zasłoną oknem na drugim piętrze.

Począł jeszcze trochę, około półtorej godziny, kontynuując nieplanowane czuwanie z cienia po drugiej stronie ulicy, dopóki w mieszkaniu Savannah nie zgasło przyćmione światło.

Po czym, wtopił się z powrotem w ciemność, która była jego domem i polem bitwy.

PRZEKŁAD - **Red-Room**

ROZDZIAŁ 7



NASTĘPNEGO DNIA ZAJĘCIA Z HISTORII SZTUKI zostały oczywiście odwołane.

Budynek wydziału był cichy, w jego wnętrzu nie było dzisiaj żadnych studentów. Zaledwie garstka profesorów pracowała we własnych biurach. Plotki krążące po kampusie głosiły, że profesor Keaton będzie w pełni zdrowy. Nadal był w szpitalu, ale ktoś usłyszał, jak jeden z profesorów wspomniał, że Keaton powinien wrócić do pracy za parę tygodni albo jeszcze szybciej. To były jedyne dobre wieści w całej tej okropnej sytuacji.

Savannah pragnęłaby tylko, żeby również Rachelą miała tyle szczęścia

To właśnie śmierć przyjaciółki przywiodła Savannah na wydział historii sztuki, chociaż tego dnia nie odbywały się tu żadne wykłady. Wśliznęła się do wnętrza budynku, w niewytłumaczalny sposób przyciągana do tego miejsca straszliwej zbrodni.

Dlaczego Rachelą i profesor Keaton zostali zaatakowani? I przez kogo? Zabytkowy miecz był cenny, na pewno, ale czy to wystarczyło, by uzasadnić taką okropną, krwawą napaść?

Kiedy Savannah wspięła się po schodach na drugie piętro budynku, czuła się trochę

jakby zmierzała do swojego własnego Seat Perilous, w poszukiwaniu prawdy, chociaż nie była do końca pewna, czy jest przygotowana na jej poznanie, lub stawienie jej czoła.

Detektywi dawno opuścili to miejsce, a blokujące je taśmy zostały usunięte. Mimo to, samo przebywanie tuż obok niego studziło krew w żyłach Savannah, gdy zbliżyła się do drzwi biura profesora Keatona usytuowanego na końcu korytarza. Ale musiała jeszcze raz obejrzeć ten pokój. Miała nadzieję znaleźć coś, co przeoczyła, coś, co pozwoliłoby jej zrozumieć sens i przyczynę tego zdarzenia.

Drzwi do biura Keatona były zamknięte na klucz. Tak samo jak archiwum i znajdująca się obok sala wykładowa.

Cholera.

Savannah szarpnęła za klamkę, to było wszystko, co mogła zrobić. Przecież nie była w stanie sforsować zamkniętych drzwi. Nie, chyba że chciałaby zejść na dół i próbować przekonać któregoś z profesorów, by wpuścił ją do środka. Chociaż starała się unikać kłamstwa i manipulacji, jej umysł zaczął pracować nad wymyśleniem pretekstów, które mogłyby pozwolić uzyskać dostęp do zamkniętych pomieszczeń.

Przypadkowo zostawiła w sali wykładowej jedną ze swoich książek i potrzebowała jej do zbliżającego się egzaminu. Zgubiła indeks i myślała, że być może znajdzie go w swoim notatniku, który znajdował się w sali. Musiała skończyć katalogować ostatnią pozycję z archiwizowanej kolekcji, by upewnić się, że otrzyma dodatkowe punkty za to zadanie, kiedy profesor Keaton wróci na uczelnię.

Jasne. Każda kolejna wymówka, jeszcze bardziej kulawa od poprzedniej.

Nie, żeby uczciwa odpowiedź była bardziej przekonująca: chciała dostać się do

biura profesora Keatona, żeby obmacać nagimi dłońmi wszystko, co znajdzie się w zasięgu jej wzroku, by przekonać się, czy zdoła znaleźć jakiegokolwiek tropy, które mogła pominąć policja.

Westchnąwszy głęboko, Savannah zaczęła się odwracać, żeby wyjść. Kiedy się odwracała, jej uwagę przyciągnęło coś leżące na podłodze w głębi korytarza.

Cienkie, metalowe kółko.

Czy to mogło być to, co miała na myśli?

Podbiegła, żeby na to spojrzeć, czując zarówno ekscytację, jak i odrazę, widząc delikatną ozdobę leżącą u jej stóp. Natychmiast ją rozpoznała. Jedna z bransoletek Racheli. Musiała spaść z jej nadgarstka, gdy wywozili ciało dziewczyny.

Całe jestestwo Savannah wzdrygnęło się na widok splamionego krwią dowodu cierpienia Racheli. Jednak musiała dotknąć bransoletki. Cokolwiek ta tragiczna pamiątka mogła jej przekazać, Savannah musiała to wiedzieć.

Podniosła ją z podłogi, zaciskając palce wokół zimnego metalowego kółka. Jej parapsychiczny dar natychmiast się obudził. Impuls pochodzący z bransoletki poruszył ją do głębi, wspomnienia mieszkające w metalu były przerażająco świeże.

Zobaczyła Rachel w biurze Keatona. Jej twarz wykrzywiało pierwotne, śmiertelne przerażenie. Savannah nie musiała długo czekać, żeby zrozumieć dlaczego....

Nagle i bez ostrzeżenia, spojrzała w twarz bestii, która napadła na Rachelę. Bo to była bestia. Ten sam rodzaj potwora z kłami i płonącymi oczyma, o którym Savannah próbowała zapomnieć od chwili, gdy dotknęła starego miecza. Za wyjątkiem tego, że potwór nie był ubrany w opończę z kapturem, jak grupa, która

zamordowała małych chłopców. Ta bestia nosiła ciemny, kosztowny garnitur i świeżo wyprasowaną białą koszulę, strój dżentelmena i elegancko wystylizowane brązowe włosy, ale miała twarz potwora z koszmarów.

Istota rzuciła się na Rachelę, ukazując ostre jak brzytwy kły, które zatopiła w gardle dziewczyny.

O, mój Boże.

To niemożliwe. Nie mogła znowu tego widzieć. Przecież to nie mogło być rzeczywiste. Czyżby traciła zdrowe zmysły?

Savannah nie mogła zaczerpnąć powietrza. Jej płuca były zaciśnięte, paliły jak żywy ogień w klatce piersiowej. Serce uderzało gwałtownie, powodując dudnienie w uszach. Nie mogła wydobyć z siebie głosu, chociaż całe jej ciało wydawało się być jednym wielkim krzykiem.

Wpatrywała się w bransoletkę, która leżała teraz na jej rozwartej, zwróconej ku górze dłoni. Każdy z jej instynktów nakazywał, by odrzuciła od siebie ten przedmiot tak szybko i daleko jak tylko zdoła. Ale to było wszystko, co pozostało jej po przyjaciółce. A ponadto ten kruchy krąg metalu zawierał coś, co mogło być jedynym dowodem obciążającym zabójcę Racheli.

Musiała komuś powiedzieć o tym, co zobaczyła.

Ale komu?

Jej dar psychometrii był wystarczająco dziwaczny, ale oczekiwać, że ktoś jej uwierzy, gdy będzie próbowała wyjaśniać, że dzięki swojej zdolności widziała potwory... nie raz, ale dwa razy...

Pomyśleliby, że jej odbiło.

Cholera, możliwe, że mieliby rację.

Siostra Savannah, Amelie, już od dawna twierdziła, że ich matka jest trochę stuknięta. Może to było dziedziczne. W tej chwili to było dla niej jedynym, sensownym wyjaśnieniem tego, czego doświadczyła w ciągu paru minionych dni. Nie wiedziała, co zrobić, ani do kogo się zwrócić. Potrzebowała czasu, by pomyśleć, odzyskać nad sobą kontrolę, zanim całkiem się zagubi.

Savannah wrzuciła bransoletkę Racheli do torby na książki i wypadła z budynku.

GIDEON PONOWNIE ZASTUKAŁ w drzwi do mieszkania Savannah, wcale nie przekonany, czy te odwiedziny były dobrym pomysłem.

Co więcej, nadłożenie drogi podczas pierwszej godziny patrolu, aby przejść obok biblioteki w nadziei na ujrzanie dziewczyny, również nie było wybitnie logicznym posunięciem.

Niemniej, to też zrobił i zmartwił się wiadomością, że Savannah była nieobecna na swojej zmianie. Czy to było złe posunięcie, czy nie, nie mógł powstrzymać swoich butów przed zanieśieniem go przez miasto do progu jej skromnego mieszkania.

Kiedy jego knykcie po raz trzeci zabębniły w drzwi, usłyszał w końcu jakiś ruch wewnątrz. Wiedział, że była w domu; jego dar mu to zdradził, chociaż wydawała się zdecydowana ignorować tego, kto stał pod drzwiami. Otwór wizjera pociemniał, kiedy przez niego zerknęła, po czym usłyszał delikatne sapnięcie po drugiej stronie

drzwi.

Jeden zamek został zwolniony, a po nim drugi. Savannah otworzyła drzwi, na jej twarzy widoczny był wyraz zaskoczenia. Gideon chłonał jej obraz, począwszy od pięknych, ciemnych oczu, poprzez zmysłowe usta, aż do ślicznych krągłości i szczupłych, długich kończyn. Dziś wieczorem była ubrana dla wygody, w rozszerzane dżinsy, które opinały jej biodra i uda i biały podkoszulek bez rękawów z logo jakiejś rockowej kapeli, założony pod spraną, rozpiętą dżinsową koszulę.

I na klejnoty Mahometa... pod jaskrawoczerwonymi literami tworzącymi napis Rolling Stones, jej biust był zupełnie nagi. Niespodziewany widok tych sprężystych małych piersi sprawił, że prawie zapomniał po co przyszedł.

- Gideon?

Niezupełnie serdeczne powitanie, biorąc po uwagę sposób, w jaki zbiegły się jej delikatne ciemne brwi, gdy na niego spojrzała. Rzuciła szybkie spojrzenie na znajdującą się za jego plecami klatkę schodową, wyglądając na zmieszaną i podenerwowaną. Gdy znowu spojrzała na niego, jej konsternacja jeszcze się pogłębiła.

- Co tu robisz? Skąd wiesz, gdzie mieszkam?

Wiedział, że ta część rekonesansu może stanowić problem, ale to było ryzyko, które gotów był podjąć.- Dziś wieczorem przechodziłem obok biblioteki i pomyślałem, że chciałbym znowu cię zobaczyć. Twoja kierowniczką powiedziała, że zadzwoniłaś, by poinformować ją, że jesteś chora. Wydawała bardzo się martwić. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że wpadłem, żeby sprawdzić, co u ciebie.

- Pani Kennefick podał ci mój adres?

Starsza dama nie zrobiła tego, ale Gideon ani tego nie potwierdził, ani temu nie zaprzeczył.

- Jesteś chora?

Zmarszczone czoło Savannah nieco się rozluźniło. - Już jest lepiej - powiedziała, ale mógł zobaczyć, że jest wytrącana z równowagi, zdenerwowana. Była zbyt blada, a jej usta i twarz wyrażały napięcie. - Nie powinieneś tu przychodzić. Czuję się dobrze, ale to naprawdę nie jest odpowiedni moment, Gideon.

Coś tu było bardzo nie tak. Mógł poczuć niepokój, który emanował od niej w niemal namacalnych falach. Strach Savannah wisiał ciężko w dzielącej ich dwustopowej odległości. - Czy coś ci się stało?

- Nie mnie - niewyraźnie pokręciła głową i krzyżując ramiona na piersi, zasłoniła się nimi jak tarczą. Jej głos był słaby, cichy. - Coś się stało mojej przyjaciółce Racheli, dziewczynie, z którą dzieliłam to mieszkanie. Zginęła parę nocy temu. Ona i jeden z profesorów Bostońskiego Uniwersytetu zostali zaatakowani. Profesor Keaton przeżył, ale Rachel...

- Przykro mi z powodu twojej przyjaciółki - powiedział Gideon. - Nie wiedziałem.

To było bliskie prawdy. Nie wiedział, że Savannah była przyjaciółką jednej z ofiar. Widział, że dziewczyna jest zrozpaczona, ale było w tym coś więcej, a wojownik w nim odnosił się podejrzliwie do wszystkiego, czego jeszcze nie dane mu było poznać w związku z tą sytuacją.

- Ostatnio słyszałem coś w wiadomościach na temat kradzieży w budynku Historii Sztuki na terenie kampusu - powiedział spokojnie. - Twoja przyjaciółka i profesor

zostali zaatakowani podczas włamania i kradzieży jakiegoś reliktu, prawda?

Savannah wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę, jakby nie mogła się zdecydować, czy mu odpowiedzieć. - Nie jestem pewna, co zdarzyło się tamtej nocy - wymruczała w końcu.

Rozplotła swoje ramiona i oparła jedną rękę na krawędzi drzwi. Zrobiła krok do tyłu. Dłoń oparta o drzwi, teraz zaczęła powoli je zamykać.

- Dzięki za odwiedzin, Gideon. W tej chwili nie jestem w nastroju na rozmowy, więc...

Gdy ona się wycofała, on przesunął się krok do przodu. - Czy spotkało cię coś złego, Savannah? Możesz mi powiedzieć.

Potrząsnęła głową.- Nie chcę o tym rozmawiać. Nie mogę...

Żołądek Gideona zacisnął się z niepokoju. - Straciłaś kogoś, kto był ci bliski. Wiem, że to dla ciebie niełatwe. Ale wczoraj wieczorem w bibliotece, wyglądałaś inaczej. Nie byłaś tak wyraźnie zdenerwowana, jak teraz. Coś cię przerażyło, Savannah. Nie spróbuj temu zaprzeczać. Coś ci się dzisiaj przydarzyło.

- Nie - wydusiła to słowo, jakby musiała je zmuszać, by wyszło przez jej usta. Proszę cię, Gideonie. Nie chcę już o tym rozmawiać.

Rozpaczliwie próbowała trzymać się w kupie, widział jej wysiłek. Ale naprawdę była naprawdę roztrzęsiona, przejęta czymś głębszym niż zwykły żal albo strach.

Była przerażona.

Przyjrzał się jej dokładniej, widząc głębię jej przerażenia w drzeniu, które przeszywało ją od stóp do głów. Dobry Boże, co do cholery mogło doprowadzić ją do takiego stanu?

- Savannah, czy ktoś ci groził? - Krew zaczęła w nim kipieć na samą tą myśl. - Czy ktoś cię skrzywdził?

Milcząco pokręciła głową i cofnęła się do swojego mieszkania, zostawiając go stojącego w otwartych drzwiach. Wszedł za nią, bez zaproszenia, ale nie mógł tak po prostu odejść i zostawić ją w spokoju, by samotnie radziła sobie z tym, co wprowadziło ją w takie przerażenie.

Gideon zamknął za sobą drzwi i przeszedł do ciasnego pokoju dziennego. Jego spojrzenie zabłąkało się w kierunku sypialni z lewej, gdzie na łóżku leżała otwarta walizka z kilkoma sztukami zwiniętej odzieży wrzuconymi do środka.

- Wybierasz się gdzieś?

- Potrzebuję wyjechać na jakiś czas - odpowiedziała, wciąż idąc przed nim do małego salonu i trzymając go za swoimi plecami. - Muszę oczyścić umysł. Jedynym miejscem, gdzie mogę to zrobić jest mój dom, muszę wrócić do Atchafalaya. Dziś po południu zadzwoniłam do swojej siostry. Amelie też myśli, że będzie najlepiej, jeśli przyjadę do domu.

- Luizjana? - zapytał.- To cholernie długa droga, żeby jedynie oczyścić umysł.

- Tam jest mój dom. Miejsce, do którego należę.

- Nie - rzucił krótkie zaprzeczenie. - Coś wprowadziło cię w panikę i po prostu uciekasz. Miałem cię za silniejszą, Savannah. Myślałem, że lubisz bohaterów, którzy mocno stali na nogach i kontynuowali poszukiwanie prawdy, bez względu na koszty.

- Nic o mnie nie wiesz - wypaliła w odpowiedzi i odwróciła się, by stanąć z nim twarzą w twarz. Jej ciemno-brązowe oczy przeszywały go z gorącą mieszaniną strachu i gniewu. Znowu skrzyżowała ramiona na piersi w geście samoobrony.

Podszedł do niej nieśpiesznie. Stała bez ruchu, obserwując jak Gideon się zbliża. Nie wycofywała się teraz, ale trzymała ramiona napięte i mocno zaciśnięte wokół siebie, odgradzając się od niego... a być może od wszystkich... którzy naprawdę chcieliby się do niej zbliżyć.

Gideon ujął jedną z jej rąk stanowczym, ale delikatnym chwytem. - Nie musisz się przede mną bronić. Jestem jednym z tych dobrych facetów. - powiedział, po czym chwycił jej drugą dłoń i opuścił oporne ramiona do jej boków.

Jej pierś unosiła się i opadała za każdym płytkim, szybkim oddechem. Ujął w dłonie jej delikatny podbródek, skóra pod opuszkami jego kciuków była gładka i kremowa, a wargi pełne i miękkie jak satyna w kolorze ciemnego różu. Nie mógł się oprzeć, żeby choć raz nie spróbować ich smaku.

Objął palcami jej ciepłą szyję i przyciągnął ją do siebie i musnął ustami jej wargi. Była słodsza niż to sobie wyobrażał, żar jej ust i delikatność pocałunku obudziły w nim podobne pragnienie, jakie musiał odczuwać człowiek przemierzający pustynię na widok zimnej, czystej wody.

Gideon nie mógł się powstrzymać, by nie przytulić jej mocniej do siebie, badając połączenie jej zaciśniętych warg, koniuszkiem swojego usychającego z tęsknoty języka. Wpuściła go ze słodkim jękiem, jej ręce zawinęły się wokół jego ramion w geście cudownej kapitulacji.

Zsunął z niej dżinsową koszulę, więc mógł poczuć nagą skórę dziewczęcych

ramion. Błąd. Ponieważ teraz napięte brodawki swobodnych piersi Savannah wpijały się w jego tors, świadomość tego przepalała na wylot jego czarną skórzaną kurtkę i T-shirt, podniecając go tak szybko, jakby stała przed nim całkowicie naga.

Poczuł, jak równocześnie z przetaczającym się przez niego jak fala ognia pożądaniem wysuwają się ostre czubki jego kłów. Dobrze, że miał zamknięte oczy, inaczej bursztynowy blask tęczy, w jednej sekundzie zdradziłby jej, że jest czymś zupełnie innym niż zwykła ludzka istota. Gideon warknął w jej usta, wmawiając sobie, że ta błyskawiczna, niebezpieczna namiętność była po prostu wynikiem długotrwałej, dobrowolnej posuchy.

Jasne. Gdyby tylko sam mógł w to uwierzyć.

To, co czuł, było czymś dużo bardziej zaskakującym i niepokojącym. Ponieważ w tym momencie nie chodziło o pragnienie jakiegokolwiek kobiety. Tylko właśnie tej.

Może wyczuła mroczną moc jego pożądania. Bóg wiedział, że musiała ją poczuć. Jego fiut uwięziony pomiędzy nimi był twardy jak stal, żyły pulsowały żądaniem, by ją wziął. Uczynił swoją.

- Gideon, ja nie mogę - wyrwała się z jego objęć, nerwowo chwytając oddech. Przycisnęła zaciśniętą w pięść dłoń do lśniących, spuchniętych od pocałunków ust.
- Przykro mi, nie mogę tego robić - wyszeptała łamiącym się głosem. - Nie mogę zacząć pragnąć czegoś tak cudownego, kiedy wszystko inne wokół mnie wydaje się być straszne i pokręcone. Jestem teraz okropnie zdezorientowana.

- Cholera, on też. Dezorientacja była dla niego całkowicie obcym uczuciem. Ta kobieta wytrącała go z równowagi od pierwszej chwili, w której ją spotkał; jej błyskotliwe odpowiedzi w bibliotece i ten intensywny pociąg, jaki w nim wzbudzała, kiedy tylko znalazł się w jej pobliżu.

Nie przyszedł do jej mieszkania po to, by ją uwieść, ale teraz, kiedy spróbował jak smakowała, nie mógł przestać jej pragnąć. Bardzo. Ich pocałunek pozostawił po sobie gorące pożądanie wypełniające jego ciało, pierwszy raz od wielu lat, większej ich liczby niż pragnąłby pamiętać. Musiał przywołać całą swoją samokontrolę, by uspokoić szalejący puls i upewnić się, że bursztynowy blask zniknie z jego oczu, zanim napotka jej spojrzenie, a kły cofną się, zanim spróbuje mówić, żeby jego zęby znowu zaczęły przypominać ludzkie.

Savannah westchnęła głęboko. - Nigdy w całym swoim życiu nie czułam się taka zagubiona i zdezorientowana. I masz rację, Gideonie. Boję się.

Wyglądała tak słodko i bezradnie. Tak samotnie. - Boję się, że popadam w obłąd.

Podszedł bliżej kręcąc głową. - Nie wydajesz się być bardziej szalona niż ja.

- Ty nic nie wiesz - odpowiedziała, jej głos był cichy.- Nikt nie wie, oprócz Amelie.

- Nikt nie wie czego, Savannah?

- Tego, że widzę pewne... rzeczy. - pozwoliła temu oświadczeniu zawisnąć pomiędzy nimi przez dłuższą chwilę, wpatrując się w jego twarz w oczekiwaniu na reakcję. - Widziałam atak na Rachelę. Widziałam, jak została zamordowana. Widziałam... potwora, który to zrobił.

Gideon spiął się wewnętrznie na jej wzmiankę o potworze. Jednak starał się zachować neutralny wyraz twarzy, starannie wytrenowany obraz spokoju i cierpliwego rozumienia, mimo że wewnątrz wszystkie jego instynkty Rasy były w pełnej gotowości, dzwoniąc na alarm.

- Co masz na myśli, mówiąc że widziałas zabójstwo swojej przyjaciółki? Byłaś tam?

Powoli pokręciła głowę. - Zobaczyłam to, kiedy znalazłam jedną z bransoletek Racheli, leżącą obok biura profesora Keatona. Nosiła ją tamtej nocy. Dotknęłam bransoletki, a ona pokazała mi wszystko. - Jej wargi zacisnęły się, jakby nie była pewna, czy powinna mówić dalej. - Ja nie potrafię wyjaśnić, jak ani dlaczego, ale kiedy dotykam przedmiotu... mogę widzieć przeblyski jego przeszłości.

- A gdy dotknęłaś bransoletki, zobaczyłaś śmierć swojej przyjaciółki.

- Tak - Savannah wpatrywała się w niego wzrokiem pełnym ponadczasowej mądrości. Mrocznym od ponurej, niezachwianej świadomości. - Widziałam jak Rachel była mordowana przez jakąś nieludzką istotę, Gideonie. Wyglądała jak człowiek, ale nie mogła nim być. Nie ze spiczastymi kłami i okropnymi jarzącymi się żółtymi oczami.

Kurwa. Chryste Mać.

Pomijając fakt, że właśnie przyznała się do posiadania potężnego pozazmysłowego... daru, czegoś, co wielu śmiertelników próbowało udawać, a naprawdę miało bardzo niewiele... to ta druga rzecz, którą ujawniła Savannah sprawiła, że żyły Gideona ścisnął nagły chłód.

Gdy nie odpowiedział natychmiast, Savannah stłumiła pozbawiony radości śmiech.- Teraz już na pewno myślisz, że mam bzika.

- Nie - Nie sądził, by była szalona. Był jak najdalszy od tego. Była inteligentna i piękna. W tych wrażliwych, brązowych oczach, które nie oglądały nawet dwudziestu wiosen, dostrzegał wiekową mądrość. Była niezwykła i teraz Gideon zastanawiał się,

czy było w Savannah coś jeszcze, co dopiero musiał odkryć.

Ale zanim zaczął zadawać różne pytania... pytania na temat jej daru i czy jej ciało nie nosiło żadnych niezwykłych znamion... ona odwróciła się do niego plecami i odpowiedź znalazła się na linii jego wzroku. Niewielki czerwony znak na lewym ramieniu, tylko częściowo widoczny spod wąskiego ramiączka jej białego bezrękawnika był bardzo charakterystyczny: łza wpadająca do kołyski półksiężycy.

Savannah nie była zwykłą kobietą.

Była Dawczynią Życia.

Jasna cholera. To nie było dobre, wcale, a wcale. Istniał specjalny protokół obowiązujący wtedy, gdy dochodziło do odkrycia kobiet takich jak Savannah, żyjących wśród społeczeństwa homo sapiens. Ten protokół na pewno nie zawierał próby uwiedzenia ani dwulicowości, dwóch rzeczy pomiędzy którymi balansował teraz Gideon, jak linoskoczek na wysoko zawieszanej linie.

- Skoro, moja umysłowa niestabilność sprawiła, że oniemiałeś - ciągnęła dalej, kiedy, co nietypowe dla niego zabrakło mu słów i opuściła go zdolność szybkiego rozwiązywania problemów. - Więc, może powiem ci o mojej kolejnej wizji. W kolekcji antyków, którą katalogowałam był miecz, bardzo stary miecz. Jedyny przedmiot, jaki zaginął tamtej nocy. Tego miecza też dotykałam, Gideonie.

Odwróciła się, by ponownie na niego spojrzeć. - Ukazał mi ten sam rodzaj istot... bo faktycznie było ich kilka. Używając tego miecza, dawno temu, zamordowali dwóch małych chłopców. Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś tak okropnego. Nie, dopóki nie zobaczyłam, co przydarzyło się Racheli. Wiem, że pewnie nie wierzysz w te historie...

- Wierzę, Savannah - umysł mu się burzył z powodu konsekwencji wszystkiego, co usłyszał, wszystkiego, co dostrzegł w tej przerażonej, ale szczerzej dziewczynie.

- Wierzę w to, co powiedziałaś i chcę ci pomóc.

- Jak możesz mi pomóc?

Usłyszał nutę rozpaczony w jej głosie. Była zmęczona, emocjonalnie wyczerpana. Podeszła do zapadniętej kanapy i uginając kolana opadła na nią, objęła dłońmi swoją głowę. - Jak ktokolwiek może pomóc mi z czymś takim? Podkreślam, że nie ma żadnego możliwego sposobu, by potwierdzić, że to, co zobaczyłam, było rzeczywiste. To nie ma żadnego sensu, prawda?

Boże, dopomóż mu, ale niemal chciał wyznać jej prawdę, tu i teraz. Chciał wyjaśnić jej wszystko, pomóc nadać sens temu, co sprawiło, że była taka przygnębiona i niepewna.

Ale nie mógł. Nie miał do tego prawa.

Zakon musiał zostać powiadomiony o istnieniu Savannah. Jako wojownik... cholera, tak samo jak jakikolwiek inny członek Rasy... Gideon był zobowiązany upewnić się, że ta kobieta zostanie łagodnie wprowadzona do ich świata i dana będzie jej możliwość wyboru, jakie miejsce zechce w nim zająć, a nie bez wyczucia wrzucać ją w sam środek tego, co w nim najgorsze.

- To, co widziałam, nie ma żadnego sensu - wyszeptała. Ale może i tak powinnam pójść z tym na policję?

- Nie możesz tego zrobić, Savannah - jego słowa padły zbyt szybko, były zbyt dosadne. To było rozkaz, a on już nie mógł tego cofnąć.

Podniosła głowę, a następnie zmarszczyła czoło, unosząc brwi. - Muszę komuś powiedzieć, nieprawdaż?

- Już to zrobiłaś. Powiedziałaś mnie - podszedł i przysiadł obok niej na kanapie. Nie wzdrygnęła się ani nie cofnęła, kiedy położył swoją rękę na jej plecach i zaczął je delikatnie gładzić.

- Pozwól, żebym ci pomógł.

- Jak?

Sięgnął wolną dłonią, by pogłaskać aksamitny łuk jej policzka.- Na tę chwilę, po prostu musisz mi zaufać, że mogę to zrobić.

Uniosła swój wzrok na dłuższą chwilę, po czym skinęła głową i wtuliła się w jego objęcia. Oparła głowę tuż nad jego sercem, a smukłe, miękkie i ciepłe ciało ułożyło mu się wygodnie w ramionach. Musiał walczyć, by utrzymać w ryzach swoje pożądanie, kiedy Savannah tak słodko tuliła się do niego. Ale teraz potrzebowała pocieszenia i komfortu. Musiała poczuć się bezpieczna. Mógł jej to dać, przynajmniej w tym momencie.

Gideon trzymał ją, aż twardo zasnęła w jego ramionach. Jakiś czas później, może kilka godzin, zdjął ją z kanapy i delikatnie zaniósł do łóżka, żeby było jej wygodniej. Został z nią prawie do świtu, strzegąc jej. Upewniając się, że była bezpieczna.

I zastanawiając się, w co do cholery się pakuje.

PRZEKŁAD - **Red-Room**

ROZDZIAŁ 8



- POWIEDZ MI, ŻE TO JAKIŚ PIEPRZONY ŻART! - Lucan Thorne nie był wcale zadowolony słysząc, że Gideon urwał się bez zezwolenia z nocnego patrolu. Jeszcze mniej zachwycała go informacja, gdzie Gideon spędził te godziny. - Cholerna Dawczyni Życia? Coś ty sobie myślał, człowieku?

Pochodzący z pierwszego pokolenia lider Zakonu stłumił paskudne przekleństwo.

- Może wcale nie myślałeś. W każdym razie nie mózgiem. Co, samo w sobie, budzi poważne obawy, jeśli chcesz znać moje zdanie. Nigdy nie zapomniałeś o swoich obowiązkach względem Zakonu, Gideon. Ani razu, przez te wszystkie lata.

- Teraz również nie straciłem ich z oczu.

Siedział w sali narad wraz z Lucanem i Teganem, ten pierwszy promieniował furią i przemierzał pomieszczenie jak dziki kot zamknięty w klatce. Drugi niedbale rozparł się w fotelu na przeciwległym krańcu stołu, okazując mniej niż mierne zaciekawienie wczesnoporannymi ekscesami Gideona. Bezmyślnie bawił się piórem, kręcąc nim na okładce notatnika, w którym zapisywano plany misji.

- Moje zainteresowanie tą kobietą nie ma nic wspólnego ze sprawami Zakonu. Mówiłem ci, to jest osobiste.

- Dokładnie o to mi chodzi - burzowo szare oczy Lucana zwężyły się, gdy na niego

spojrzał. - W tej operacji nie ma miejsca na prywatne sprawy. Zajmowanie się własnymi interesami prowadzi do zaniedbań. A gdy stajesz się niedbały, zaczynają ginąć twoi współtowarzysze.

- Zajmę się tym, Lucan.

- To nie zależy od twojej decyzji, Gid. Znasz protokół. Musimy poinformować o niej Mroczne Przystanie, to ich zadanie. My nie zajmujemy się sprawami wymagającymi dyplomacji i to z cholernie istotnych powodów.

- Ona była świadkiem napadu wampira na ludzi - wypalił Gideon; studentki, która po tym ataku wylądowała w kostnicy i jednego z profesorów uniwersytetu. Zamordowana dziewczyna była współlokatorką Savannah. Została zabita przez jednego z naszego rodzaju.

Szczęki Lucana zacisnęły się jeszcze mocniej. - Jesteś tego pewny? Chcesz powiedzieć, że ta Dawczyni Życia... Savannah... była tam, kiedy to się zdarzyło?

- Jej dar, Lucanie to psychometria. Gdy dotyka przedmiotu może zobaczyć migawki z jego przeszłości. Właśnie w ten sposób ujrzała zabójstwo swojej przyjaciółki.

- Czy komuś o tym mówiła? - zapytał Tegan, przeciągając samogłoski ze swojego miejsca na końcu stołu.

- Nie. Tylko mnie - odpowiedział Gideon. - Postarałem się, żeby tak było... zarówno dla jej dobra jak i całej naszej rasy. To jeszcze nie wszystko, co zobaczyła swoim darem.

W tym momencie obaj wojownicy pierwszego pokolenia utkwili w nim pytające

spojrzenia.? - Czy ten syf może wyglądać jeszcze gorzej? - warknął Lucan.

W noc ataku, z uniwersyteckiego archiwum został zabrany pewien miecz. Miecz, który znam bardzo dobrze, ponieważ to właśnie nim posłużyła się grupa Szkarłatnych do zgładzenia moich młodszych braci, tej nocy, gdy dokonali masakry naszej Mrocznej Przystani w Londynie. Gideon odchrząknął, wciąż czując smak dymu, który pozostawał mu w ustach jeszcze całe miesiące po pożarze stajni.

- Savannah dotknęła również tego miecza. Zobaczyła Szkarłatnych i to, co zrobili z moją rodziną. Do tej chwili nie poświęciłem temu cholernemu mieczowi ani jednej myśli. Dopóki nie wypłynął tu, w Bostonie, jakieś trzy stulecia po tamtym zdarzeniu.

- Wypłynął tylko po to, by ponownie zniknąć - mruknął Tegan.

- Właśnie. Muszę dowiedzieć się, w czyim posiadaniu jest teraz to ostrze.

Tegan bez przekonania pokiwał głową, zbyt długie, płowe włosy opadały mu na oczy, jednak nie całkiem maskując intensywność jego szmaragdowo -zielonego spojrzenia. - Myślisz, że istnieje związek pomiędzy mieczem znalezionym tu, w Bostonie, a morderstwem twoich braci wieki temu.

- To jest właśnie pytanie, na które muszę znaleźć odpowiedź - odpowiedział Gideon. - A nie będę w stanie tego zrobić, chyba że Savannah zdoła zidentyfikować mężczyznę Rasy, odpowiedzialnego za atak na uniwersytecie.

- A co z drugą ofiarą, tą, która przeżyła? - zapytał Lucan. - To jest potencjalny świadek, który faktycznie tam był.

Gideon potrząsnął głową. - On wciąż przebywa w szpitalu, jego stan jest krytyczny. Za jakiś czas można będzie wpaść do niego w odwiedziny w celu dyskretnego

przesłuchania i wyczyszczenia mu pamięci. Savannah już teraz może mi dać wszystko, czego potrzebuję.

Pomimo, że Lucan nie mówił zbyt wiele, Gideon mógł dostrzec cień podejrzliwości w bystrych oczach Lidera. - Ryzykujesz zbyt wiele, pozostając w pobliżu tej kobiety. Ona jest Dawczynią Życia, Gideonie. To może być w porządku dla facetów takich, jak Con i Rio, ale dla któregoś z nas? - Spojrzał na Tegana, po czym z powrotem na Gideona. - Jesteśmy najstarszymi członkami Zakonu. Jego rdzeniem. Każdy z nas był świadkiem tak wielu gównianych sytuacji, że powinien wiedzieć, iż nie jest dobrze mieszać związków z kobietami i więzi krwi z wojną. W końcu ktoś zawsze zostanie zraniony.

- Nie szukam partnerki, do kurwy nędzy - odpowiedź Gideon była ostra, ale zabrzmiała też zbyt defensywnie, nawet dla jego własnych uszu. Wysapał soczyste przekleństwo. - I nie mam najmniejszego zamiaru jej skrzywdzić.

- I dobrze - rzucił Lucan. - Więc nie będziesz mieć z tym żadnego problemu, jeśli dogadam się z jakąś Mroczną Przystanią, by wysłali kogoś do mieszkania tej dziewczyny i wzięli ją pod swoją opiekę na czas przygotowania jej do życia w naszym świecie, pośród społeczności Rasy.

Gideon najeżył się, zerwał z krzesła i podszedł, aby zmierzyć się ze swoim starym kumplem i przywódcą Zakonu. - Wprowadzą ją w trans i rzucają do pierwszej lepszej bostońskiej Mrocznej Przystani? Nie ma takiej opcji. Ona jest tylko wystraszonego, zdezorientowanego dzieciakiem, Lucanie.

- Nie zachowujesz się, jakby chodziło o dzieciaka. Zachowujesz się, jakbyś czuł się odpowiedzialny za tę kobietę. To wygląda mi na coś poważniejszego niż przelotne zainteresowanie.

Chryste, czyżby?

Gideon chciał zdementować to oskarżenie, ale słowa osiadły mu w gardle jak zimny ołów. Nie miał zamiaru czuć cegokolwiek do Savannah i na pewno nie spodziewał się tego nagłego ukłucia zaborczości na samą myśl o odejściu i pozostawieniu kwestii jej bezpieczeństwa, dobrobytu i opieki w gestii cywilnej części Rasy. Nigdy nie mógłby nawet wyobrazić sobie dnia, w którym stanie przeciwko Lucanowi Thorne, wyraźnie sprzeciwiając się jego rozkazowi, nie mówiąc już o takim rozkazie, który, co Gideon czuł głęboko w swoich trzewiach, Lucan miał pełne prawo wydać. Chociażby dla dobra samej Savannah, jeśli nie z innej ważniejszej przyczyny.

Lucan osadził Gideona zaciętym spojrzeniem.- Ona tam teraz jest, chodząc wokół ze słowem „wampir” na końcu języka. Jak myślisz, ilu ludziom powie, zanim będziemy mieli szansę ją powstrzymać? Przecież, na litość boską powiedziała o tym tobie. A co, jeśli w następnej kolejności pójdzie z tym na policję?

- Ona tego nie zrobi - zapewnił Gideon, pragnąc by Lucan w to uwierzył. - Obiecałem, że pomogę jej rozwiązać wszelkie problemy. Powiedziałem jej, że może mi zaufać.

- Zaufać tobie? Przecież dopiero co cię poznała - wytknął mu Lucan. - Ma kolegów z uczelni, którym mogła opowiedzieć tę historię. Ma jakąś rodzinę?

Gideon skinął głową. - Siostrę w Luizjanie. Nie wiem o nikim więcej. Ale mogę się dowiedzieć. Mogę zadbać o wszystkie luźne końce. Chcę być tym, kto wyjaśni wszystko Savannah. Po wczorajszej nocy jestem jej to winien.

Lucan chrząknął z kamiennym wyrazem twarzy, wciąż nieprzekonany.

Gideon nie ustawał w wysiłkach.- Chcę wiedzieć, co robi w Bostonie miecz, który został użyty, by zabić moich braci. Muszę wiedzieć, kto go ma i dlaczego. Sądzę, że Zakon również chciałby poznać tą odpowiedź, wiedząc, że sukinsyn, o którym mowa, by go dostać, zamordował jednego człowieka, a drugiego pozostawił bliskiego śmierci.

- Nie możemy pozostawić jej samej sobie, Gid. Wiedza, jaką posiada, jest zagrożeniem dla całej społeczności Rasy. Stanowi również niebezpieczeństwo dla niej samej, jeśli ten kto zabił jej współlokatorkę, jakimś sposobem dowie się, że był świadek i skieruje swoją uwagę na Savannah.

Na samą myśl o tym krew w żyłach Gideona zamieniła się w lód. Wyrwałby flaki każdemu mężczyźnie Rasy, który choćby ją dotknął z zamiarem wyrządzenia jej krzywdy. - Nie pozwolę nikomu jej zranić. Ona musi być chroniona.

- Masz rację - powiedział Lucan. - Ale to oznacza czuwanie nad nią w dzień i w nocy, a to jest niewykonalne, dopóki ona będzie żyć wśród ludzkiej populacji. A my nie wprowadzamy do naszej kwatery cywilów i niezwiązanych kobiet. - Spojrzenie Lucana było twarde, a na jego kwadratowej szczęce drgało napięte ścięgno. - Chcesz zacząć zapoznawać ją z Rasą i naszym światem, świetnie. Masz moje błogosławieństwo. Chcesz sprawdzić, czy jej dar może pomóc nam zdemaskować łajdaka, który zaatakował tych ludzi, na to również masz moją zgodę.

Gideon skinął głową, wdzięczny za szansę i odczuwając ulgę większą niż powinien, mając przed sobą perspektywę opieki nad Savannah.

Lucan odchrząknął znacząco. - Zabierz ją jak najszybciej i przesłuchaj. Ale zrób to w bezpiecznych murach miejscowej Mrocznej Przystani. To jest teraz dla niej najlepsze miejsce, Gideon. Wiesz o tym.

Wiedział. Ale to wcale nie oznaczało, że musiał być szczęśliwy z tego powodu. I nie był. Jednak w tej chwili, nie dostrzegał żadnych lepszych opcji.

- Wykonam kilka telefonów - powiedział Lucan. - Ten plan wchodzi w życie dziś wieczorem.

Gideon nadal stał, zaciskając zęby, a kiedy lider Zakonu opuścił pomieszczenie, zwinął dłonie w pięści i przycisnął je do ud. Chwilę później Tegan wstał z krzesła. Podeszedł do Gideona, studiując go tym swoim, nie dającym się odczytać spojrzeniem. Ukrywał coś w swojej dłoni... złożoną kartkę papieru, wyrwaną z notesu, który leżał na stole obok pióra, którym bawił się podczas zaimprovizowanego spotkania.

- Co to? - zapytał Gideon, kiedy postawny wojownik pierwszego pokolenia podał mu złożony czworokąt papieru.

Tegan nie odpowiedział.

Wyszedł zamaszystym krokiem z sali narad i bez słowa ruszył w głąb korytarza.

NASTĘPNEGO POPOŁUDNIA miasteczko uniwersyteckie wypełnione było studentami. Młodzi ludzie siedzieli w grupkach pod wysokimi, bujnymi dębami, jedząc lunch, lub grali w różne gry na rozległych, zielonych trawnikach. Wydawało się, jakby praktycznie każdy korzystał ze słonecznego i ciepłego, październikowego dnia. Sielski obrazek świata, który wyglądał na taki niewinny. Taki... normalny.

Savannah przeszła obok swoich beztrosko śmiejących się i rozmawiających kolegów z uczelni, pośpiesznie krocząc po betonowym chodniku, ciasno obejmowała

ramionami swoją torbę z podręcznikami.

Właśnie wyszła ze spotkania ze swoim promotorem, który udzielił jej pozwolenia na krótki urlop okolicznościowy. Niedługo, za kilka godzin pojedzie do domu. Pomimo, że powiedziała promotorowi, że spodziewa się wrócić na uczelnię za kilka tygodni, po załatwieniu „osobistych spraw,” Savannah nie była pewna, czy było dość czasu na świecie, by móc pogodzić się ze wszystkim, co zobaczyła przez parę ostatnich dni.

Wciąż zastanawiała się, czy czasami nie traci zdrowych zmysłów. Gideon wczorajszej nocy nie wydawał się tak myśleć. To było niewiarygodnie słodkie z jego strony, że chciał sprawdzić co u niej, zaniepokojony wiadomością o jej chorobie, kiedy próbował odwiedzić ją w pracy. Jego troska, pomimo że zupełnie niesprowokowana i niespodziewana, była dokładnie tym, czego potrzebowała. A pocałunek również nie był taki zły. Prawdę mówiąc, okazał się niewiarygodny. Była zupełnie nieprzygotowana do tego, jak cudownie poczuła się w jego ramionach, gdy zawładnął jej ustami. Gdyby się skoncentrowała, mogłaby jeszcze poczuć ciepło jego warg. Jej ciało również pamiętało, każde zakończenie nerwowe mrowiło i rozgrzewało się na samą myśl o ponownym znalezieniu się w jego objęciach.

Jeśli Gideon byłby gorszym człowiekiem, mógłby wczorajszej nocy wykorzystać jej rozchwianie emocjonalne i próbować dostać się do jej majtek. Bóg wiedział, że po pocałunku, jaki dzielili, ona prawdopodobnie nie potrzebowałaby zbyt wielkiej perswazji, żeby pozwolić mu posunąć się dalej.

Tak naprawdę, śniła, że pozostał z nią przez większą część nocy. Ale gdy obudziła się dziś rano samotnie w łóżku, nie było po nim żadnego znaku, a ona wciąż była ubrana w podkoszulek i dzinsy.

Czy kiedyś znowu go zobaczy?

To nie było zbyt prawdopodobne. Nie miała pojęcia jak się z nim skontaktować. Nie wiedziała, gdzie mieszkał, ani czym się zajmował. Nawet nie знаła jego pełnego imienia i nazwiska. Jakoś, od chwili ich pierwszego przypadkowego spotkania, udało mu się uniknąć odkrycia przed nią jakichkolwiek istotnych faktów o sobie, poza tym, że był świetnie odczytany i wykształcony. Nie wspominając już o tym, że nieskończenie cierpliwy i wyrozumiały, gdy szło o rozhisteryzowane kobiety, mające o nadnaturalnych zdolnościach i nieziemskich istotach, które nie powinny istnieć poza krwawymi horrorami i powieściami grozy.

Faktycznie, Gideon był więcej niż cierpliwy i wyrozumiały. Był dla niej źródłem spokoju, wspierał ją bardziej niż mogłaby się spodziewać. Jakaś jej część uwierzyła mu, gdy powiedział, że może jej pomóc wszystko wyjaśnić. Że pragnął pomóc jej zrozumieć to, o czym mu powiedziała, chociaż w duchu musiał podejrzewać, że była bardziej niż trochę stuknięta.

Jakaś jej część wierzyła, że Gideon był w stanie spełnić wszystko to, co obiecał. On po prostu roztaczał wokół siebie atmosferę totalnej i niezachwianej pewności siebie. Wypełniał każde pomieszczenie, w którym się znajdował, niedającą się określić mocą. Jego inteligentne niebieskie oczy mówiły każdemu, kto w nie spojrzał, że posiadał poczucie humoru i doświadczenie człowieka dwa razy od niego starszego.

A tak na marginesie, to ile on mógł mieć lat?

Savannah w myślach dawała mu około trzydziestki, ale nie mogła być pewna. Nie odpowiedział, gdy zapytała go o wiek tej pierwszej nocy w bibliotece. Wyglądał na zbyt światowego, zbyt rozsądnego, by być od niej starszy o zaledwie dekadę lub coś koło tego. Musiał być znacznie starszy niż przypuszczała, mimo to jego twarz nie miała żadnych zmarszczek, żadnych blizn ani skaz, które mogłyby zdradzić jego wiek.

A jego ciało... czuła, że było zbudowane z solidnych mięśni i silnych, niezniszczalnych kości. Ponadczasowe, jak wiele innych rzeczy, jakie w nim dostrzegła. A kiedy tak o nim myślała, uzmysłowiła sobie, że było w Gideonie coś dziwnie znajomego. Patrząc na niego, podświadomie czuła, jakby spotkali się już wcześniej, chociaż to było niemożliwe.

Pomimo entuzjazmu jej zmysłów... oraz innych części anatomii... była pewna, że spotkała Gideona po raz pierwszy dwie noce temu w sali Abbey'a, Bostońskiej Biblioteki Publicznej. Dwie noce temu był dla niej nieznajomym. Nieznajomym, który nie zasłużył sobie, by zwała na niego swoje problemy, rzeczywiste lub wyimaginowane.

Właśnie z tego powodu, po porannym telefonie od Amelie, która powiedziała, że kupiła dla niej bilet na autobus i będzie czekać na nią wieczorem na przystanku, Savannah zgodziła się, iż prawdopodobnie będzie dla niej najlepiej wrócić na jakiś czas do Luizjany.

Miała jeszcze jedną sprawę do załatwienia w kampusie, a potem wróci do swojego mieszkania, by skończyć pakowanie. Żałowała, że nie było sposobu, by mogła jeszcze zobaczyć Gideona, zanim wyjedzie i przynajmniej się z nim pożegnać. Ale poza koczowaniem przed biblioteką w nadziei, że on może pokazać się tam dzisiejszego popołudnia, nie widziała żadnej możliwości zlokalizowania go, zanim będzie musiała pojechać na dworzec.

Może pani Kenefick mogła wiedzieć o nim coś więcej? Pracowała w dziale dokumentacji bibliotecznej przez całe swoje dorosłe życie; jeśli Gideon był czytelnikiem, to może pani Kenefick mogłaby podać Savannah jego pełne imię i nazwisko, lub nawet adres. To w każdym razie, mógłby być jakiś punkt zaczepienia. Savannah postanowiła zadzwonić do niej i zapytać, gdy tylko załatwi sprawę na

wydziale Anglistyki.

Ta pełna nadziei myśl spowodowała taki gwałtowny przepływ krwi przez jej żyły, że Savannah ledwie zauważyła białego Firebirda, który powoli toczył się obok niej po ulicy. Boczne okno od strony pasażera zostało opuszczone, uwalniając dobiegający z wnętrza samochodu rytm disco. Rozdrażniona Savannah zerknęła na niego, mrużąc oczy w słońcu, podczas gdy kierowca jeszcze bardziej zredukował swoją prędkość, by dostosować ją do jej tempa.

Był ostatnią osobą, którą spodziewała się dzisiaj zobaczyć. - Profesor Keaton?

- Savannah. Jak się masz?

- Ja? - zapytała, pełna niedowierzania.

Zatrzymała się i pochyliła, by móc lepiej mu się przyjrzeć. - Ze mną wszystko w porządku, ale co z panem? Już pan opuścił szpital? Słyszałam, że zwolnią pana dopiero za ponad tydzień.

- Wyszedłem godzinę temu. Dzięki Bogu za cuda współczesnej medycyny! - jego uśmiech wydawał się nieszczerzy, nie sięgał oczu. Wyglądał blado i niewyraźnie, jego zazwyczaj śniada cera miała woskowy odcień, kontrastujący z ciemnym kolorem wąsów i krzaczastych brwi. Sprawiał wrażenie wyczerpanego, jak bywalec nocnych klubów po weekendowej libacji.

I nic dziwnego... dwa dni temu tego mężczyznę odwieziono nieprzytomnego na OIOM. A teraz siedział za kierownicą swojego podrasowanego, sportowego auta, słuchając głosu Barrego White'a, płynącego z głośników.

Savannah podeszła do samochodu i pochyliła się, by porozmawiać z nim przez

okno od strony pasażera. - Jest pan pewny, że powinien pan opuszczać szpital? Dwa dni temu prawie stracił pan życie, profesorze. Przynajmniej tak wyglądało, po tym wszystkim, co pan przeszedł...

Obserwował jej zmieszanie, wyraz jego twarzy był teraz chłodny i trzeźwy. - Masz na myśli, że wcale nie powinno mnie teraz tu być, Savannah? Że również nie powinienem żyć, skoro twoja przyjaciółka została zamordowana.

- Nie - potrząsnęła głową, wprawiona w zakłopotanie tym, że źle zrozumiał jej niezdarny dobór słów. - Wcale tak nie sędzę. Nigdy bym tak nie pomyślała, naprawdę.

- Próbowałem ją chronić. Chciałem ją ocalić, Savannah. Ale nic nie mogłem zrobić. Mam nadzieję, że mi wierzysz i zdołasz wybaczyć.

- Oczywiście - szepnęła. - Jestem pewna, że zrobił pan wszystko, co mógł. Nikt nie mógłby obwiniać pana o to, co przytrafiło się Racheli.

Kiedy wymawiała te uspokajające słowa, nie mogła powstrzymać wizerunku twarzy potwora, który uformował się przed oczami jej umysłu. Okropne kły. Płonące węgle, które były jego oczami. Na to wspomnienie jej skóra pokryła się zimnym potem, posyłając wzdłuż kręgosłupa przeszywające do szpiku kości dreszcze.

Jednak Keaton wyglądał na dziwnie nieporuszonego. Wydawał się jakoś odizolowany od terroru, jaki musiał znieść tamtej nocy, spokojnie akceptując cud swojego przetrwania po ataku przez coś nieludzkiego, potwornego. Albo w rzeczywistości nie dawał poznać po sobie głębi przerażenia, które było jego udziałem lub ukrywał je przed nią.

Chyba, że to darowi Savannah nie można było zaufać. Nigdy nie była w stanie w

pełni go kontrolować i może stawał się coraz mniej wiarygodny. Może nie traciła zmysłów, a jedynie swoje zdolności, które tak długo próbowała trzymać w sekrecie przed resztą świata.

- Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak straszne musiało być dla pana to doświadczenie, profesorze. Zarówno dla pana, jak i dla Racheli - obserwowała go badawczo, szukając jakichkolwiek rys w jego stoickiej postawie.- Kiedy próbował pan ocalić jej życie, czy widział pan twarz napastnika?

- Tak - odpowiedział, nawet nie mrugając okiem. - Widziałem ją przez chwilę, tuż zanim straciłem przytomność.

Oddech zamarł w płucach Savannah. - Czy pan komuś o tym mówił?

- Oczywiście. Powiedziałem policji dziś rano, gdy przyszli odwiedzić mnie w szpitalu, zanim mnie wypisano.

Savannah przełknęła, niezbyt pewna, czy chciała usłyszeć potwierdzenie widzianego przez nią horroru z ust innej osoby. - Co im pan powiedział, profesorze?

- Opowiedziałem im o tym, co widziałem. To był włóczęga, który prawdopodobnie wszedł tam z ulicy, szukając czegoś wartościowego, za co mógłby uzyskać pieniądze na narkotyki. Racheli i ja zaskoczyliśmy go, więc zaatakował nas jak dzikie zwierzę.

Savannah słuchała, przez chwilę niezdolna do wymówienia jednego słowa. To nie miało sensu. Nie, żeby to, co zobaczyła w przeblasku z bransoletki Racheli było bardziej sensowne, ale mogła powiedzieć, że Keaton kłamie. - Jest pan tego pewien? Jest pan pewien, że to był włóczęga, a nie... ktoś inny?

Wówczas Keaton się zaśmiał, krótkim szczekliwym śmiechem. Nagle wyłączył

radio, jego ruchy były zbyt szybkie. - Czy jestem pewny? Jestem jedyną osobą, która wie, co się tam stało. Oczywiście, że jestem pewien. O co w tym wszystkim chodzi, Savannah? Co się z tobą dzieje?

- Nic - potrząsnęła głową. - Po prostu próbuję zrozumieć, co się tam zdarzyło.

- Dokładnie to, co powiedziałem - sięgnął ponad dźwignią zmiany biegów do klamki po stronie pasażera. - Dokąd idziesz?

- Na wydział Anglistyki - odpowiedziała sztywno, czując niewytłumaczalny przyływ niepokoju. - Mam spotkać się z moim profesorem, żeby wziąć jakieś prace do zrobienia w domu, kiedy będę na urlopie okolicznościowym.

- Opuszczasz uczelnię? - zapytał. Brzmiał, jakby był zaskoczony, ale jego twarz pozostała dziwnie beznamietna, pusta i niedająca się odczytać. - Czy to z powodu tego, co się stało?

- Muszę już iść - odsunęła się od drzwi, uważając, by kontrolować swoje ruchy i zachować pogodny ton głosu, podczas gdy w pośpiechu usiłowała sformułować jakieś ochronne kłamstwo.- Mamy teraz pewne kłopoty w domu i moja rodzina mnie potrzebuje.

- Rozumiem - Keaton kiwnął głową. - Jestem pewien, że słyszałaś, iż pogrzeb Racheli odbędzie się na Brooklinie pod koniec tego tygodnia. Wiem, że zostałam w Bostonie sama jak palec, więc jeśli byś chciała, mógłbym cię zabrać...

- Nie, dziękuję panu.

Oczywiście słyszała o ostatnim pożegnaniu Racheli. Złożyła już kondolencje i wyrazy najgłębszego żalu jej matce, gdy zrozpaczona kobieta zadzwoniła do niej, by

podać datę i godzinę tej smutnej uroczystości.

- Dziś wieczorem wyjeżdżam do Luizjany. Mam... czeka już na mnie zabukowany bilet...

- Tak szybko - zauważył. - No cóż, więc przynajmniej pozwól mi podrzucić cię na Wydział Anglistyki. Po drodze możemy jeszcze trochę porozmawiać.

Niepokój Savannah, co do jego osoby jeszcze się pogłębił. I do diabła, nie było mowy, żeby znalazła się obok niego, kiedy zachowywał się w ten sposób.

- Jestem już spóźniona. Będzie szybciej, jeśli pójde pieszo na przełaj przez kampus
- zmusiła się do swobodnego uśmiechu. - Ale dziękuję za propozycję, profesorze.
Teraz już naprawdę muszę iść.

- Jak chcesz - powiedział, po czym ponownie włączył radio. - Do zobaczenia wkrótce, Savannah.

Radośnie skinęła mu głową i wycofała się w kierunku bezpiecznego deptaka, na którym kłębił się tłum studentów, korzystających z przerwy na lunch.

Savannah obserwowała odjeżdżającego Keatona, a kiedy jego biały samochód zniknął za rogiem innej części kampusu, wypuściła oddech, który nieświadomie wstrzymywała. Po czym obróciła się w przeciwną stronę i pobiegła, jakby sam diabeł deptał jej po piętach.

PRZEKŁAD - **Red-Room**

ROZDZIAŁ 9



SAVANNAH USIADŁA NA BRZEGU swojej utwardzanej walizki przy stanowisku odjazdu autobusów na Dworcu Południowym, jej prawe kolano podrygiwało nerwowo. Autobus się spóźniał. Tego wieczoru przyjechała na dworzec parę godzin przed czasem, niecierpliwie pragnąc jak najszybciej znaleźć się w drodze do rodzinnego domu. Jej niecierpliwłość była niemal bliska desperacji.

Niepokojące spotkanie z profesorem Keatonem wystarczająco nadszarpnęło jej nerwy, stanowiąc dodatek do wszystkiego, przez co niedawno przeszła, ale to rozmowa telefoniczna z biblioteką, którą odbyła po powrocie do mieszkania, naprawdę spotęgowała stan dezorientacji i narastający niepokój Savannah.

Pani Kennefick nie była w stanie pomóc Savannah zlokalizować Gideona. Och, przypomniała sobie potężnego jasnowłosego mężczyznę w czarnych skórach, który minionej nocy wpadł do biblioteki, żeby zapytać o Savannah.

- Ciężko byłoby nie zauważyć takiego człowieka jak on - stwierdziła, co było niedopowiedzeniem roku. - On raczej nie wyglądał na typowego czytelnika.

Nie, w Gideonie wcale nie było niczego typowego. Za wyjątkiem faktu, że był płci męskiej i najwyraźniej znakomicie umiał kłamać kobiecie prosto w oczy. Kiedy bowiem zapytała panią Kennefick, czy podała ona Gideonowi jej adres, starsza kobieta wzdrygnęła się z oburzeniem na samą myśl o czymś takim.

- Nie, oczywiście, że nie, moja droga. Niestety, w dzisiejszych czasach nigdy nie można być nazbyt ostrożnym. Ale powiedział mi, że jest twoim przyjacielem. Mam nadzieję, że nie popełniłam nadużycia, gdy poinformowałam go, że zawiadomiłaś mnie telefonicznie o swojej chorobie.

Savannah uspokoiła starszą, życzliwą przełożoną, zapewniając ją, że nie zrobiła niczego złego, ale w duchu załazy ją wątpliwości. Teraz znalazł się wśród nich również Gideon. Skoro pani Kennefick nie wysłała go do mieszkania Savannah, to w jaki sposób ją znalazł? Niby dlaczego pozwolił jej myśleć, że dostał jej adres w uczciwy sposób? Nic już nie miało dla niej sensu. Nie mogła oprzeć się uczuciu podejrzliwości w stosunku do wszystkiego i każdego, jakby cały jej świat gwałtownie skręcił, opuszczając ścieżkę rzeczywistości.

Potrzebowała intensywnej domowej kuracji, żeby jej życie znowu wróciło na prawidłowe tory. By ponownie ustawić wszystko na właściwym miejscu. Była spragniona przysmaków Amelie i jej ciepłego ramienia, na którym mogłaby się oprzeć.

Niechby tylko, w końcu przyjechał ten cholerny autobus.

Miał już ponad dwadzieścia minut opóźnienia. Na zewnątrz dworca zrobiło się już ciemno. Wewnątrz tłoczyli się powracający z pracy podróżni, śpiesząc do swoich pociągów i autobusów, przywoływani skrzekiem niemal niezrozumiałych komunikatów, wykrzykiwanych przez zamontowane przy suficie głośniki. Powietrze wypełniał zapach spalin.

Wieczorna fala podróżnych rozjechała się do swoich domów, zostawiając Savannah i parę innych osób, czekających na jakiś komunikat, że faktycznie zdołają tego wieczoru opuścić dworzec. Właśnie głęboko ziewała, kiedy głośniki niezrozumiale wychrypiały coś na temat autobusu do Luizjany.

Savannah podniosła swoją walizkę i podbiegła do jednego z okienek biletowych.

- Przepraszam, nie zrozumiałam komunikatu podanego przed chwilą. Czy może informował on, kiedy pojedzie autobus do Nowego Orleanu?

- Za dziesięć minut.

Nareszcie. Miała jeszcze dość czasu, żeby skorzystać z toalety i w końcu znaleźć się w drodze do domu. Savannah podziękowała bileterowi, po czym z walizką w ręku ruszyła w kierunku przybytku dla pań, znajdującego się w głębi dworca. Nieporęczny bagaż utrudniał ten marsz do tego stopnia, że gdy zbliżała się do rzędu automatów telefonicznych i toalet, niemal nie potknęła się o obute, wielkie stopy bezdomnego, który koczował we wnęce tuż obok drzwi przybytku dla pań.

- Przepraszam - mruknęła, gdy zdała sobie sprawę, że go potrąciła. Wydawał się nie zwracać na to uwagi. Albo może nie był tego świadomy, lub spał, nie była w stanie tego stwierdzić. Osobnik w obszarpanej niebieskiej bluzie z kapturem i bardzo brudnych roboczych spodniach nawet nie podniósł głowy. Savannah nie mogła dostrzec jego twarzy. Długie, brudne włosy osłaniały jego czoło zwisając w dół, aż poza brodę. Savannah lepiej ujęła rączkę swojej walizki i okrążając jego ogromne, nieruchome ciało, weszła do toalety.

GIDEON ZDAŁ SOBIE SPRAWĘ, że Savannah nie ma w domu, nawet zanim zapukał w jej drzwi. Wewnątrz mieszkania nie paliło się światło, ani nie dobiegał stamtąd żaden dźwięk. Nie stwierdził również śladu życiowej energii, kiedy przeniknął ściany swoim darem. Szlag, może powinien najpierw spróbować zajrzeć do biblioteki, zamiast od razu sprawdzać czy nie ma jej w domu. Ale właśnie wtedy gdy zaczął zastanawiać się jak szybko uda mu się przebyć miasto, żeby jej tam

poszukać, chwycił go ściskający wnętrzości strach.

Chyba Savannah nie opuściłaby Bostonu... a może?

Przecież planowała to wczoraj wieczorem. Myślał, że zdołał przekonać ją do pozostania zapewnieniem, że jej pomoże, ale czy dała się na to złapać? Czyżby uważał, że wystarczy namiętny pocałunek i niejasna obietnica, iż jakimś cudownym sposobem zdoła sprawić, że wszystko zacznie wyglądać lepiej?

Kurwa. Był idiotą myśląc, że taka krucha zachęta zdoła ją zatrzymać. Nie mógłby jej obwinić, gdyby skończyła pakować swoją torbę i zwiłała do Luizjany niedługo po tym, jak dwanaście godzin temu chyłkiem wymknął się z jej łóżka.

Nie mógł tak głupio jej stracić.

Do cholery, nie mógł tak łatwo pozwolić jej odejść. I to roszczenie miało mniej wspólnego z celami Zakonu i protokołem Mrocznych Przystani, niżli byłby skłony się do tego przyznać, nawet przed samym sobą.

Gdyby Savannah odeszła, ścigałby ją.

Gideon złapał za klamkę śmiertelnym chwytem. Zamknięte na klucz. Był dostatecznie silny; mógł wyrwać tą cholerną rzecz siłą swojej pięści. Ale należał również do Rasy, a to oznaczało, że nie musiał uciekać się do taktyki jaskiniowca, skoro miał na swoje rozkazy dużo subtelniejsze instrumenty. Siłą swojego umysłu uwolnił dwie zasuwki z ich blokad. Drzwi otworzyły się gwałtownie i Gideon wśliznął się wnętrza mieszkania. Szybkie przeszukanie jej sypialni powiedziało mu, że jego najgorsze podejrzenia były słuszne.

Walizka Savannah zniknęła, a w małej, ciasnej garderobie znalazł tylko kilka

pustych wieszaków.

- Niech to szlag trafi - warknął, przechodząc do dziennego pokoju, gdzie zaledwie ubiegłej nocy całował ją i trzymał w ramionach, podczas gdy ona spała przytulona do niego na kanapie. Omiótł pomieszczenie badawczym spojrzeniem... szukając jakiegokolwiek tropu, który mógłby go do niej doprowadzić.

Jego wzrok skupił się na bloczku do notatek, leżącym obok kuchennego telefonu. Bardziej przefrunął niż przeszedł przez pokój, by sprawdzić notatnik. Ktoś zanotował śmiałym, pochyłym, odręcznym pismem nazwę *Dworzec Południowy*, a pod nią datę i godziny odjazdów. Rozkład jazdy autobusów.

Wyjazd Savannah do Nowego Orleanu.

A jeśli rozkład był dokładny, to już od ponad dwudziestu minut była w drodze.

Mimo to Gideon pośpieszył tam, zdecydowany ją złapać. Ruszył pieszo, geny Rasy pozwalały mu przemieszczać się dużo szybciej niż zdołałby to zrobić jakikolwiek pojazd skonstruowany przez człowieka.

Dla ludzi, których mijał, był tylko chłodnym podmuchem. Jego stopy płynęły nad chodnikiem i przez zatłoczone ulice, niosąc go w kierunku Dworca Południowego.

SAVANNAH POSTAWIŁA SWOJĄ WALIZKĘ obok automatu na papierowe ręczniki i weszła do środkowej kabiny. Zasunęła ledwo trzymający się zamek, słysząc ciche skrzypienie wejściowych drzwi do toalety, kiedy ktoś wszedł do środka kilka sekund za nią. Przy odrobinie szczęścia ten ktoś, nie pomyślałby, że jej poobijana walizka wyglądała dość interesująco, by ją kraść.

Właśnie miała rozpiąć dżinsy, gdy w pomieszczeniu rozległo się nagłym echem szuranie ciężkiego metalowego przedmiotu o beton, jakby ktoś ciągnął przepełniony pojemnik na śmieci po posadzce toalety. Czy to mógł być stróż albo sprzątaczką?

- Halo? Właśnie korzystam z kabiny - zawołała do osoby na zewnątrz.

A potem pożałowała, że nie trzymała języka za zębami, ponieważ nikt nie odpowiedział.

W pomieszczeniu zapadła głucha cisza, nie słyhać było niczego oprócz miękkiego kapania wody do jednej z białych, zatkanych umywalek, znajdującej się naprzeciwko kabin. Savannah zamarła, wszystkie jej zmysły zaczęły dzwonić na alarm.

Słuchała, mając nadzieję na dźwięk czyjegoś głosu... jakieś niezręczne przeprosiny za przeszkadzanie, prośba, żeby niedługo wyszła, ponieważ toaleta wymagała sprzątnięcia.

Nie usłyszała niczego. Była tam sama.

Nie, nie sama.

Zza drugiej strony chybottliwych metalowych drzwi dobiegł ja dźwięk chrapliwego oddechu. Ciężkie buty zaszurały po bardzo brudnej betonowej podłodze. Zatrzymały się przed jej kabiną.

Savannah natychmiast je rozpoznała.

Należały do bezdomnego mężczyzny, który spał na dworcu.

Przetoczyła się przez nią fala strachu, sprawiając że jej ciało pokryło się gęsią skórką, ale odezwała się najgroźniejszym tonem, na jaki mogła się zdobyć. - Lepiej natychmiast stąd wyjdź, dupku. Chyba, że chcesz spędzić tą noc w policyjnym areszcie.

Przez świst jego chrapliwego oddechu przebił się zdławiony chichot. Niski i złośliwy. Trochę obłąkańczy i może nie całkiem ludzki.

O Boże.

Savannah przełknęła ślinę. Została uwięziona w kabinie, nie wiedząc czy krzycheć i wciągać kogoś innego do jej koszmaru, albo nie odzywać się i błagać, żeby to była tylko kolejna sztuczka jej chwiejnego umysłu.

Przynajmniej zagrożenie znajdowało się po drugiej stronie drzwi. Może metalowy panel nie był najsolidniejszy, ale był zamknięty od wewnątrz. Dopóki dzieliły ich zaryglowane drzwi, dopóty była bezpieczna.

Ale na jak długo?

Nanosekundę później dostała swoją odpowiedź. Podczas gdy stała tam, drżąc pomiędzy toaletą a drzwiami, zasuwka rozsunęła się, jakby posiadała własną wolę.

DWORZEC POŁUDNIOWY był pełny pasażerów, którzy wysiedli z niedawno przybyłego pociągu, gdy Gideon wpadł do jego wnętrza. Lawirując pomiędzy mrowiem wypełniających go ludzi, jedni niecierpliwie zmierzali w określonym kierunku, inni snuli się bez celu, Gideon odszukał tablicę z godzinami odjazdów autobusów i znalazł ten, który miał zawieźć Savannah do Nowego Orleanu.

Był opóźniony.

Co mogłoby być doskonałą wiadomością, tyle że tablica pokazywała, że autokar odjechał już ze stacji. Opuścił ją dosłownie dwie minuty temu.

Gideon prawie nie mógł powściągać potrzeby, by walnąć w coś pięścią.

- Niech to cholera - zastanowił się nad pobiegnięciem za autobusem. Jeśli nawet nie złapałby go po drodze, to była szansa, że udałoby mu się to na pierwszym postoju. I co wtedy? Miałby wdrzeć się do środka i znaleźć Savannah wśród innych pasażerów?

A kiedy już by ją znalazł, co byłoby lepszą opcją: wprowadzić ją w trans i wyprowadzić z autobusu, próbując uniknąć zdemaskowania przy ponad stu świadkach? Czy też posadzić swój tyłek na siedzeniu obok i opowiedzieć jej w skrócie podczas jazdy po autostradzie nr 59 prowadzącej do Nowego Orleanu o Dawczyniach Życia, Szkarłatnych i obcych... którzy spłodzili wampiry?

Chryste, co za katastrofa.

Nie, żeby miał tu nazbyt wielki wybór.

Gideon ruszył w głąb dworca, przewidując w myślach potencjalne wyniki obu tych niezbyt idealnych scenariuszy, gdy znalazł się w pobliżu korytarza, prowadzącego do wyjścia, poczuł specyficzny słodkawy zapach.

Zmysły Rasy zidentyfikowały niewątpliwie, smród Szkarłatnego, znajdującego się gdzieś w pobliżu. Gideon rozejrzał się, szukając źródła woni. Na stacji wokół niego znajdowali się tylko ludzie. Mimo to uniesione włoski na karku, dawały mu

całkowitą pewność. Jego spojrzenie prześliznęło się po żółtym stożku blokującym drzwi do damskiej toalety, znajdującej się po drugiej stronie korytarza. Podeszedł bliżej, a obrzydliwy zapach zdziczałego wampira stał się intensywniejszy.

Jego dar przeniknął przez drewno i stalowe, wahadłowe drzwi, odnajdując w środku dwa źródła ciepła. Jedno potężne i masywne. Drugie, wysokie i szczupłe, zamarłe w miejscu naprzeciw stojącego przed nim zagrożenia.

Jasna cholera.

Savannah.

Całe ciało Gideon zapłonęło dziką, gwałtowną wściekłością. W jednej sekundzie znajdował się w korytarzu, a w następnej był już w zamkniętej toalecie, z impetem odpychając blokujący drzwi kosz na śmieci i skacząc na Szkarłatnego... dokładnie w chwili, gdy pijawka gotowała się do ataku na Savannah.

Z niskim pomrukiem, Gideon cisnął wampirem z dala od Savannah. Przycisnął plecy Szkarłatnego do ściany obok białych zlewów i brudnych luster po przeciwnej stronie pomieszczenia. Pod wpływem impetu uderzenia, oberwała się jedna ze starych umywalek, roztrzaskując się z głuchym łoskotem u stóp Gideona. Woda wytrysnęła z urwanego kurka, sycząc prawie tak samo głośno, jak zdziczały wampir walczący, by uwolnić się z nierozzerwalnego chwytu Gideona.

Pijawka charczała i warczała, zgrzytając poźółkłymi kłami, śmierdziała nałogiem i trującymi dowodami niedawnego karmienia się, ale jej złocistożółte oczy i wąskie szczeliny źrenic były nieruchome. To było spojrzenie łaknącej krwi, wygłodniałej bestii. A fakt, że ta bestia znalazła się na tyle blisko Savannah, by ją dotknąć, ugryźć, zabić... sprawił, że żyły Gideona drżały z pragnienia wymierzenia kary.

Pragnął wypatroszyć sukinsyna, który planował ją skrzywdzić.

I zrobiłby to, gdyby Savannah nie była tego świadkiem.

Jej przerażona twarz odbijała się w popękany lustrze za plecami Szkarłatnego, który wciąż się szarpał. Ciemne oczy Savannah były szerokie ze strachu, jej ładne usta zastygły w cichym krzyku, kiedy wpatrywała się w Gideona i bestię uwięzioną pomiędzy nim, a ścianą toalety.

- Uciekaj stąd - krzyknął do niej Gideon, gotowy, by wykończyć pijawkę, a nie chciał tego robić na jej oczach. - Poczekaj na mnie na zewnątrz, Savannah. Gwarantuję, że nie chcesz tego oglądać.

Jednak dziewczyna nawet nie drgnęła, być może nie była w stanie. Albo może był to zwyczajny kobiecy upór i ciekawość bystrego umysłu, który nie dawał się zawładnąć przerażeniu, gdy potrzeba odpowiedzi była ważniejsza.

Szkarłatny napiął się i podskoczył, próbując odrzucić Gideona. Było zbyt mało czasu by się wahać. Dworcowy harmider za drzwiami toalety maskował odgłosy walki, jednak musiała się ona jak najszybciej skończyć, zanim przyciągnie niechcianą uwagę. Gideon wyciągnął jeden ze swoich długich sztyletów z pochwy ukrytej pod czarnym trenczem.

Złocistożółte oczy pijawki podążyły za jego ruchem. Świadomość nieuchronnie zbliżającej się śmierci starła z jego ust szyderczy uśmiezek. Ryknął, jedna bardzo brudna ręka wystrzeliła, szukając wokół czegoś do obrony.

Nie dostał na to szansy.

Gideon zmienił swój uchwyt i nadział go na sztylet znajdujący się pomiędzy ich

ciałami. Ostrze zatoneło głęboko, pośrodku klatki piersiowej Szkarłatnego. Pijawka znieruchomiała, dysząc gwałtownie, płonące oczy wpatrywały się w Gideona, szkaradna twarz zwiotczała w wyrazie porażki.

Gideon przytrzymał sztylet w miejscu, podczas gdy chory wampir drżał na pokrytej tytanem stalowej klindze. Śmierć nie kazała na siebie czekać zbyt długo. Gideon puścił zwłoki, kiedy tytan zaczął pożerać Szkarłatnego, rozpuszczając go od wewnątrz. Za parę krótkich minut z ciała i kości umierającego zostanie jedynie popiół, a następnie całkowicie znikną jakiegokolwiek dowody jego istnienia.

Gideon odwrócił się do Savannah. - Czy jesteś ranna?

Milcząco, potrząsnęła głową. - Gideon... kim on był? Czym on był? - Chrapliwie zaczerpnęła powietrza. - Mój Boże, co tu się do cholery dzieje?

Gideon schował swoje skrwawione ostrze i podszedł do niej. Przyciągnął drżące ciało w swoje ramiona i łagodnie uniósł jej twarz. - Czy on cię dotknął?

- Nie - szepnęła. - Ale gdyby cię tu nie było...

Pocałował ją, to było zaledwie czułe, delikatne muśnięcie wargami jej ust.- Jestem tu. Będę chronić cię, Savannah. Ufasz mi?

- Tak - szepnęła. - Ufam ci. - Spojrzała obok niego, gdzie martwy Szkarłatny uległ szybkiemu rozkładowi, włącznie z ubraniem. - Ale nic nie rozumiem. W jaki sposób cokolwiek z tego może być prawdziwe?

- Chodź - wziął ją za rękę. - Tu może być ich więcej. Musimy stąd odejść.

Wyprowadził ją z toalety z powrotem w zgiełk dworca. W chwili gdy stanęli przy

krawężniku w chłodnym nocnym powietrzu, Gideon zaczął zastanawiać się dokąd mogli pójść.

Mieszkanie Savannah było po drugiej stronie miasta, kilka mil stąd. Nie, żeby zabranie jej tam wydawało się mądrym pomysłem. Szczerze wątpił, by ścigający ją na dworcu autobusowym Szkarłatny był nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności. Ktokolwiek posłał za nią pijawkę, bez wątpienia miał na oku również jej mieszkanie. I chociaż Gideon bardzo chciałby wiedzieć kim on był, to w tej chwili dobro Savannah było jego największą troską. Co powinno być wystarczającym powodem, by oddać ją pod opiekę najbliższej Mrocznej Przystani. Niewątpliwie, to byłby najlogiczniejszy i najbardziej pragmatyczny wybór. Ale logika i pragmatyzm mogły się teraz iść pieprzyć, miał to gdzieś.

Nie był gotowy, żeby opuścić Savannah, po wyrwaniu jej z tej okropnej sytuacji z tysiącem pytań potrzebujących odpowiedzi, tylko po to, aby przekazać ją pod skrzydła bardziej dyplomatycznej części narodu Rasy. Tak naprawdę, z trudnością wyobrażał sobie scenariusz, w którym musiałby oddać ją w ręce kogoś innego, po czym odejść. Poczul, jak jej delikatne palce zacisnęły się wokół jego szerokiej dłoni, kiedy stała przy nim w ciemnościach, czekając na jego decyzję. Powierzając mu swoją ochronę, ponieważ obiecał jej, że będzie przy nim bezpieczna.

Gideon spojrzał w jej aksamitnie brązowe oczy i doznał nagłego, gwałtownego przyływu instynktu opiekuńczego. Odesłanie jej teraz gdziekolwiek nie wchodziło w rachubę. To jego obowiązkiem było łagodne wprowadzenie jej do świata Rasy. Najeżył się na samą myśl na dopuszczeniu jakiegoś nieznajomego z Agencji Nadzoru, albo cywila w pobliże tej kobiety.

Jego kobiety.

Przepełnęła przez niego fala zaborczości, ostra i pierwotna, mająca swoje źródło

gdzieś głęboko w podświadomości. Pulsowała w żyłach, bębniąc mocno w uszach za każdym uderzeniem serca.

Pragnął jej.

Po tym jak widział ją tak blisko niebezpieczeństwa... po tym, jak zdał sobie sprawę, jak łatwo mógłby ją stracić tej nocy... Gideon pragnął tylko wziąć ją w ramiona i już nigdy jej z nich nie wypuszczać.

Nie zamierzał wciskać jej do Jakiejś Mrocznej Przystani, lub Agencji Nadzoru, nawet jeśli to oznaczało ignorowanie protokołu Rasy. Nawet, gdyby to oznaczało rażące zignorowanie rozkazów Lucana.

Gideon wsunął dłoń do kieszeni swojego czarnego munduru i wyjął złożony skrawek papieru, który Tegan wsunął mu w dłoń tego ranka. Przeczytał go w ciągu sekundy, zawierał jedynie adres, nic więcej.

Adres, który znajdował się zaledwie kilka przecznic od miejsca, gdzie teraz stali. Nie miał pewności, czego może tam oczekiwać, ale w tej chwili to wydawało się być jego najlepszą i jedyną opcją.

- Chodźmy - mruknął, muskając ustami jej ciepłą skroń. Savannah wtuliła się pod jego ramię, chwytając się go jak liny ratunkowej, a Gideon poprowadził ją z dala od ruchliwej pętli autobusowej.

PRZEKŁAD – **Red-Room**

ROZDZIAŁ 10



- CO TO ZA MIEJSCE?

Savannah stała obok Gideona w cichej, zabytkowej uliczce, która według jej obliczeń znajdowała się w odległości około mili od Dworca Południowego. Przed nimi majaczyła w mroku wąska, trzypiętrowa kamieniczka z czerwonej cegły. Była dość okazała, ale nie wyróżniała się wśród bogatego i eleganckiego sąsiedztwa.

Wewnątrz nie paliły się żadne światła, dom był mroczny i cichy. Okna zasłonięto solidnymi żaluzjami z czarnych metalowych listew. Wisząca na ganku lampa z żelaza i szkła była zimna i wygaszona, sprawiając że przejście i ganek były ciemne, kiedy przemierzali je w drodze do ciężkich drewnianych drzwi.

Dom, mimo jego całego pozornie przemyślanego wysiłku, by harmonizować z innymi na ulicy, wydawał się nieco upiorny w swoim kompletnym braku oznak życia.

Savannah starała się rozetrzeć chłód, który wędrował po jej ramionach, gdy wpatrywała się w tą martwą bryłę z cegieł i ciemności. - Czy ktoś tu mieszka? To miejsce jest ciche jak grobowiec.

- Nigdy wcześniej tu nie byłem - odpowiedział Gideon. Ze spuszczoną głową wpatrywał się intensywnie w zamek zamocowany na grubych dębowych drzwiach.

Pomimo, że nie zauważyła czy użył klucza, w ciągu kilku krótkich sekund zamek został otwarty i Gideon otworzył drzwi. - Wejść do środka.

Weszła za nim, niepewnie zatrzymując się w nieznanym miejscu. Wciąż była wstrząśnięta tym, co zdarzyło się na dworcu autobusowym. - Tu jest tak ciemno.

- Zostań tam, gdzie jesteś - jego głęboki głos z kojącym akcentem cicho zadudnił tuż przy niej, ciepłymi końcami palców pogładził ją po twarzy. - Znajdę ci jakieś światło.

Czekała, podczas gdy on gładko przeszedł przez pokój i włączył niewielką lampę stojącą kilka stóp od niej.

Miękkie światło ukazało niemal pustą przestrzeń. Jeden samotny fotel... grubo ciosany relikw z poprzedniego wieku... przysiadł obok prostego drewnianego stołu, na którym teraz świeciła się lampa. Po drugiej stronie pokoju, zimne, czarne palenisko kominka przyprawiało chłodne powietrze ostrym aromatem starego dymu z dawno wypalonego drewna.

Savannah ostrożnie podążyła tropem Gideona, kiedy opuścił pokój dzienny i wszedł do przyległego pomieszczenia. Skrzyżowała ramiona przed sobą, przytulając nagie palce do boków, by uniknąć przypadkowego dotyku, który mógłby obudzić jej paranormalny dar. Podejrzewała, że tego domu nigdy nie zamieszkiwała szczęśliwa rodzina, ani nie wypełniał radosny śmiech. Nie musiała budzić swojego daru, by to potwierdzić.

Nie, miała dość ciemności, która więziła ją już zbyt długo.

- Będziemy tu bezpieczni, Savannah - powiedział Gideon, włączając kolejną lampę. Zsunął swój czarny skórzany trencz i położył go na łóżku.

Wokół paska czarnych, wojskowych spodni nosił szeroki pas najeżony różnego rodzaju bronią... była wśród nich para pistoletów, oraz cała kolekcja noży, w tym śmiercionośny sztylet, którego dobył na dworcu. Zdjął pas i odłożył go na swój płaszcz. - Savannah, daję ci słowo, że nie pozwolę, by stało ci się coś złego. Wiesz, że możesz mi zaufać, prawda?

Kiwnęła głową i weszła do skromnej sypialni, natychmiast zauważając brak jakichkolwiek dekoracji i rzeczy osobistych. Łóżko było zaścielone, ale leżały na nim tylko skromne prześcieradła i jedna poduszka. Takiego rodzaju łóżka można było spodziewać się raczej w koszarach, a nie w prywatnym domu.

To miejsce wypełniał żal.

Głęboki, posępny smutek.

I wściekłość.

Mroczna, surowa... pochłaniająca.

Savannah zadrżała pod ciężarem tych emocji. Ale to wspomnienie tego, czego była świadkiem tej nocy, sprawiło, że ugięły się pod nią kolana. - Gideon, co się tam stało?

Boże, samo mówienie o tym sprawiło, że znowu mąciło się jej w głowie. Miała tyle pytań. Wylewały się z niej w pośpiechu. - Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać? W jaki sposób odgadłeś gdzie byłam... i że znalazłam się w tarapatach za tymi zamkniętymi drzwiami toalety? Jak udało ci się zrobić, to co zrobiłeś z tym... tym potworem? Widziałam, co się stało. Pchnąłeś go nożem, a on... - wypuściła drżący oddech, pragnąc zaprzeczyć temu, czego była świadkiem, mimo pewności, iż było to rzeczywiste. - Pchnąłeś go nożem, a on się rozpadł. Zabiłeś go, jakby to nie było nic

wielkiego. Jakbyś widywał ten rodzaj potworów już setki razy.

- Może nawet więcej, Savannah - Gideon przeszedł do niej, jego przystojna twarz była niepokojąco trzeźwa. - Zabiłem kilka setek takich jak on.

- Kilka setek - wyszeptała, przełykając niespokojnie po tych zdumiewających słowach. - Gideon, ten mężczyzna... ta istota... to nie był człowiek.

- Nie.

Savannah wpatrywała się w niego, starając się rozważyć jego spokojną odpowiedź. Miała nadzieję, że zaoferuje jej jakieś logiczne wyjaśnienie tego, co się wydarzyło, jakieś rozsądne zaprzeczenie, które uspokoiłoby jej narastającą panikę. Ale błyskotliwe poczucie humoru i dodająca otuchy pewność siebie, które zazwyczaj lśniły w jego niebieskich oczach, teraz jakoś nie dawały się odnaleźć. Jego twarz wypełniała spokojna powaga, która sprawiła, że wydawał się jednocześnie wrażliwy i śmiertelnie niebezpieczny. Dwie cechy, o których miała okazję osobiście się przekonać przez te kilka krótkich dni, odkąd zdążyła go poznać.

Westchnęła, próbując stłumić histerię, która groziła, że wespnie się po jej gardle i odetnie dopływ powietrza. - Potwór tego rodzaju zabił Rachelę oraz dwóch małych chłopców, których zobaczyłam, gdy dotknęłam tego starego miecza z kolekcji wydziału... ich również zamordowały takie same istoty. Próbowałam ci to powiedzieć, kiedy wczoraj wieczorem przyszedłeś odwiedzić mnie w moim mieszkaniu. Wtedy nie chciałam w to uwierzyć. Wciąż nie chcę.

- Wiem - wyciągnął rękę i delikatnie pogłaskał ją po policzku. - I jak mówiłem wczoraj wieczorem, jestem tu dla ciebie, Savannah. Chcę pomóc ci zrozumieć to wszystko.

Uniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. - Wampiry - powiedziała cicho, jej głos był ochryply, a klatkę piersiową wciąż wypełniał surowy i paraliżujący strach. - To o nich mówimy, mam rację? Ten mężczyzna na dworcu i ci których zobaczyłam, kiedy dotknęłam miecza i bransoletki Rachela... byli wampirami.

W tym momencie coś zamigotało w jego spojrzeniu, a w opanowanym głosie pojawiło się nietypowe wahanie. - Jeśli brać pod uwagę najbardziej podstawową definicję, to tak. Tym właśnie byli.

- O mój Boże. - Wystarczająco trudno było pogodzić się z tą myślą, gdy mieszkała ona jedynie w jej głowie. Usłyszenie potwierdzenia, które teraz wypowiedział... bycie świadkiem tego jak Gideon na jej oczach patroszył jedną z tych istot... sprawiło, że rzeczywistość przytłoczyła ją jak dławiąca fala.

- Chcesz mi powiedzieć, że wampiry są prawdziwe, a ty w jakiś sposób potrafisz je zabijać.

- Owszem, ja i paru innych podobnych do mnie - obserwował ją teraz, oceniając w sposób, jakby nie był pewny, czy była w stanie przyswoić sobie jego odpowiedzi.

- Nie wszyscy pochodzący z Rasy są tacy jak ten, który poszedł za tobą na dworcu, zamordował twoją przyjaciółkę i pozbawił życia tamtych niewinnych chłopców. Tak postępują jedynie Szkarłatni, Savannah. Zdeprawowane, chore jednostki.

- To jakiś obłąd, Gideonie. Nie chcę o tym słuchać. Nie mogę.

- Savannah, musisz rozumieć, że istnieją na tym świecie zagrożenia. Niebezpieczeństwa, z których zdaje sobie sprawę naprawdę niewielu ludzi. Po tym, co zdarzyło się dzisiejszej nocy... po tym wszystkim, co widziałaś... nie możesz już wrócić do swojego starego życia. Może nigdy już do niego nie wrócisz. Teraz stałaś się częścią czegoś mroczniejszego i są rzeczy, o których musisz się dowiedzieć, jeśli

masz zamiar przeżyć...

- Nie - pokręciła głową i odsunęła się od uspokajającego dotyku Gideona.

To wszystko działo się zbyt szybko. Była wstrząśnięta, wytrącona z równowagi i nazbyt przytłoczona, by przyjąć jeszcze jakiekolwiek informacje. - To, co usłyszałam, na razie mi wystarczy. Nie chcę już słuchać o potworach, niebezpieczeństwie i śmierci. Próbuję to ogarnąć, Gideon, ale jestem po prostu cholernie przerażona.

Ukryła twarz w dłoniach, walcząc, by nie załamać się na jego oczach, ale poniosła całkowitą porażkę. Wstrząsnął nią szloch, a wówczas objęło ją ramię Gideona i przyciągnęło ku jego silnemu, ciepłemu ciału. Nic nie mówił, po prostu ją obejmował, pozwalając jej dojść do siebie. - Jestem taka skołowana - wyszeptała w jego pierś. - I przerażona.

- Nie bój się - powiedział, gładząc jej plecy. Jego dotyk przynosił tak potrzebne pocieszenie, łagodząc jej niepokój. Czula wokół siebie jego potężne ciało, było jak opoka, otaczało ją i osłaniało swoją niezachwianą siłą.

- Ostatnią rzeczą, jakiej pragnę, to to, byś czuła się zagubiona - wyszeptał w jej skroń. - I nie chcę, żebyś się czegokolwiek obawiała, a już szczególnie mnie.

- Bać się siebie? Nigdy. - Potrząsnęła głową, po czym przycisnęła czoło do jego piersi, czując miarowe bicie jego serca. Ty jesteś jedyną rzeczą... osobą, która wydaje mi się rzeczywista, Gideon. Ze wszystkiego, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dni, jedyną prawdziwą rzeczą, jaką mam, są uczucia, które we mnie obudziłeś.

Odpowiedzią był niski pomruk, wibrujący gdzieś w głębi jego piersi. Poczula, jak napięły się jego mięśnie, kiedy nadal trzymał ją w ramionach i mimo całej swojej kontrolowanej, zabójczej siły, obejmował ją z najwyższą czułością.

Savannah uniosła swoją głowę, by spotkać jego spojrzenie. Jego oczy wydawały się ciemniejsze w słabym świetle lampy, a w głębi tego burzowego błękitu, wydawały się płonąć hipnotyzujące iskry. Bijący od niego żar był niemal namacalny, promieniował ze wszystkich miejsc, w których się stykali. - Kiedy mnie wczoraj pocałowałeś, Gideon, poczułam, że to jest dobre i właściwe. Bałam się wtedy, ale ty byłeś taki opiekuńczy. - Sięgnęła w górę i przytuliła wnętrze dłoni do ostro zarysowanej linii jego szczęki. - Jakimś sposobem pojawiłeś się w moim życiu wtedy, gdy najbardziej cię potrzebowałam.

Wypowiedział jej imię ochryplym szeptem, który wypłynął spomiędzy jego zaciśniętych zębów. Coś wydawało się go dręczyć, każde jego ścięgno było mocno napięte, gdy tak stali razem w skromnym sanktuarium sypialni.

- Jeśli istnieje coś, co mnie przeraża, jeśli chodzi o ciebie - wyznała cicho. - To jest tym fakt, jak bardzo pragnę czuć wokół siebie twoje ramiona. Sprawiasz, że czuję się bezpieczna, Gideon. W sposób, jakiego nigdy wcześniej nie znałam. Sprawiasz, że mam wrażenie, iż tak długo jak z tobą jestem, nic złego nie może mnie dotknąć.

- Żadne zło nie będzie miało do ciebie dostępu. Dopóki oddycham, nie pozwolę na to - jego głos był jak grzmot, głęboki i dudniący.- Przy mnie zawsze będziesz bezpieczna, Savannah. Będę cię chronił z narażeniem własnego życia.

Uśmiechnęła się, poruszona żarliwością jego ślubów. - Mówisz jak jeden ze szlachetnych rycerzy króla Arthura. Nigdy nie miałam swojego własnego bohatera.

Rzucił stłumione przekleństwo. - Nie jestem szlachetny. A już na pewno nie jestem żadnym bohaterem. Jestem tylko kimś, kto się o ciebie troszczy. Facetem, który nie chce nigdy wiedzieć cię w jakimkolwiek niebezpieczeństwie, który chce byś znalazła szczęście, na które zasługujesz. Kimś kto pragnie... niech to szlag....

Patrzył na nią płonącym wzrokiem. - Cholera, jestem facetem, który gdy o ciebie chodzi, pragnie zbyt wiele...

Savannah obserwowała grę emocji na jego szczupłych policzkach i pełnych ustach, stały się one jeszcze wyraźniejsze, kiedy jego gorące spojrzenie połączyło się z jej stanowczym spojrzeniem. - Czego chcesz Gideonie?

Jego płonące oczy niemal ją pożerały, a kiedy przemówił, jego odpowiedź zabrzmiała gardłowo, przypominając prawie zwierzęce warknięcie. - Chcę tego - powiedział i mocniej przytulił ją do siebie, zamykając w ramionach jak w klatce. Emanowała z niego ledwo kontrolowana moc, a we wszystkich miejscach, w których stykały się ich ciała wyczuwała jego szaleńcze pulsowanie jego krwi. - I tego. - Delikatnie musnął opuszkami palców jej policzek, po czym poduszczył kciuka przesunął po jej dolnej wardze. Pochylał ku niej swoją głowę, dopóki ich ust nie dzieliło mniej niż tchnienie. - I jeszcze tego. - Połączył ich usta w pocałunku.

To nie było delikatne połączenie warg, takie jak ubiegłej nocy, ale dziki, głodny pocałunek, wymagający od niej całkowitej kapitulacji. Jego język przecisnął się pomiędzy jej zębami w rozpalonym żądaniu. Warknął coś niezrozumiale, po czym jeszcze mocniej przycisnął ją do siebie, owiewając jej twarz gwałtownym, gorącym oddechem.

Jego usta ją pożerały. Sycił się nią z pasją, która zaskoczyła ich oboje, a ją rozpaliała do czerwoności. Ich ciała stopiły się ze sobą. Podniecenie Gideona nie budziło najmniejszych wątpliwości, twarda, gruba obecność, która wołała do najbardziej pierwotnej części jej jestestwa. Ciało Savannah odpowiedziało, wypełniając jej sedno ciepłą wilgotną potrzebą. Jęknęła, kiedy Gideon pogłębił pocałunek, przepelniony pasją, poszukujący, tak pełny nagiej żądz, że odbierał jej oddech.

Przyciągnął jej zarumienione ciało do siebie, chwytając ją za kark swoją ogromną dłonią. W miejscu, gdzie jego palce zawinęły się wokół jej szyi, jego dotyk był gorący jak piętno. Jego pocałunek również ją piętnował.

Tętno mocno biło wszędzie, gdzie jej dotknął, narastając do ryku, który wypełnił jej uszy, podczas gdy jego wargi i język kontynuowały swoje natarcie. Odpowiedziała tym samym, spotykając się z jego językiem i wciągając go głęboko w swoje usta. Rozkosz przelała się przez niego, wywołując pomruk, niski jak grzmot, wprawiający w wibrację jej piersi i brzuch.

Savannah wygięła się w łuk, gdy jego wolna ręka odnalazła rąbek jej swetra i wśliznęła się pod niego. Jego szorstkie, gorące palce przesunęły się po jej żebrach i cienkiej koronce stanika. Jęknęła z rozkoszy, zagubiona w pieszczotach, kiedy masował jej piersi, a jego pocałunek i wciąż siał zamęt w jej zmysłach.

- Muszę cię mieć, Savannah - wychrypiał w jej usta zdyszczanym szeptem. Jego głos był dziwnie bełkotliwy. - Chryste... nigdy niczego nie pożałowałem bardziej niż ciebie. Pragnę cię. Całej. Teraz.

Nie poczekał na pozwolenie, zdarł z niej sweter i stanik, odrzucił je na bok, po czym pochylił, by hojnie obdarować jej nagie piersi rozkosznym żarem jego ust. Pod wpływem jego pieszczot jej sutki stały się naprężone i obolałe, wilgotna potrzeba w jądrze jej kobiecości zmieniała się w rozpaloną lawę za każdym okrężnym ruchem języka, przygryzieniem i possaniem, którymi obdarzały ją jego usta.

Zdesperowana, by położyć na nim swoje dłonie, sięgnęła do rozporoka jego czarnych spodni i poczuła, jak stalowe wybrzuszenie jego penisa jeszcze powiększyło się pod wpływem dotyku jej dłoni i palców. Pod jej dłonią jego męskość była surową mocą, pulsującą cielesną żądzą.

Ona również płonęła dla niego. Głodna tego samego, trawiona taką samą nagłą potrzebą, by poczuć jego twarde ciało na sobie i w sobie. Chwyła go przez materiał, a on oderwał się od jej piersi z ochryłym pomrukiem. Przesuwając głowę w dół wycelowował ognistą ścieżkę przez jej zębra i brzuch. Następnie przykucnął przed nią, jego badawcze usta powędrowały jeszcze niżej, drażniąc wrażliwą skórę na biodrze tuż nad paskiem głęboko wyciętych dżinsowych biodrówek.

- Tak, Gideon, tak - wydyszała, drżąc z emocji. Jej własne słowa tłumił dźwięk gwałtownie chwytanego powietrza. - O Boże, tak. Ja też tego pragnę. Potrzebuję cię, teraz.

Wessała płytki, gwałtowny wdech, kiedy rozpiął guziki i bez wahania szarpnął w dół jednym szybkim ruchem zarówno dżinsy jak i majtki. Chłodne powietrze owiało nagie szczyty jej ud i obnażoną kępkę loczków pomiędzy nimi. A potem, moment później poczuła tam gorąco, ponieważ Gideon przycisnął twarz do jej łona i pocałował to najbardziej intymne miejsce.

Savannah opuściła ręce na jego ramiona, wczepiając się w nie, jak w koło ratunkowe, gdy jego usta zamknęły się na jej płci. Wilgotnym, gorącym i niecnym językiem wcisnął się pomiędzy jej fałdki. Ssał ją, biorąc pomiędzy zęby jej małą, napiętą perelkę, bawił się nią, wirując czubkiem jego ponad wrażliwym ciałem, sprawiając, że kwiliła z narastającej rozkoszy.

- Tak słodko smakujesz, Savannah - powiedział jej pomiędzy tymi erotycznymi, zmysłowymi pocałunkami. - Mam ochotę cię zjeść. Wylizać każdy twój słodki cal. Chcę usłyszeć, jak wykrzykujesz moje imię.

O Boże, chyba nie będziesz musiał czekać na to zbyt długo, pomyślała zamykając oczy i bezwładnie opuszczając głowę, gdy chwycił w dłonie jej nagą pupę i ukrył twarz pomiędzy jej rozchylonymi nogami. Drażnił ustami łechtaczkę, jednocześnie

łagodnie masując opuchnięte, mokre płatki jej kobiecości palcem zwilżonym sokami jej ciała.

- Jakże ciasna - wymruczał, wbijając się w nią powoli tylko jednym palcem. Jej ciało natychmiast, łakomie się na nim zacisnęło, drżały jej uda, kiedy poruszał palcem zanurzonym w wilgotnym cieple jej łona. - Boże, Savannah... wiedziałem, że jesteś niezwykła, ale niech to szlag, nic nigdy nie przygotowało mnie na to. Tak słodko na mnie reagujesz i jesteś taka cholernie piękna.

Jęknęła w odpowiedzi na jego zmysłową pochwałę, tylko do takiej odpowiedzi była zdolna, kiedy krew gorączkowo płynęła przez jej żyły, rozpalając każde zakończenie nerwowe.

Gideon nie miał dla niej absolutnie żadnej litości. Jego palce grały na niej z mistrzowską wirtuozerią. Jego usta były bezlitosne, a język tak bardzo, bardzo dobry. Ugięły się pod nią nogi. Chwyciła się kurczowo jego głowy, zatapiając palce w krótkich jedwabistych blond włosach, kiedy rozkosz wzniosła się na maksymalny poziom, grożąc wybuchem. - Gideon - wysapała. - Proszę, już dłużej nie mogę. Błagam... musisz przestać...

- Nigdy - warknął. - Pozwól, by to się stało, kochanie. Zabiorę cię tam.

Jej kolana były galaretą, a mięśnie jej ud drżały spazmatycznie, gdy budował się w niej impet orgazmu.

- Mmm, to jest to, Savannah - namawiał. - Dojdz dla mnie. Niech cię usłyszę.

Jej głos był stłumionym krzykiem, gdy possał ją mocniej, wynosząc jej kulminację na wyższy, prowadzący do szczytu poziom. Nie mogła tego spowolnić ani zatrzymać, nawet na chwilę. A potem wykrzyknęła jego imię. Wyrwało się z niej wraz z

gwałtownym, chrapliwym oddechem, kiedy rozpadła się na kawałki na ustach Gideona. Wciąż jeszcze drżała, gdy wstał ze swojego przysiadu i szybko zrzucił spodnie.

- Koszulę też - wymruczała. Była zatracona w przyjemności, ale pragnęła poczuć jego nagą skórę na swoim ciele. Zawahał się, a jego twarz zastygła na moment... to była dziwna pauza, którą zdolna byłaby w pełni zarejestrować, gdyby nie była otumaniona mgłą najbardziej niewiarygodnego orgazmu, jaki kiedykolwiek miała.

Gideon ściągnął koszulę i uchwyciła tylko przelotne mignięcie skomplikowanego tribalu... tatuażu, zdobiącego jego klatkę piersiową, zanim opadł na nią z gorącym pocałunkiem.

- Muszę być w tobie - warknął, jego głos był mroczny i pełen dzikiego głodu, był zmieniony niemal nie do poznania.- Natychmiast, Savannah.

- Dobrze - zgodziła się, również potrzebując go poczuć. - Teraz.

Przypieczętował jej słowa pocałunkiem tak dzikim i zmysłowym, że aż zatrzęsała się pod nią ziemia. Poczowała, że błyskawicznie zagarnięto ją do tyłu, jej stopy ledwo dotykały podłogi. Została gwałtownie oparta o ścianę sypialni, ogromne ciało Gideona napierało na nią. Ich usta wciąż były połączone, a jego dłonie objęły jej pośladki. Ścisnął ją zaborczo, a gorąca erekcja dumnie przyciskała się do jej biodra. Przeniósł ciężar swojego ciała, chwytając ją w inny uścisk. Po czym podniósł, jakby ważyła nie więcej niż pióro, otaczając się jej nogami.

Tak dobrze było czuć go przy sobie, gorącego, twardego i głodnego.

Tak prawdziwego.

Pośród całego tego strachu i zamieszania, czuła się bezpieczna jedynie będąc z Gideonem. Nigdy wcześniej nie знаła niczego, co wydawałoby się jej takie właściwe. - Weź mnie teraz - wymruczała. - Weź wszystko czegokolwiek chcesz, Gideon.

Nie odpowiedział, nie słowami. Trzymając ją wysoko w ramionach, wypchnął do przodu swoje biodra i nasadził ją aż po rękojeść na grubą włócznie swojego penisa. Poruszał się gwałtownymi pchnięciami, za każdym razem zanurzając się w nią coraz głębiej, przeszywając ją swoją długością.

Savannah czuła dręczące go napięcie, kiedy jego tempo zwiększyło się do gorączkowego poziomu. Jego ramiona były jak granit pod jej zaciśniętymi palcami, a mięśnie napięły się jak struny, gdy przytuliła się do niego, pozwalając mu gonić własny orgazm.

Szybko go odnalazł, jego biodra miały się dziko, zagłębiając się bardziej za każdym nagłym pchnięciem. Savannah właśnie doszła po raz drugi, pogrążając się w rozkoszy, gdy Gideon wykrzyczał na wpół zwerbalizowane, nabożnie brzmiące przekleństwo i wypełnił ją gorącym strumieniem swojego spełnienia.

PRZEKŁAD – **Red-Room**

ROZDZIAŁ 11



MIESZKAJĄCY W SOUTHIE BILL KEATON, ZORIENTOWAŁ SIĘ, że tej nocy ma gościa, jeszcze nawet zanim wysoki, nienagannie odziany mężczyzna wysunął się z cieni przy frontowych drzwiach. Czekał na tę wizytę. Miał zakaz szukania tego mężczyzny, zamiast tego miał czekać na jego instrukcje i realizować je bez pytań ani potknięć. Keaton wcale nie miał ochoty go rozczarować, chociaż miał świadomość, że wiadomość, jaką musiał mu przekazać dziś wieczorem nie będzie mile widziana.

Wstał z fotela, zostawiając swój nietknięty, gotowy, mrożony obiad na przenośnym stoliku i podszedł, by przywitać się z gościem. Za jego plecami, w pokoju dziennym, telewizor huczał policyjnymi syrenami i odgłosami strzelaniny. To był jeden z tych seriali o gliniarzach, którymi raczył się co tydzień, ale teraz jakoś nie mógł sobie przypomnieć dlaczego. To samo dotyczyło befsztyka i purée ziemniaczanego z supermarketu, które podgrzał sobie na obiad ponad godzinę temu, po czym, stwierdził, że już nie ma ochoty na żadną z rzeczy, które kiedyś lubił.

Zmienił się od czasu incydentu na uniwersytecie, który miał miejsce kilka nocy temu.

Był innym człowiekiem.

A przyczyna tej zmiany stała teraz przed nim w wyczekującej ciszy. Keaton pochylił głowę w pełnym szacunku pozdrowieniu.

- Czy osobnik wysłany by zająć się dziewczyną pojawił się dziś w nocy zgodnie z planem?

- Tak - odpowiedział profesor, służalczo spuszczać oczy. - Wszystko było na miejscu, tak jak to omówiliśmy.

- Więc, dziewczyna jest martwa?

- Nie, nie jest - odpowiedział Keaton, teraz pełny niepokoju. Zaryzykował uniesienie wzroku i napotkanie surowego spojrzenia tego, któremu służył.

- Ona żyje. Widziałem, jak opuszczała dworzec razem z mężczyzną.

Przenikliwe spojrzenie wbiło się w niego, skrząc się śmiercionośnym ogniem.

- Co to był za mężczyzna?

- Postawny - odpowiedział Keaton. - Wysoki. Jasnowłosego zbir w czarnym skórzanym trenczu. Zauważyłem u niego pas z bronią, ale nie był policjantem, ani przedstawicielem służb porządkowych. I nie był śmiertelny.

To Keaton wyczuł z całą pewnością, jednym ze swoich nowych zmysłów, które zyskał kilka nocy temu, gdy jego oczy zostały otwarte na nowy, mroczny, ukryty, świat.

Świat, który pokazał mu ten mężczyzna, gdy stworzył Keatona na nowo.

- Czy oni cię widzieli... dziewczyna i jej towarzysz?

Keaton powoli pokręcił głową. - Nie. Zdałem sobie sprawę czym był, więc upewniłem się, że pozostanę niezauważony. On jest jednym z twojego rodzaju.

Odpowiedział mu pomruk potwierdzenia, podczas gdy ogień w oczach drapieżnika rozpałił się jeszcze mocniej. - Oczywiście, że jest jednym z mojego rodzaju. A co gorsze, należy do Zakonu. - Po namyśle dodał, mówiąc bardziej do siebie.

- Zastanawiam się, czy może coś o mnie wiedzieć? Ciekawe czy zdaje sobie sprawę, że mam jego miecz, po całym tym czasie?

Nagle jego ostre spojrzenie wróciło do Keatona. - Widziałeś jak razem wychodzili ze stacji. Dokąd poszli?

- Nie wiem - odpowiedział Keaton. Przypuszczalnie powinien czuć strach przyznając się do tego, jednak przymus mówienia prawdy temu, który go stworzył i posiadał był silniejszy. - Widziałem dziewczynę i towarzysza przy wyjściu z dworca, potem zniknęli mi z oczu. Nie wiem, gdzie poszli. Udałem się do jej mieszkania w Allston, żeby na nich poczekać, ale nie przyszli.

Warknięcie wybuchło spomiędzy zaciśniętych zębów wampira. - Muszę mieć tą dziewczynę, zanim przekaże Zakonowi wszystko co wie. Kurwa, już może być na to za późno.

- Może powinienem zlokalizować indywiduum, które wysłaliśmy dziś w nocy na stację i zmusić je do obserwowania jej mieszkania? - zaproponował Keaton, gorliwie pragnąc podsunąć jakieś rozwiązanie.

Jego propozycja zasłużyła jedynie na lekceważące machnięcie dłonią.

- Ta szczególna broń w tej chwili byłaby zupełnie bezużyteczna. Gideon na pewno zlikwidowałby Szkarłatnego. Chociaż z drugiej strony, ta komplikacja może zadziałać na moją korzyść - nikczemny uśmiech przeciął jego pozbawioną oznak mijającego czasu, gładką twarz. - I pomyśleć, że niemal zabiłem swoją Dawczynię Życia za to, że głupio pozbyła się części moich prywatnych pamiątek na korzyść

uniwersytetu. Oczywiście, nie miała o niczym pojęcia. Nie mogła wiedzieć. Nigdy nie powiedziałem jej o tym mieczu, ani w jaki sposób wszedłem w jego posiadanie.

- Lecz teraz ma pan go z powrotem w swojej posiadłości - przymilnie powiedział Keaton. - A ja jestem szczęśliwy, że mogłem służyć ci pomocą przy odzyskaniu tego co do ciebie należało, mój mistrzu.

Śmiech, który Keaton usłyszał w odpowiedzi był cierpki i pozbawiony radości. - O ile pamięć mnie nie zawodzi, nie dałem ci wielkiego wyboru – wymruczał wampir.

- Właściwie, to nie dałem ci żadnego wyboru. Gdy tylko zobaczyłeś, co zrobiłem tej zdirze, którą pieprzyłeś w swoim biurze, bardzo łatwo się złamałeś.

Keaton nie poczuł żadnej reakcji na wzmiankę o jego tchórzostwie. Był zdystansowany od tamtych wydarzeń, uwolniony ze wszystkich słabości jego dawnego ja. Teraz wszystkim, co miało dla niego jakiegokolwiek znaczenie było wykonywanie rozkazów swojego mistrza. - Dopilnuję, by zadanie zostało przeprowadzone jak sobie życzysz, Panie. Savannah Dupree umrze.

- Nie. Nie sądzę... - wampir, który teraz posiadał życie i umysł Keatona... oraz jego duszę... przerwał, by zastanowić się przez chwilę w milczeniu. - Mam lepszy plan. Znajdź ją i przyprowadź do mnie. Ponieważ najwyraźniej z jakiegoś powodu jest ważna dla wojownika, Gideona, więc być może przyda się mi, by dokończyć rozgrywkę, która rozpoczęła się wieki temu.

- WEŹ WSZYSTKO CZEGOKOLWIEK CHCESZ.

Słowa Savannah pulsowały w skroniach Gideona... w jego krwi... jeszcze całe godziny po tym jak skończyli się kochać. Właśnie zostawił ją zaspokojoną i śpiącą w ciszy sypialni, podczas gdy sam przeniósł się do dużego pokoju, stanowiącego centrum tego pustego, starego domu, by pozbyć się części wypełniającej go, niespokojnej energii.

Bez koszuli, ubrany jedynie w czarne spodnie, wykonał cykl szybkich, zamaszystych manewrów bojowych z użyciem długiego sztyletu, który zwykle nosił przy pasie z bronią. Dawał swoim dłoniom i ciału porcję ruchu, których tak bardzo potrzebowały, lecz umysł gotował mu się od żywych wspomnień namiętności dzielonej z Savannah. Namiętności, która zatrzęsała jego światem i sprawiła, że jego żyły wciąż płonęły ogniem i energią. Inne części jego anatomii również wydawały się wrywać spod kontroli.

Jednak głębia niesamowitej rozkoszy, jaką dała mu Savannah doprawiona była gorzkim poczuciem winy, ponieważ ukrył coś przed nią... prawdę o samym sobie, nawet wtedy, gdy ona oddała mu się całą sobą.

Weź wszystko czegokolwiek chcesz, Gideonie.

- Kurwa - wymamrotał cicho pod nosem. Gdyby tylko wiedziała jak wiele pragnął od niej wziąć. Obrócił się na boki biorąc brutalny zamach na niewidzialnego przeciwnika.

Na siebie, czy Szkarłatnego, który śmiał zacząć się na Savannah? Nie miał pewności, który z nich dzisiejszej nocy okazał się większym draniem.

Musiał powiedzieć jej czym był. To powinien być wybór Savannah, co będzie o nim myślała, gdy już powie jej prawdę, na którą zasługiwała i powinna była poznać parę godzin temu. Prawdę, która zgodnie z prawem jej się należała od pierwszej

chwili, gdy zdał sobie sprawę, że śliczna, niewinna młoda studentka jest Dawczynią Życia, a nie zwykłą kobietą *homo sapiens*. Cholera, Savannah zasługiwała na dużo więcej niż to, co dał jej do tej pory.

A gdyby był ze sobą szczery, przyznałby, że zasługiwała na wiele więcej niż kiedykolwiek mógłby mieć nadzieję jej zaoferować jako partner, którego przeszłość była przesiąknięta krwią i niepowodzeniami. Wojownik, którego cała przyszłość należała do Zakonu.

Musiał to wszystko wyjaśnić Savannah. Cholera, powinien był to zrobić, zanim dzisiejszej nocy stracił nad sobą kontrolę. Pozwolił, by sprawy się skomplikowały i teraz został złapany w pułapkę swojej własnej produkcji.

W tym momencie wyprostowanie i wyjaśnienie tego wszystkiego zabrałoby mu dużo czasu. Czasu sam na sam z Savannah, którego to luksusu nie spodziewał się mieć zbyt wiele. Po tym, co wydarzyło się na dworcu, Savannah koniecznie musiała otrzymać pełną ochronę i azyl w społeczności Rasy. Zanim niebezpieczeństwo, które ją ścigało będzie miało okazję zbliżyć się do niej bardziej niż to miało miejsce dzisiejszej nocy.

Chociaż Gideon bardzo pragnąłby temu zaprzeczyć, to nie był żaden zbieg okoliczności, że Szkarłatny dopadł Savannah na stacji. Musiał ją śledzić. To nie był nałóg krwi, ani zwykły przypadek. Gideon postawiłby swoje prawe ramię, że ktoś wysłał za nią tą pijawkę. Całkiem możliwe, że ten sam ktoś zamordował jej współlokatorkę i zostawił na pewną śmierć profesora Keatona. Ta sama osoba była teraz w posiadaniu miecza, którego najwyraźniej użyto do zgładzenia krewnych Gideona.

Musiał znaleźć łajdaka i go zlikwidować. Zanim Savannah dostanie się bliżej zasięgu krzyżowego ognia. Nie mogli wiecznie się tu chować. Czymkolwiek było to

miejsce. Tegan nigdy wcześniej o nim nie wspomniał. Chociaż wojownik zaoferował Gideonowi ten stary dom, to nie miał on żadnych wątpliwości, że Tegan uważał, iż będzie to schronienie jedynie na bardzo krótko. Szczerze mówiąc, Gideon musiał zgodzić się z Savannah, że miejsce wyglądało bardziej na zapuszczony grobowiec niż dom. Mimo, że nienawidził się do tego przyznawać, musiała zostać przeniesiona do odpowiedniejszego, bardziej stałego lokum. I chociaż stracił rozum na tyle, by po raz kolejny w ciągu zaledwie kilku dni przeciwstawić się rozkazom Lucana Thorna, to po prostu nie mógł zaprowadzić Savannah do centrali Zakonu. Gideon mógł sobie tylko wyobrazić jak nieugięty przywódca zareagowałby na zabranie tam cywila wbrew długoletniemu protokołowi Zakonu.

Jednak, jeśli poszłaby tam jako partnerka Gideona?

Uświadomienie sobie tej możliwości mocno nim wstrząsnęło i nie dlatego, że to był cholernie szalony, zły pomysł. Ale z powodu tego, jak bardzo wydało mu się to słuszne i rozsądne.

Savannah u jego boku, spojona z nim krwią na zawsze.

Weź cokolwiek chcesz, Gideonie.

Savannah, jego Dawczynią Życia.

Dobry Boże...

Ta myśl otworzyła coś gorącego i głębokiego w jego klatce piersiowej. Tęsknotę. Pragnienie było tak dojmujące, że sprawiło iż zamarł, stracił oddech.

O Chryste.

Ostatnią, cholerną rzeczą, na jaką mógł sobie pozwolić, było zakochanie się w Savannah. Zaklął soczyście, robiąc gwałtowne dźgnięcie w powietrze długim sztyletem, którego wcześniej użył, by wypatroszyć Szkarłatnego, prześladowającego Savannah. Obracając się na bosej pięcie, rzucił się do kolejnego pozorowanego ataku, ten był dla nieznanego wroga, którego był zdeterminowany zdemaskować... na chwilę przed tym, nim nakarmiłby sukinsyna tą samą stałą, która zabiła wysłanego przez niego Szkarłatnego.

W tym momencie Gideon usłyszał cichy odgłos poruszenia, dobiegający z sąsiedniego pomieszczenia. Savannah wstała z łóżka. Podeszła do otwartych drzwi prowadzących do pokoju, w którym ćwiczył. Długi sztylet, który trzymał w dłoni, zamarł w pozycji do zadania ostatecznego ciosu.

- Savannah.

Wpatrywała się w niego, jej duże brązowe oczy wciąż były senne. Piękne, giętkie ciało całkowicie nagie. Była olśniewająca.

Gideon chłonał jej widok zachłannym spojrzeniem, jego tętno uderzyło szybkim rytmem gwałtownego pobudzenia.

Ale ona nie patrzyła na niego w ten sam sposób.

Wyglądała na wstrząśniętą. Skamieniała w milczącym szoku. - O mój Boże - wyszeptała po chwili. Jej głos był cichy i zadyszany, jednak nie z powodu snu ani pożądania. Wpatrywała się w niego, a w jej wzroku łączyły się szok i poczucie krzywdy, śliczną twarz wypełniał wyraz niedowierzania. - O, mój Boże... wiedziałam, że wyglądasz znajomo. Wiedziałam, że gdzieś cię wcześniej widziałam...

- Savannah, co się stało? - odłożył sztylet na gzyms kominka i ruszył w jej stronę.

- Nie - potrząsnęła głową, zastawiając się dłońmi, jakby chciała zabronić mu, żeby się do niej zbliżył. - Widziałam cię wcześniej, Gideonie. Gdy dotknęłam starego miecza, zobaczyłam nie tylko morderstwo tych dwóch chłopców, które miało miejsce przed kilkoma stuleciami... ale również ciebie.

W obliczu jej strachu krew ostygła mu w żyłach. - Savannah...

- Wyglądałeś tak jak teraz, z ostrzem w dłoni... patrzyłeś w ten sam sposób, jak przed chwilą - powiedziała z przekonaniem. - Z tym, że to nie byłeś ty. To nie mogłeś być ty.

Milczał, nie mógł zaprzeczyć jej słowom, ani temu, co widziała darem Dawczyni Życia.

- Chodzi mi o to, że nie ma sposobu, żebyś to był ty, nieprawdaż? - naciskała, jej słowa miały ostry ton. - Człowiek, którego zobaczyłam powinien być martwy już od kilku wieków.

- Mogę to wyjaśnić - zaproponował nieprzekonująco.

Podszedł do niej bliżej, ale się odsunęła. Skrzyżowała przed sobą ramiona, jakby chciała osłonić swoją nagość przed kimś obcym. - Nie jesteś człowiekiem. Nie możesz nim być - szepnęła.

Zaklął cicho. - Nie chcę żebyś się mnie bała, Savannah. Jeśli możesz wysłuchaj mnie teraz...

- O Boże - zaśmiała się z nutą hysterii. - Czy ty nawet nie spróbujesz temu zaprzeczyć?

Poczuł, jak ścięgnę zaczęło drgać w jego szczęce. Chciałem ci wszystko wyjaśnić, ale nie wtedy, gdy byłaś zdenerwowana i zdezorientowana. Powiedziałaś mi, że dzisiaj nie jesteś gotowa, by usłyszeć więcej.

Cofnęła się o krok, kręcąc głową w niemym zaprzeczeniu. Jej spojrzenie stało się obce, dalekie i zdystansowane. Tracił ją. Odsuwała się od niego, jak od kogoś komu nie ufała i kogo się obawiała. Może nawet gardziła.

- Muszę stąd wyjść - szepnęła stanowczo. - Muszę pojechać do domu. Muszę zadzwonić do siostry. Spodziewała się, że dziś wieczorem wsiądę do autobusu, i ja...

W tym momencie załamał się jej głos, odwróciła się i pobiegła z powrotem do sypialni. Szaleńczo miotła się po pokoju zbierając porozrzucane ubrania.

Gideon poszedł za nią. - Savannah, nie możesz przed tym uciekać. Teraz jesteś już w tym zbyt głęboko. Obydwoje jesteśmy.

Nie odpowiedziała. Chwyliła z podłogi swoje majtki i pośpiesznie je nałożyła, migając ciemną kępką jedwabiu pomiędzy nogami i dając mu okazję do intymnego zerknięcia na jej długie, satynowane uda i kremową skórę w odcieniu mokki. Wciąż jeszcze czuł smak tej skóry i pragnął znowu się nim rozkoszować.

Milcząc i unikając jego wzroku, szukała swojego stanika. Drobne piersi zakołysały się pod wpływem jej ruchów, gdy wsuwała ramiona w wąskie skrawki koronki.

Podniecenie rosnące w Gideonie, było zbyt potężne, by mógł je opanować. Nie był w stanie powstrzymać swojej błyskawicznej fizycznej reakcji na jej widok, tak kuszącej i w lekkim nieładzie po miłosnych igraszkach uprawianych zaledwie parę godzin temu. Jego dermaglify obudziły się do życia i zaczęły kłębić na jego skórze, a

dziąsła mrowiły z powodu napierających na nie kłów.

Pośpiesznie chwyciła z podłogi sweter oraz dżinsy i przyciskając je do siebie jak tarczę wybiegła z sypialni.

Podążył za nią. - Savannah, nie możesz wyjść. Nie mogę ci teraz pozwolić pojechać do domu. Jest już na to za późno - jego głos był chrapliwy, stał się szorstki z powodu narastającej żądz i gwałtownej potrzeby, by sprawić, żeby wreszcie zrozumiała całą prawdę.

Błyskawicznie przemieścił się do miejsca, w którym stała, szybciej niż mogła zarejestrować wzrokiem. Położył dłoń na jej ramieniu w miejscu, gdzie niewielki szkarłatny znak o kształcie kropli i półksiężycy, znamię Dawczyni Życia, znaczyło nieskazitelną skórę.- Cholera, nie zamykaj się przede mną. Wysłuchaj mnie.

Odwróciła się ku niemu, jej oczy rozszerzyły się z szoku. Jego własne musiały płonąć mu w czaszce jasno jak rozżarzone węgle. Jakimś cudem zrodzonym z połączenia oszustwa i rozpaczliwych resztek silnej woli, udało mu się wcześniej ukryć swoją transformację, ale nie teraz. Nawet nie próbował tego robić.

- O mój Boże - jęknęła, strach wsączył się do jej głosu. Walczyła, by wyrwać się z jego uścisku, odwróciła głowę gwałtownie sapiąc z przerażenia.

Gideon ujął ją pod brodę i łagodnie odwrócił jej twarz z powrotem, by zajrzeć w jej oczy. - Savannah, spójrz na mnie. Zobacz jak naprawdę wyglądam. Zaufaj mi. Powiedziałaś, że to zrobisz.

Jej wzrok powędrował powoli do jego otwartych ust i czubków kłów, które z każdą sekundą stawały się coraz dłuższe. Po dłuższej chwili spojrzała w górę w jego płonące oczy.- Jesteś jednym z nich. Jesteś takim samym potworem. Szkarłatnym...

- Nie - zaprzeczył stanowczo. - Nie jestem Szkarłatnym, Savannah. Ale pochodzę z Rasy, tak samo jak oni. Byli tacy jak ja, zanim przegrali z nałogiem krwi.

- Wampiry - sprecyzowała, być może potrzebując jedynie wymówić to słowo na głos. Jej zduszony głos był cichszy od szeptu.- Czy jesteś nieumarłym?

- Nie - odpowiedział, opierając się pragnieniu, by zbyt śmiechem to niedorzecznie błędne wyobrażenie, ale tylko dlatego, że ta myśl tak jawnie ją przerażała. - Nie jestem nieumarłym, Savannah. W tym miejscu mity i rzeczywistość diametralnie się różnią, jeśli chodzi o mój rodzaj, Rasa po prostu pochodzi z innego świata, a to duża różnica.

Wpatrywała się w niego teraz, studiując jego wygląd. Nie miał nic przeciwko tej jawnej lustracji, kiedy tak stał przed nią nie wykonując żadnych ruchów, wydawała się spokojniejsza. - Naprawdę nie musisz się mnie obawiać - zapewnił ją, wymawiając te słowa jak obietnicę. Uroczyste ślubowanie. - Nigdy nie będziesz musiała się mnie bać, Savannah...

Przełknęła ślinę, jej spojrzenie badawczo wędrowało po jego twarzy, ustach, pokrytym dermaglifami torsie i ramionach. Gdy niepewnie uniosła rękę, po czym ponownie ją cofnęła, Gideon delikatnie objął ją palcami i uniósł jej dłoń do swoich warg.

Pocałował ciepłe wnętrze, uważając, by nie zadrasnąć go kłami, a jedynie ogrzać żarem swoich ust. Potem poprowadził jej rękę na swoją klatkę piersiową, opierając ją ponad miejscem, gdzie gwałtownie biło jego serce.- Poczuj mnie, Savannah. Jestem z ciała, krwi i kości, tak samo jak ty. I nigdy cię nie skrzywdzę.

Wciąż trzymała dłoń na jego piersi, nawet po tym jak ją puścił. - Powiedz mi jak coś takiego może być możliwe - wyszeptała. - Czy takie rzeczy w ogóle mają prawo

być rzeczywiste?

Gideon pogładził czubkami palców jej policzek, a potem przesunął nimi wzdłuż jej szyi ponad miejscem, gdzie pod opuszkami palców arteria szyjna trzepotała jak ptak zamknięty w klatce. - Najpierw się ubierz - polecił jej delikatnie, bardziej dla własnego zdrowia psychicznego niż dla niej. - Potem usiądziemy i spokojnie porozmawiamy.

Spojrzała na samotne, drewniane siedzisko, stojące w dziennym pokoju zaniedbanego domu Tegana. Gdy jej wzrok wrócił do Gideona, stwierdził on z ulgą, że nie było w nim przerażenia ani odrazy, tylko mądrość i poczucie humoru kobiety dwa razy starszej od niej. - Chyba nadszedł czas, bym osobiście zaryzykowała i usiadła na własnym Seat Perilous?

- Wątpię, by kiedykolwiek zasiadał na nim ktoś godniejszy - odpowiedział Gideon. A jeśli wcześniej był w niej jedynie na wpół zakochany, to w tym momencie wpadł po uszy.

PRZEKŁAD - **Red-Room**

ROZDZIAŁ 12



PRZEZ CAŁY TEN CZAS, GDY MÓWIŁ, Gideon nerwowo przemierzał pokój, w tą i z powrotem. Kiedy skończył, wreszcie się zatrzymał, patrząc na nią w pełnej wyczekiwania, dziwnie ujmującej ciszy, podczas gdy Savannah starała się wchłonąć wszystko, co właśnie usłyszała.

- Czy wszystko w porządku? - zapytał ostrożnie, widząc że ciężar świeżo wchłoniętej przez nią wiedzy odebrał jej mowę. - Jesteś tu ze mną, Savannah?

Kiwnęła głową, próbując połączyć i dopasować w umyśle wszystkie elementy. Całą niesamowitą historię jego rodzaju, pochodzenia i to, że od tysiący lat żyli w tajemnicy pomiędzy ludźmi. Oraz to, że Gideon i niewielka liczba podobnie myślących, odważnych mężczyzn Rasy, współczesnych mrocznych rycerzy... wnioskując z tego co usłyszała... stworzyli razem, tu w Bostonie specjalny oddział by chronić miasto przed aktami przemocy ze strony Szkarłatnych.

Wszystko było nieco trudne do zaakceptowania.

Ale ona mu uwierzyła.

Uwierzyła, że fantastyczna historia, którą właśnie jej opowiedział była prawdą. To była prawda, oraz czy była gotowa to zaakceptować czy nie, jej nowa rzeczywistość. Rzeczywistość, która wydawała się trochę mniej przerażająca, ponieważ była w niej razem z Gideonem.

Spojrzała na niego. - Wampiry z kosmosu, hę?

Uśmiechnął się cierpko. - Starożytni pochodzili z innego świata, ale nie byli małymi zielonymi ludzikami. Byli śmiercionośnymi drapieżcami, czymś czego ten świat nigdy wcześniej nie widział. Sam szczyt łańcucha pokarmowego.

- Racja. Lecz ich potomstwo...

- Rasa.

- Rasa - powtórzyła, wciąż układając sobie wszystko w głowie. - Oni są częściowo ludźmi?

- Tak są hybrydami, Starożytnych i Dawczyń Życia, kobiet takich jak ty - wyjaśnił.

Savannah sięgała do swojej lewej łopatki gdzie mieściło się niewielkie znamię, które określało ją jako drugą połowę rodzaju Gideona. Zachichotała cicho i pokręciła głową.- Mama zwykła była mi mówić, że to pocałunek wróżki z zaczarowanej krainy.

Gideon podszedł do starego drewnianego krzesła, na którym siedziała. Lekko wzruszył ramionami. - Coś uczyniło ciebie i resztę kobiet urodzonych z tym znakiem, innymi niż zwyczajne ludzkie kobiety. Kto wie, może to były wróżki? - Jego usta wygięły się w czułym, intymnym uśmiechu. - To czyni cię bardzo specjalną, Savannah. Niezwykłą. Ale była byś taka, nawet bez tego znaku.

Ich spojrzenia zetknęły się na dłuższą chwilę. Savannah obserwowała, zahipnotyzowana, jak w jego jaskrawoniebieskich tęczęwkach, jak gwiazdy rozpały się złote iskry. Jego źrenice zwężyły się do wąskich, nieludzkich, kocich szparek. Może powinna być zaniepokojona albo przepełniona odrazą; zamiast tego była

sparaliżowana zdziwieniem i fascynacją, widząc jak zachodzi w nim przemiana na tak wiele interesujących, fantastycznych sposobów.

Wyciągnęła do niego rękę, zachęcając by podszedł bliżej. Stał pomiędzy jej kolanami i przykucnął. Jego duże ciało promieniowało wyraźnym gorącem. W miejscach gdzie dotykały go jej uda i kolana, wyczuwała silne uderzenia jego tętna. Bicie jej własnego serca wydawało się dopasowywać do tego rytmu, jakby byli jedną istotą.

Savannah nie mogła się powstrzymać od dotykania go.

Jego naga klatka piersiowa, barki, i potężne, umięśnione ramiona pokryte były ożywioną plataniną zawitych łuków i spiral, tylko kilka odcieni ciemniejszych niż jego złota skóra.

To *dermaglify*, wcześniej, podczas rozmowy wyjaśnił jej ich rolę i znaczenie. Prześledziła koniuszkiem palca jeden z wzorów zdobiących jego klatkę piersiową i zachwyciła się tym, jak jego kolor pogłębił się pod wpływem jej dotyku. Śledziła pełny elegancji kształt glifu, przyglądając się, jak budzi się do życia i zmienia zabarwienie ze starego złota do głębokich barw szlachetnych kamieni.

- One są piękne - powiedziała, a w odpowiedzi usłyszała jego niski akceptujący pomruk dudniący w jego piersi, kiedy pod pieszczotą jej palców kolejne miejsca na jego aksamitnej skórze zaczęły wypełniać się kolorem. Zafascynował ją od pierwszego spotkania pod freskami Abbey'a w bibliotece. Ale teraz była go ciekawa w inny sposób. Chciała poznać go lepiej, pragnęła wiedzieć wszystko o swoim kochanku, który był czymś o wiele więcej niż tylko człowiekiem.

- Mogłabym spędzić cały dzień bawiąc się twoimi dermaglifami - wyznała, niezdolna ukryć swojego zachwyty. - Kocham to, jak nabierają barw czerwonego

wina i indygo gdy ich dotykam.

- To pożądanie - wychrypiał. - Właśnie to oznaczają te kolory.

Spojrzała w górę i zobaczyła narastające pragnienie w jego przystojnej twarzy, usłyszała je w jego niskim, ochrypłym głosie.

- Twoje oczy - powiedziała, zauważając, że pojawiło się w nich jeszcze więcej złotych iskier, powoli zalewały jasny błękit tęczy. - Kiedy się wcześniej kochaliśmy, czułam ciepło twojego spojrzenia. Ale nie widziałam tego budzącego się do życia pożaru w twoich oczach. Tego rodzaju ognia. Ukryłeś to przede mną.

- Nie chciałem cię przerazić - wyznał zduszonym głosem.

- Teraz się nie boję, Gideonie. Chcę widzieć.

Sięgnęła ku niemu i przytuliła wnętrze dłoni do jego silnej szczęki. - Chcę zrozumieć.

Przez dłuższą chwilę, po prostu się w nią wpatrywał, po czym wypowiadając jej imię nakrył jej usta długim, powolnym pocałunkiem.

Savannah wtopiła się w niego, zatracona w żarze i rozkoszy jego warg. Pragnęła głębiej go posmakować, testując szew jego ust z swoim językiem. Początkowo nie chciał jej ulec, jęcząc jakby chciał odmówić jej dostępu. Jednak nie pozwoliła mu ukrywać się przed nią. Nie teraz. Nie ponownie... i już nigdy, kiedy będą razem.

Zsunęła się na krawędź krzesła i ujęła w dłonie jego głowę, wplątując palce w jedwab krótkich włosów. Prześledziła swoim upartym językiem linię jego

zaciśniętych ust, przyciskając się do niego całym ciałem.

Poddał się z soczystym przekleństwem i wsunęła się do środka z drzeniem witając wewnątrz jego głodnych ust. Ostre czubki kłów otarły się o jej język, kiedy już nie była w stanie przedłużyć pocałunku, odsunęła się by spojrzeć mu prosto w twarz.

Teraz już nie można było wziąć go za zwykłego śmiertelnika. Jego oczy płonęły, kły były ogromne i ostre jak brzytwa. Jego *dermaglify* wypełniały wściekle jaskrawe kolory, kłębiące się mu na skórze jak żywe istoty.

Był wspaniały.

A kiedy tak chłonęła jego pełną przemianę, nie poczuła żadnego strachu. - Weź mnie do łóżka, Gideon. Kochaj się ze mną znowu, nie ukrywając niczego. Pragnę cię takiego jakim jesteś. Z nieziemskim warknięciem pełnej aprobaty, gwałtownie zagarnął ją z krzesła w swoje silne ramiona, po czym, tak jak sobie tego życzyła, zaniósł ją do sypialni.

GIDEON JESZCZE NIGDY NIE WIDZIAŁ niczego piękniejszego niż wyraz rozkoszy na twarzy Savannah, gdy zbliżała się do orgazmu. Jej ciemne oczy utkwione były w jego twarzy, kiedy poruszała się na nim w niespiesznym, ale powoli narastającym tempie.

Opuścili łóżko zanim na zewnątrz ich bezpiecznej kamiennicy wzeszło słońce . Teraz, zwróceni do siebie twarzami, brali ciepłą kąpiel w staroświeckiej wannie. Savannah siedziała na nim okrakiem, jego penis zanurzony był w głębi jej ciasnej pochwy. Przy każdym poruszeniu piersi dziewczyny tańczyły przed jego łaknącymi oczami i głodnymi ustami. Nie mógł powstrzymać się od wciągnięcia jednego z tych zuchwałych brązowych sutków między zęby, jego język zawirował po napiętej

brodawce po czym delikatnie docisnął czubki kłów i przeciągnął nimi po sprężystej krągłości.

Wzięła nagły, drżący oddech, gdy trochę mocniej zamknął na niej swoje usta, tylko tyle, żeby przypomnieć jej czym był i torturować się pragnieniem tego, co mógłby od niej wziąć... by uczynić ją swoją pod każdym względem.

Uprawianie z nią miłości otwarcie, bez strachu, czy ukrywania jego prawdziwej natury, było niesamowite. Oszalamiająco cudowne. Wczorajszej nocy kochali się do wyczerpania, kilkakrotnie na krótko zasypiając w swoich ramionach, by po przebudzeniu znowu się pieścić, całować i kochać.

Gideon wiedział, że powinien znaleźć chwilę by złożyć raport Zakonowi, ale nie był w stanie zmusić się do opuszczenia łóżka, które dzielił z Savannah. A biorąc pod uwagę jak sprawy miały się dziś rano, może już nigdy do niego nie wróci. Savannah kołysała się na nim, patrzyli sobie w oczy, jej twarz opromieniał złoty blask jego roznamiętnionego spojrzenia.

Pogłaskał jej twarz i gardło, kiedy pochyliła się do przodu w głębszym, szybszym rytmie. Woda głośno chlupotała wokół nich, dźwięki ich miłości były wilgotne i pełne erotyzmu. Zaczęła dochodzić, z jej rozchylonych ust wymykały się miękkie jęki.

Gideon chwycił jej pupę w bardziej stanowczy uścisk i zaczął poruszać miednicą wychodząc naprzeciw jej falowaniu. Jego penis był, jak gorąca stal w ciasnym uścisku jej ciała, czuł narastające ciśnienie orgazmu budującego się u podstawy jego kręgosłupa. Kły wypełniły mu usta. Jego dziąsła pulsowały z pragnienia by poczuć smak pełnej wdzięku szyi Savannah, kiedy dziewczyna odrzuciła głowę do tyłu i wykrzyczała swoje spełnienie.

Moment później Gideon podążył za nią, orgazm przeszył całe jego ciało... wydierając z jego gardła ochryple okrzyk satysfakcji. Drżał w niej, fala po fali wystrzeliwując z siebie gorące nasienie. Wychrypiał jej imię, nie wiedział czy jak modlitwę, czy przekleństwo.

Uśmiechała się kiedy ją napępiał, a jej ciemne oczy pochłaniały go, chociaż wiedział, że on musiał wyglądać strasznie i niesamowicie. Nie skurczyła się ze strachu. Nie jego Savannah, nie teraz.

Osunęła się na niego, bezwładna i zaspokojona. Gideon objął ją, przytulił mocniej i pogłaskał po plecach. Ciepłym oddechem owiewała jego szyję, jej miękkie i wilgotne wargi dotykały miejsca w którym biło tętno, sprawiając że jego szyjna arteria mocniej zapulsowała w odpowiedzi.

- Nie jestem w stanie się tobą nasycić - wymruczała. - Czyżbyś roztaczał wokół siebie jakieś specjalne feromony Rasy, które sprawiają, że tak bardzo cię pragnę?

Zachichotał. - Gdybym tylko miał ten rodzaj mocy, nigdy nie wypuściłbym cię ze swojego łóżka. Albo wanny.

- Albo z fotela w sąsiednim pokoju - dodała, przypominając kolejne miejsce, z którego korzystali w czasie ostatnich rozkosznych godzin.

Na tą myśl męskość Gideona obudziła się na nowo, i zaczął zastanawiać się jak intensywne byłoby ich kochanie, gdyby dzielili więź krwi. Jedno małe ugryzienie i byłaby jego na wieki. Niebezpieczne myślenie. Coś, czego nie był gotowy rozważać, mimo że jego ciało wydawało się czuć inaczej.

- Ja też nie mogę się tobą nacieszyć - powiedział, wyciskając pocałunek na jej skroni. - Minęło mnóstwo czasu odkąd ostatni raz z kimś byłem. Prawie

zapomniałem jak to się robi. Z drugiej strony, nie mogę wyobrazić sobie przyjemniejszego zajęcia niż studiowanie twojego ciała i uczenie się najlepszych sposobów by cię zaspokoić.

Poczuł jak się uśmiecha z ustami przy jego szyi. - No cóż, do tej pory spisywałeś się doskonale.

- Szybko się uczę.

Savannah zachichotała i ułożyła się wygodniej, mocniej się w niego wtulając w ciasnej wiktoriańskiej wannie. Jej długa noga owinięła się wokół niego, a ramiona objęły jego klatkę piersiową. Gideon pogłaskał jej ramię. - Przez bardzo długi czas, skupiałem całą swoją uwagę i energię na misjach dla Zakonu. Teraz niewątpliwie popuściłem sobie cugli. Prawdopodobnie ciężko za to zapłacę... i słusznie... kiedy wreszcie przedstawię raport gdzie się podziewałem.

Savannah uniosła głowę, studiując jego twarz. - Czy kiedyś...?

- Czy kiedyś pragnąłem kogoś tak jak pragnę ciebie? - kiwnęła głową.

- Nigdy - powiedział. - Ty jesteś pierwsza. Miewałem kobiety, ale to były zwykłe flirty, które niewiele znaczyły.

- Kiedy ostatni raz uprawiałeś seks? - drażyla.

- Ostatni raz - wzruszył ramionami. - Wydaje mi się, że było to jakieś osiemnaście, albo dziewiętnaście lat temu.

Całe jej życie, teraz wydawało się jakoś dziwnie do niego pasować. - To nie było nic ważnego, Savannah. W porównaniu z tobą i z tym, co razem przeżyliśmy...

Stała się dziwnie cicha, w milczeniu przesuwając palcem po glifie na jego piersi.

- Ja miałam tylko jednego chłopaka - wyznała. - Danego Meeksa, to był chłopiec z mojego rodzinnego miasta. Zapalony sportowiec, rozgrywający w liceum i na studiach, po powrocie do domu był królem... chłopakiem, o którym śniła każda dziewczyna w mojej szkole.

Gideon warknął, czując nagły przyływ nagiej zazdrości. Chciał rzucić jakiś błyskotliwy komentarz o pustogłowych sportowcach, którzy mają IQ mniejsze od rozmiaru buta, ale wyczuł, że nie powinien przerywać wyznania Savannah.

- Co on ci zrobił? - zapytał, jego zaborczość ustąpiła furii z powodu podejrzenia, że głupi smarkacz w jakiś sposób ją zranił.

- Myślałam, że naprawdę mnie lubi. Mógł mieć każdą dziewczynę w szkole, i właśnie rozstał się z najładniejszą, najpopularniejszą dziewczyną w mojej klasie. Ale wziął się na mnie - cicho westchnęła, wciąż przesuwając palcem wzdłuż łuku glifu Gideona, którego kolor znowu się zmieniał, lecz tym razem nie z powodu pożądania, ale gniewu na tego, kto zadał jej ból. - Poszliśmy na kilka randek i po paru tygodniach zaczął naciskać, żebyśmy posunęli się dalej. Byłam dziewicą. Wiesz, chciałam poczekać do czasu, aż spotkam prawdziwą miłość?

Gideon głaskał ją po ramieniu, pozwalając jej mówić, podczas gdy w środku wiedział jak to się skończy i bardzo mu się to nie podobało. - W końcu się poddałam - powiedziała. - Odbyliśmy stosunek, i to było okropne. Bolało. Był niezdarny i szorstki.

Gideon warknął. Nie chciał wyobrazić jej sobie z innym mężczyzną, nie mówiąc już o kimś, kto potraktował ją z takim brakiem szacunku. - Spotykaliśmy się przez kilka miesięcy, a Danny nigdy nie taktował mnie lepiej. Po prostu brał czego chciał.

Po jakimś czasie doszły do mnie plotki, że zaczął znowu wydzwaniać do swojej starej dziewczyny. Te kilka miesięcy ze mną miało wzbudzić jej zazdrość. Wrócili do siebie, a ja nawet o tym nie wiedziałam, do czasu gdy zobaczyłam, jak całowali się wychodząc razem po jednym z jego meczów. Nigdy o mnie nie dbał. Udawał że jesteśmy parą, ale przez cały czas gdy byliśmy razem, tylko mnie wykorzystywał, żeby dostać coś na czym naprawdę mu zależało.

- Łajdak - warknął Gideon. Pulsował furia, nie pragnął niczego bardziej, niż dać dobrą nauczkę temu małemu dupkowi. Zdeptać tego ludzkiego sukinsyna, za to że śmiał sprawić jej ból.- Tak mi przykro, Savannah.

- W porządku - potrząsnęła głową, którą opierała o jego klatkę piersiową.
- Wyniosłam z tego pewną naukę. To uczyniło mnie ostrożniejszą. Zaczęłam bardziej chronić siebie i swoje serce. A potem zjawileś się ty...

Spojrzała w górę, w jego oczy. Nigdy nie wyobrażałam sobie, że będę w stanie poczuć to, co czuję przy tobie, Gideonie. Nigdy nie rozumiałam jaka byłam zagubiona... przez całe moje życie... dopóki nie znalazłam ciebie. Myślę, że to musiało być przeznaczenie, to ono zetknęło nas tamtego wieczoru w bibliotece.

Poczuł ukłucie poczucia winy na wzmiankę o ich pierwszym spotkaniu. Tylko on wiedział, że to nie los przywiódł go do niej tamtej nocy. Odszukał ją jako wojownika będący na prywatnej misji w celu zebrania informacji na temat miecza i tego, kto mógł go teraz posiadać. W chwili gdy poznał Savannah, ta misja szybko zmieniła swoje priorytety, od razu zapadła mu w serce, tak prędko, tak głęboko. Już dawno powinien był wyznać jej całą prawdę o ich pierwszym spotkaniu. Naprawdę powinien to zrobić... musiał... ale zanim zdołał wypowiedzieć pierwsze słowo, zamknęła mu usta czułym dotknięciem warg.

Wszystko co teraz mógł zrobić, to nie przerywać jej słodkiego pocałunku,

wyskakując z kolejnymi przekłętymi słowami, które miał na końcu języka, takimi jak; Zostań ze mną. Zwiąż się ze mną. Pozwól mi być twoim partnerem.

Ale nie wypadało prosić ją o tak wiele, nie, kiedy dopiero zaczynała wchodzić do jego świata, a on wciąż miał niedokończone sprawy do załatwienia. Musiał wyeliminować ukrytych wrogów. I nawet przez jedną chwilę nie łudził się, że zlikwidowanie Szkarłatnego, który zaczepił ją na Dworcu Południowym usunęło całe zagrożenie, które podążało za Savannah.

Przypomnienie sobie tego zdarzenia orzeźwiło go i sprawiło, że stał się spięty. Savannah musiała wyczuć w nim tę zmianę i lekko się od niego odsunęła.

- Co się stało? Coś nie tak?

- Czy ostatniej nocy, na dworcu? - zapytał. - Nie zauważyłaś kogoś, kto by za tobą szedł? Obserwował cię wcześniej, albo po twoim przybyciu? Nie mam na myśli Szkarłatnego, który cię osaczył, ale ktoś innego. Kogoś, kto mógłby być świadomy tego, co ma się wydarzyć.

- Nie. Dlaczego? - W jej badawczym spojrzeniu pojawił się lęk. - Czy myślisz, że Szkarłatny nie działał sam? Myślisz, że ktoś nim jakoś sterował?

- To bardzo prawdopodobne, Savannah. Nie widzę innej możliwości. - Gideon nie chciał jej niepotrzebnie niepokoić, ale musiała też zrozumieć, jak niebezpieczna mogła być dla niej sytuacja po opuszczeniu tego domu. - Sądzę, że Szkarłatny został wysłany by cię znaleźć, na polecenie kogoś innego.

Prawdopodobnie po to, by ją uciszyć. Ta myśl sprawiła, że krew w jego żyłach zmieniła się w lód.

Savannah wpatrywała się w niego. - Czy to mogło mieć związek z tym, co przydarzyło się Racheli i profesorowi Keatonowi? Myślisz, że ten kto ich zaatakował poszukuje teraz mnie? Dlaczego?

- Z powodu miecza, Savannah. Co jeszcze zobaczyłaś kiedy go dotknęłaś?

Pokręciła głową. - Już ci powiedziałam. Widziałam Szkarłatnych, którzy zabili tych dwóch małych chłopców i ciebie, gdy się nim na kogoś zamachiwałaś. Zabiłeś kogoś tym mieczem.

Gideon ponuro skinął głową. - Tak... w pojedynku, przed wielu laty. Zabiłem mężczyznę Rasy, który wykonał ten miecz. Nazywał się Hugh Faulkner, pochodził z pierwszego pokolenia Rasy i wówczas był najlepszym płatnerzem w Londynie. Był też sukinsynem i łajdakiem, dewiantem, który czerpał rozkosz z rozlewu krwi. Zwłaszcza kiedy chodziło o ludzkie kobiety.

- Co się wydarzyło?

- Pewnej nocy w Londynie, Faulkner pojawił się w tawernie przy Cheapside w towarzystwie ludzkiej kobiety. Była w złej formie, blada i apatyczna, niemal do cna wysuszona.

Gideon nie był w stanie powściągnąć wstępu w swoim głosie. Rasa miała swoje prawa by chronić ludzi przed nadużyciami ze strony swoich obywateli, ale były też indywidua takiego rodzaju jak Faulkner, które uważały że stoją ponad jakimkolwiek prawem.

- Niewielu mężczyzn Rasy byłoby skłonnych wejść w drogę, komuś z pierwszego pokolenia, szczególnie takiemu o tak paskudnym charakterze jak Faulkner. Ale nie mogłem znieść tego, co zrobił tej kobiecie. Padło kilka ostrych słów. W następnej

chwili zorientowałem się że, Faulkner i ja byliśmy na zewnątrz w ciemnościach, zostałem wciągnięty w pojedynek na śmierć i życie o życie tej kobiety.

Gideon przypomniał sobie to wszystko, jakby wydarzyło się wczoraj, a nie jakieś trzysta lat temu. - Moje umiejętności we władaniu białą bronią miały pewną renomę, jak się okazało byłem nieco lepszy od Faulknera. Potknął się i prawie natychmiast stracił swój miecz. To było śmiertelne potknięcie. Już miałem pozbawić go głowy, ale w akcie litości... i głupoty jak okazało się z perspektywy czasu... zatrzymałem swoją rękę.

- On oszukiwał? - Savannah spróbowała zgadnąć.

Gideon niejasno pokiwał głową. - Gdy tylko odwróciłem się, żeby podnieść jego miecz, Faulkner uniósł się by ponownie mnie zaatakować. Od razu uświadomiłem sobie swój błąd. Błyskawicznie chwyciłem broń... i zanim Faulkner zdołał znowu stanąć na nogi odwróciłem się z powrotem ku niemu i prawie przeciąłem go na pół jego własnym, cholernym mieczem.

Savannah sapnęła. - Właśnie to widziałam. Ciebie, zabijającego go mieczem, którego dotknęłam.

- Wygrałem pojedynek i zabrałem ludzką kobietę z dala od Londynu, by zapewnić jej opiekę na czas powrotu do zdrowia - powiedział Gideon. - Co do miecza Faulknera, szkoda że tamtej nocy nie zostawiłem go tam, obok jego ciała.

Zrozumienie zabłysło we wrażliwych oczach Savannah. - Ci bliźniacy, mali chłopcy, których widziałam w swojej wizji, bawili się tym mieczem w stajni, zanim zaatakowali ich Szkarłatni...

- To byli moi bracia – potwierdził. - Simon i Roderick.

- Gideonie - szepnęła z powagą. - Tak mi przykro z powodu twojej straty.

- To się wydarzyło dawno temu - powiedział.

- Ale nadal boli, nieprawdaż?

Ciężko westchnął. - Zawiodłem, nie ochroniłem ich. Nasi rodzice nie żyli. Chłopcy byli pod moją opieką, odpowiadałem za ich bezpieczeństwo. Kilka tygodni po konfrontacji z Faulknerem, byłem na hulance w mieście. Simon i Roddy byli młodzi, nie mieli nawet po dziesięć lat, ale byli wystarczająco duzi, by polować na własną rękę, jak młodzież Rasy. Uważałem, że pozostawienie ich samych w nocy na kilka godzin nie zagrozi ich bezpieczeństwu.

Savannah sięgnęła i podniosła jego zaciśniętą w pięść dłoń do swoich warg, ze słodkim współczuciem ucałowała pobielale knykcie. Rozluźnił dłoń i splótł ich palce.

- To bliźniacy byli powodem, dla którego przybyłem do Bostonu. Po zabiciu trójki morderców moich braci, dołączyłem do Zakonu i zacząłem polować na Szkarłatnych. Wythukłem ich kilka tuzinów, albo trochę więcej.

- Więcej o kilka setek - przypomniała mu Savannah.

Mruknął. - Myślałem, że zabijanie Szkarłatnych sprawi, iż zmniejszy się moje poczucie winy z powodu śmierci braci, ale tak się nie stało.

- Jak długo już to ciągniesz, Gideonie?

Zaklął cicho. - Simon i Roddy zostali zabici trzy wieki temu.

Uniosła głowę i spojrzała na niego. - Ile dokładnie masz lat?

- Trzysta siedemdziesiąt dwa lata - odpowiedział przeciągając samogłoski. - Plus minus kilka miesięcy.

- O mój Boże - przytuliła z powrotem swoją twarz do jego piersi i cicho zachichotała. A potem wybuchła głośnym śmiechem. - A ja myślałam, że Rachel była zwariowana bo pożądała profesora Keatona mimo, że miał na karku czterdziestkę. Zakochałam się w totalnym antyku.

- Zakochałaś się? - szeptem zapytał Gideon.

- Tak - odpowiedziała cicho, ale bez wahania. Spojrzała na niego. Jedna ciemna, kształtna brew, ironicznie uniosła się w górę. - Tylko mi nie mów, że to jest w stanie wystraszyć trzystu... siedemdziesięciu... dwu... letniego wampira.

- Nie - odpowiedział ale poczuł nagłą rezerwę.

Nie z powodu jej słodkiego wyznania; wróci do tego kuszącego oświadczenia innym razem. W tym momencie, jego instynkt wojownika głośno zadzwonił na alarm. Usiadł w wannie marszcząc brwi. - Keaton - rzucił stanowczo. - W którym szpitalu go umieścili?

- Już go wypisali – odpowiedziała Savannah. - Widziałam go wczorajszego wieczoru w kampusie. Źle wyglądał ale powiedział, że całkowicie doszedł do siebie i szpital zwolnił go wcześniej niż się spodziewał. Zachowywał się trochę dziwnie...

Gideon spiął się. - W jakim sensie dziwnie?

- Nie wiem jak to określić. Po prostu dziwnie. Przyprawiał mnie o gęsią skórkę. I skłamał, gdy zapytałam go o atak.

- Opowiedz mi o tym.

Wzruszyła ramionami. - Keaton powiedział mi, że widział kto zaatakował ich tamtej nocy. Twierdził, że to był włóczęga, jednak wizja, którą uzyskałam z bransoletki Racheli ukazała mi mężczyznę w bardzo drogim garniturze. Mężczyznę z złocistożółtymi oczami i kłami.

- Cholera - Gideon nie miał pojęcia dlaczego nie dostrzegł tego wcześniej. Napastnik zabił współlokatorkę Savannah, ale profesora pozostawił przy życiu. To nie był żaden wypadek. - Co jeszcze mówił ci Keaton?

- Niewiele. Jak już ci powiedziałam, zachowywał się dziwnie, nie był sobą. Nie czułam się przy nim bezpieczna.

- Czy Keaton wiedział, że wczoraj wieczorem będziesz na dworcu?

Zamyśliła się. - Powiedziałam mu, że jadę do domu do Luizjany. Mogłam wspomnieć, że będę podróżowała autobusem...

Gideon warknął i wyszedł z wanny. Woda spływała z jego nagich kończyn i tułowia. - Muszę spotkać się z tym Keatonem. To jest jedyny sposób, by się upewnić.

Zorientował się, że jest około pierwszej po południu... może parę minut po dwunastej... i puścił wiązaną przekleństw.

Savannah również wyszła z wanny i stanęła obok niego. Położyła mu dłoń na ramieniu.- Gideon, czego potrzebujesz być pewny?

- Urazów Keatona z nocy ataku – powiedział. - Muszę wiedzieć czy został ugryziony.

- Nie wiem. Nie zobaczyłam aż tyle, kiedy dotknąłem bransoletki Racheli - wpatrywała się w niego w zamieszaniu. - Dlaczego chcesz to wiedzieć? Co da ci wiedza, że Keaton został pogryziony?

- Jeśli się z nim spotkam, natychmiast będę wiedzieć czy jest wciąż człowiekiem, czy też został ukąszony i wykrwawiony przez tego kto go napadł. Muszę wiedzieć czy zrobiono z niego Sługusa wampira, który zabrał z uniwersytetu ten miecz.

- Sługus - Savannah zamilkła na chwilę. - Jeśli Keaton został pogryziony, to powie ci to co potrzebujesz wiedzieć?

- Tak - Gideon nerwowo przeczesał palcami swoje potargane włosy. - Jednak jest mały problem, jestem tu uwięziony do zachodu słońca.

- Gideonie - powiedziała. - A co, jeśli zobaczę Keatona, teraz?

- Co chcesz przez to powiedzieć? - najeżył się na myśl, że mogłaby znaleźć się w pobliżu tego człowieka. - Nigdzie beze mnie nie pójdziesz. Nie zaryzykuję tego.

- Pokręciła głową.- Mam na myśli, że mogę spróbować dowiedzieć się czy Keaton został pogryziony podczas ataku. - Widząc jego grymas dezaprobaty, powiedziała.

- Wciąż mam bransoletkę Racheli.

- Gdzie?

- Tutaj, mam ją ze sobą. Jest w mojej torebce w drugim pokoju.

- Czy mogłabyś ją teraz przynieść, Savannah?

ROZDZIAŁ 13



SAVANNAH OBUDZIŁA SIĘ z wyjątkowo ciężkiej drzemki, była sama w łóżku.

Jak długo spała? Czowała się otępiała, tak jakby wychodziła z lekkiej narkozy.

Gdzie był Gideon?

Zawołała go, ale dom był pusty i cichy. Uniosła się lekko na materacu i zaczerwienionymi oczami rozejrzała się po ciemnej sypialni.- Gideon?

Żadnej odpowiedzi.

- Gideonie, gdzie jesteś?

Usiadła, odrzuciła okrycie i włączyła lampkę nocną. Na poduszce obok niej leżał kawałek papieru. Notatka nabazgrana na odwrocie nieużytego biletu autobusowego, który był w jej torebce. Pismo było ostre, lekko pochylone, precyzyjne i zwięzłe... dokładnie odzwierciedlało jego charakter.

Żałuję, że musiałem zrobić to w ten sposób. Jesteś tu bezpieczna. Niedługo będę z powrotem.

Savannah rozejrzała się po sypialni. Ubrania Gideona zniknęły, tak samo jak jego buty i broń. Nie było po nim żadnego śladu.

Wiedziała dokąd poszedł.

Przez mgłę czegokolwiek, co z nią zrobił, przypomniła sobie jego gwałtowną reakcję, kiedy użyła bransoletki Racheli do przywołania kolejnej wizji ataku wampira tamtej nocy w biurze profesora Keatona.

Keaton został ugryziony, dokładnie tak jak podejrzewał Gideon.

Już nie był mężczyzną, takim jak wcześniej, lecz niewolnikiem umysłu wampira.

Kreaturą, którą Gideon wydawał się bardzo zdeterminowany odnaleźć.

Niemal chodził po ścianach, niecierpliwy i nabuzowany niespokojną energią, podczas wolno mijających popołudniowych godzin. Nie mógł się doczekać, by znaleźć się na zewnątrz. Niespokojnie przemierzał pokój czekając na szansę, aby wyjść i skonfrontować się z Keatonem, a potem zapolować na jego Mistrza.

Savannah chciała pójść razem z nim, ale jego odmowa była twarda i niezachwiana. Był nieugięty w postanowieniu, żeby pozostała na miejscu i pozwoliła mu zająć się sytuacją... samodzielnie. Lub jeśli okaże się to konieczne, z braćmi z Zakonu.

Gdy nie przestawała nalegać, żeby zabrał ją ze sobą, na koniec złagodniał.

Pocałował ją delikatnie, opiekuńczo przytulił, a potem z czułością dotknął jej czoła. Po czym...

Nic, kompletna ciemność.

To wszystko, co zapamiętała z kilku ostatnich godzin.

Żałuję, że musiałem zrobić to w ten sposób. Napisał.

Niech go szlag!

Savannah wyskoczyła z łóżka. Narzuciła ubranie i pobiegła w kierunku drzwi wejściowych. Szarpnęła za zamek, ten ani drgnął.

Czyżby zamknął ją na klucz?

Teraz naprawdę ją wkurzył, podeszła do okna i spróbowała je otworzyć. Były zapieczętowane zamkniętymi na głucho okiennicami. Ten dom był jak więzienie, zdała sobie z tego sprawę, gdy gorączkowo go sprawdzała.

W końcu, zadyszana i wściekła usiadła, by odetchnąć w małej, pustej kuchni.

Nie było żadnego sposobu, żeby stąd wyjść.

Ona była tutaj uziemiona, a Gideon był gdzieś tam, szukając okazji, by samotnie zmierzyć się z potężnym wrogiem.

Wiedziała, że nie zdołałaby mu pomóc... nie w tego rodzaju bitwie, w jakich zwykły był walczyć. Ale jak mógł porzucić ją w ten sposób, by czekała i się martwiła, lub zmusić do poddania się jego woli poprzez użycie na niej mocy Rasy? Gdyby tak się o niego nie martwiła, pewnie miałaby ochotę go zabić, gdy tylko ponownie go zobaczy.

Zakrztusiła się oddechem wciągniętym w nagłej panice. *Boże, proszę, pozwól mi go*

jeszcze zobaczyć.

Osunęła się na kolana, na surowe deski podłogi... i zauważyła coś w dalekim kącie kuchni, który przeoczyła podczas wcześniejszego przeszukiwania domu.

W podłodze był ukryty właz.

Ledwie widoczny, idealnie wypoziomowany i dopasowany do reszty podłogi.

Z mieszaniną ciekawości i złych przeczuc, Savannah, na czworaka przysunęła się w jego kierunku i poszukała łączenia. Wcisnęła palce między parę desek i stwierdziła, że ukryty, kwadratowy panel jest jedynie wciśnięty i niczym nie zabezpieczony. Podniosła go, przesunęła na bok, i wzdrygnęła się, gdy z ciemnego otworu buchnęło na nią zimne, wilgotne powietrze.

Savannah spojrzała w dół, próbując zobaczyć, czy ten mroczny korytarz prowadził gdzieś na zewnątrz domu, czy też znajdowała się za nim jedynie ciemna, stara piwnica. Ukłucie niepokoju na jej karku mówiło jej, że to może nie być żadna z tych opcji, ale kiedy już otworzyła ten właz, po prostu nie mogła go zamknąć bez sprawdzenia, co się za nim kryło.

Prymitywna drabina oparta była o ziemną ścianę poniżej. Savannah wśliznęła się do otworu i ostrożnie zeszła około sześciu metrów w dół.

To był głęboki dół, ciemny, oprócz niewielkiej plamy światła padającej ze znajdującej się powyżej kuchni.

Czy wczoraj wieczorem, kiedy tu przybyli razem z Gideonem nie pomyślała, że dom przypomina grobowiec? Ta ręcznie wyciosana komnata w zimnej, ciemnej ziemi sprawiła, że ta myśl powróciła do niej z dziesięciokrotnie większą siłą.

Kto to wykopał?

I w jakim celu?

Savannah rozejrzała się wokół. Zobaczyła jedynie wilgotne ściany i podłogę, miejsce smutku i izolacji. Miejsce zapomnienia.

Nie, pomyślała, dopiero teraz dostrzegając przeznaczenie tej ukrytej komnaty... niszę wydrążoną w przeciwległej ścianie, stworzoną do przechowywania prostej, drewnianej szkatuły, którą starannie umieszczono we wnęce.

Ta dziura w ziemi była miejscem pamięci.

Pokuty.

Podeszła bliżej do niszy i szkatuły, którą zawierała. Nawet bez jej dotykania, mogła wyczuć ból emanujący z relikwiarza.

Skąd wzięła się tutaj ta skrzynka? Dlaczego tu była? Kto z rozmysłem umieścił ją w tym miejscu?

Musiała to wiedzieć.

Savannah przesunęła nagą dłonią po wieku starego relikwiarza.

Zalał ją żal, przesywający do szpiku kości.

W środku były szczątki młodej kobiety, która odeszła dawno temu. Popiół i kości skropione łzami. Łzami człowieka.

Nie, nie człowieka.

Nieznany jej mężczyzna pochodził z Rasy i opłakiwał swoją zmarłą partnerkę, obwiniając się o jej śmierć.

Savannah zobaczyła go w przebłysku swojego paranormalnego daru: postawny wojownik z grzywą płowych włosów i przenikliwymi, szmaragdowymi oczami. Oczami, które płonęły wściekłością, smutkiem i nienawiścią do samego siebie.

Jego cierpienie było zbyt wielkie, zbyt dojmujące.

Zbyt bolesne również dla niej, by mogła znosić je dłużej.

Pośpiesznie cofnęła swoją dłoń i zrobiła krok do tyłu, pragnąc zdystansować się od straszliwej, tragicznej przeszłości, mieszkającej w tej szkatule.

Wstrząśnięta, nie chcąc już wiedzieć niczego więcej o tej ukrytej komnacie, ani o jej tajemnicach, wspięła się z powrotem na górę, żeby poczekać na powrót Gideona.

PO WŁAMANIU SIĘ do uniwersyteckiego budynku administracji, gdy tylko zapadła noc, Gideon skierował się do Southie, dzielnicy robotniczej. Namierzając dom pewnego profesora, Williama Charlesa Keatona.

Zaniedbana wiktoriańska kamienica, z przełomu wieków raczej nie obwieszczała wszem i wobec, że mieszka tu samotny kawaler, jednak rzucający się w oczy biały Firebird zaparkowany na podjeździe, był wystarczającą reklamą takiego podrywacza jakim był Keaton.

Albo raczej, byłego podrywacza.

Po wysłuchaniu z ust Savannah potwierdzenia, tego co już podejrzewał... że Keaton rzeczywiście został ugryziony przez osobnika Rasy, który go zaatakował... Gideon miał całkowitą pewność, iż jedyną rzeczą, która teraz interesuje Keatona jest wypełnianie poleceń jego Mistrza.

Gideon musiał dowiedzieć się komu służył Keaton.

Musiał wiedzieć kto i dlaczego potrzebował miecza Hugh'a Faulknera, tak bardzo, że był gotów za niego zabić.

Nie robił sobie zbyt wielkiej nadziei, że Keaton łatwo, lub w ogóle udzieli mu tej odpowiedzi. Przesłuchiwanie Sługusów niezbyt często okazywało się produktywnym wysiłkiem. Lojalność niewolnika umysłu należała w całości do jego Pana.

Mimo to, Gideon musiał spróbować.

Chociażby ze względu na bezpieczeństwo Savannah.

Nienawidził siebie jak cholera za to, że musiał wprowadzić ją w trans tuż przed zachodem słońca, ale nie miał wielkiego wyboru. Nigdy nie zdołałby opuścić domu bez niej. Zamknięcie na klucz też pewnie nie uczyni go w jej oczach żadnym bohaterem.

Cholera.

Będzie musiał dodać do swojej puli kolejne przeprosiny. Był jej to winien... począwszy od tych, które zaplanował na chwilę, gdy znowu ją zobaczy.

Tych, w których musiał się kajać za to, że przez cały ten czas pozwolił jej myśleć, iż ich pierwsze spotkanie było dziełem szczęśliwego trafu. Losu, jak powiedziała tuż przed słodkim wyznaniem, że się w nim zakochała.

Musiała wiedzieć, że pomimo tego, iż ze swoich powodów początkowo ją oszukiwał, to jednak, to co do niej teraz czuł... prawie od pierwszej chwili, w której się spotkali było szczere... i prawdziwe.

Musiała wiedzieć, że była dla niego ważna, ważniejsza nawet od jego prywatnych poszukiwań odpowiedzi na temat tego cholernego miecza i mężczyzny Rasy, który był gotów za niego zabić.

Musiała wiedzieć, że ją kocha.

Nie znał lepszego sposobu, by tego dowieść, niż usunięcie wszystkich, którzy mogli jej zagrażać. Zaczynając od Sługusa, mieszkającego w tym domu.

Gideon wszedł ukradkiem, słaby zamek w starych drzwiach wejściowych nie stanowił żadnego wyzwania dla mentalnego polecenia, które go otworzyło.

W pokoju dziennym znajdującym się tuż przy wejściu był telewizor. Przed nim na przenośnym stoliku przystawionym do miękkiej brązowej sofy, znajdowała się foliowa tacka z zaschniętym gotowym daniem do przygotowania w mikrofalówce. A na sofie leżała rozpostarta mapa stanu Luizjana.

Skurwysyn.

Gideon musiał wziąć mocno w karby furie, która zaczęła wrzeć w jego żołądku, kiedy zapoznał się z naniesionymi ołówkiem liniami prowadzącymi lekko na południe od centrum stanu.

Omiótł mieszkanie wzrokiem, szukając swoim darem fizycznej energii mieszkańca tego domu. Namierzył delikatny pomarańczowy blask Keatona u swoich stóp, pod deskami podłogowymi. Sługus był w piwnicy.

Gideon ruszył w kierunku klatki schodowej prowadzącej do piwnicy poniżej.

Paliło się tam słabe światło. Z dołu dobiegały niewyraźne odgłosy grzebania... po czym zapadła, nagła cisza.

Sługus właśnie zdał sobie sprawę z obecności mężczyzny Rasy, który nie był jego Mistrzem.

Gideon ujął w dłoń jeden ze swoich pistoletów i zszedł po schodach do piwnicy. Keatona nie było, bez wątpienia uciekł, żeby gdzieś się ukryć. Nie, żeby mógł być zbyt daleko.

Wojownik wszedł w głąb pomieszczenia, jego spojrzenie błędziło po stole do majsterkowania i ścianie obwieszanej narzędziami i niewielkimi pojemnikami na wkręty, gwoździe i inne drobiazgi. Na ławce leżał ciemny, otwarty worek marynarski. Wewnątrz znajdowały się; zwój liny, nóż myśliwski i rolka ze srebrną taśmą samoprzylepną.

Krew Gideona zawrzała na widok tak oczywistego ekwipunku porywacza.

Mistrz Keatona najwyraźniej zmienił zdanie w sprawie nasyłania na Savannah Szkarłatnych i teraz pragnął wziąć ją żywcem. Ta myśl wcale nie poprawiła Gideonowi humoru.

Rozejrzał się po zagraconej piwnicy, szukając Sługusa.

Znalazł go czającego się w pomieszczeniu znajdującym się w głębi piwnicy.

Gideon ruszył przed siebie, w kierunku przyległego pokoju, oddzielonego ozdobioną koralikami zasłoną. Odsunął ją i wszedł do pomieszczenia udekorowanego czymś, co można by określić jako kolekcję obrazującą historię rozwoju broni. Ściany obwieszane były okazałą kolekcją muszkietów, maczug, rapierów i rogów z prochem. Widocznie, Keaton preferował historię z odrobiną zapachu krwi.

Gideon ruszył w stronę blasku postaci Keatona, ukrytej za drzwiami od toalety w przeciwnym końcu pokoju. Gideon miał ochotę posłać łajdakowi kulkę przez drewniany panel, ale potrzebował Sługusa żywego, by wydusić z niego imię jego Mistrza.

- Planujesz wycieczkę, Keaton? - zapytał.

Żadnej odpowiedzi. Sługus wewnątrz kibla gorączkowo coś robił, Gideon zauważył niewielkie zmiany masy energetycznej człowieka. Nie mógł po prostu zabić Keatona, ale amputowanie mu kończyn mogłoby okazać się przekonywujące.

- Potrzebujemy trochę sobie pogadać, Keaton. Musisz mi powiedzieć komu służysz.

Sługus zachichotał. Gideon cicho zaklął i pokręcił głową. - Wyłaż teraz, albo skończysz w kawałkach.

Znowu żadnej odpowiedzi. Więc Gideon strzelił w drzwi.

Trafiony kulą Sługus jęknął, ale ledwie zareagował na ból. Po czym zaczął maniakalnie chichotać.

Gideon uświadomił sobie swój błąd, tyle że o ułamek sekundy za późno.

Keaton otworzył drzwi. Uśmiechał się, trzymając w dłoniach dwa granaty z czasów II wojny światowej. Bez zawleczek.

Jezu Chryste.

Gideon obrócił się na pięcie i pognął w przeciwnym kierunku. Był już w połowie schodów prowadzących na piętro, gdy granaty zdetonowały. Impet eksplozji rzucił nim o ścianę, wszędzie wokół był dym i fruwający gruz. Mocno dostał, poczuł żar na plecach, tam gdzie dopieprzył mu przypadkowy szrapnel.

Ale żył. Był cały. Ulga spłynęła po nim... a wtedy nozdrza wypełnił mu niepokojący zapach jego własnej krwi.

Było jej zbyt dużo.

Podniósł się ze schodów, na które upadł i spojrzał po sobie, by ocenić szkody. Setki szarpanych ran i przypalona skóra tam, gdzie walnął go gorący szrapnel. Nic, czego genetyka Rasy nie mogłaby wyleczyć sama w przeciągu kilku godzin.

Ale była też inna rana, która dawała mu do myślenia.

Fatalne rozcięcie na lewym udzie, które niemal odcięło mu kończynę i tryskało krwią jak gejzer za każdym ciężkim uderzeniem jego serca.

Krew wyciekała z niego szybko, jak z dziurawego sita.

Jego ciało było w stanie regenerować urazy. Miał ich więcej w swoim życiu niż był

w stanie spamiętać.

Ale ten był bardzo poważny.

Śmiertelnie poważny, nawet dla kogoś z jego rodzaju.

PRZEKŁAD – **Red-Room**

ROZDZIAŁ 14



COŚ CIĘŻKO UDERZYŁO WE FRONTOWE DRZWI, podrywając Savannah z fotela.

Gideon?

Miała wrażenie, że czekała na niego od wieków, martwiąc się i cierpiąc udrękę samotności w smutnym, starym domu, w którym czas wydawał się rozciągać do nieskończoności.

Kolejny głośny, głuchy odgłos zabrzmiał spoza drzwi.

Przeszła przez pokój, czując nagły przypływ ulgi. - Gideon, czy to ty?

Chciała, żeby to był on.

Modliła się o to... aż usłyszała metaliczny szczęk zamka, a potem otworzyły się drzwi i masywne skąpane w pocie i krwi ciało osunęło się na podłogę.

- O mój Boże! Gideon!

Savannah rzuciła się ku niemu. Uklękła przy nim, wstrząśnięta jego stanem. Włosy, twarz, dłonie... każdy odsłonięty centymetr jego skóry pokrywała mieszanina czarnego popiołu i krwi. Tak dużo krwi.

Spróbował coś powiedzieć, ale spomiędzy jego warg wydobył się jedynie zgrzytliwy dźwięk. - Keaton - wysapał.- Sługus... on nie żyje... teraz już nie będzie mógł cię skrzywdzić.

Zakłęła, ale zabrzmiało to bardziej jak szloch. - Mam go gdzieś. Tylko ty się dla mnie liczysz.

Próbował usiąść, ale ponownie bezwładnie osunął się na podłogę. Pod nim i wokół niego zbierała się krew, pulsując na zewnątrz z ran od szrapnela i bardzo poważnego rozcięcia na udzie.

Spojrzała w dół na pas od broni, z którego zrobił prowizoryczną opaskę uciskową, zaciskając go wokół górnej części swojej nogi. W otwartej ranie była w stanie zobaczyć mięśnie. Cholera. Chyba widziała tam również kość.

- Gideon - krzyknęła. - Potrzebujesz pomocy! Musisz znaleźć się w szpitalu...

- Nie - warknął. Dźwięk jego głosu był nieziemski, przepełniony śmiertelną groźbą. Jego oczy płonęły, całkowicie zalane jasnym, jarzącym się, bursztynowym blaskiem. Źrenice miał tak wąskie, że stały się prawie niewidoczne. Kły wypełniały mu usta, wydłużone, ostre jak sztylety, wystawały spoza rozchylonych warg, gdy walczył o oddech.

- Odejdź – wysapał, gdy sięgnęła, by odsunąć kosmyk włosów, który przylgnął mu do spoconego czoła. Jego skóra była blada jak wosk, a twarz wykrzywiona w wyrazie nieopisanej udręki. - Trzymaj się ode mnie z daleka.

- Musisz pozwolić mi sobie pomóc.

Pochyliła się nad nim, aby spróbować go podnieść.

Wzrok Gideona zachłannie przyłgnął do jej gardła. - Nie zbliżaj się do mnie!

Wyszczone polecenie sprawiło, że wzdrygnęła się i odskoczyła. Wpatrywała się w niego niepewna, co mogłaby dla niego zrobić i na wpół wystraszona, że mogło być już za późno. - Gideon, proszę. Nie wiem, co mam zrobić.

- Zakon - rzucił chrapliwie. Wyrecytował serię liczb. - Zadzwoń do nich.

Rozpaczliwie próbowała pamiętać numer, powtarzając go po nim, aby się upewnić. Niewyraźnie skinął głową, powieki zaczęły mu opadać, a skóra stawała się coraz bledsza. - Pośpiesz się Savannah.

- Dobrze - powiedziała.- Okay, Gideon. Zadzwonię do nich. Trzymaj się. Zorganizuję pomoc.

Pobiegła do sypialni, wyszarpnęła z torby portfel i pióro, by jak oszalała nabazgrać nim na dłoni ciąg zapamiętanych cyfr. Wybiegła z domu na ulicę, błagając zdezelowany, stojący na rogu automat telefoniczny, żeby był czynny.

Trzęsącymi się palcami wcisnęła monetę do otworu, a potem wykręciła numer, który podał jej Gideon. Usłyszała tylko jeden sygnał, potem zapadła cisza, jakby ktoś na drugim końcu linii uniósł słuchawkę. - Hmmm, cześć? Witaj!

- Taaa? - niski głos. Mroczny, intrygujący. Groźny.

- Gideon kazał mi zadzwonić - wyrzuciła z siebie na jednym przerażonym oddechu. Coś mu się stało i ja...

Stuknięcie odkładanej słuchawki.

- Halo?

Przy jej uchu odezwał się sygnał oznaczający przerwane połączenie.

NIE MINEŁO NAWET DZIESIĘĆ MINUT, gdy czuwająca przy nieprzytomnym Gideonie Savannah uniosła wzrok w kierunku zaciętej twarzy i napotkała spojrzenie przenikliwych oczu postawnego przedstawiciela Rasy. Enigmatyczny mężczyzna był od stóp do głów ubrany w czarną skórę i emanował śmiertelnie groźną mocą.

Nie zapukał, po prostu wszedł bez słowa powitania, czy wyjaśnienia.

I najwyraźniej przybył pieszo, skąd, Savannah mogła tylko zgadywać.

Odkąd spotkała Gideona i dowiedziała się o jego Rodzaju, doszła do wniosku, że prościej przyjmować pewne rzeczy jak część jej nowej rzeczywistości. Mimo to, ledwie zdołała powstrzymać impuls, by uciec jak przerażone zwierzątko od tego niepokojącego mężczyzny, gdy ten wszedł głębiej do domu.

To miejsce należało do niego, nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Był tym, który umieścił szkatułę z prochami w komnacie ukrytej pod kuchnią. To jego szarpiący smutek wyczuła Savannah, gdy dotknęła relikwiarza.

Wpatrywał się w nią teraz, bez absolutnie jakiegokolwiek emocji. Jego zielone oczy patrzyły nie tyle na nią, co przez nią.

Wiedział.

Wiedział, że była w jego prywatnej celi wypełnionej śmiercią. Savannah mogła dostrzec w wyrazie ponurej twarzy, iż jest świadomy naruszenia jego sanktuarium, pomimo, że nic jej nie powiedział. Nic nie zrobił, tylko podszedł do leżącego Gideona i przykucnął na piętach. Po czym, ten ogromny mężczyzna wysyczał ordynarne przekleństwo.

- On się nie budzi - szepnęła Savannah. - Kiedy wróciłam po tym, jak zadzwoniłam do Zakonu, znalazłam go w takim stanie, nieprzytomnego.

- Stracił zbyt dużo krwi - jego głos był takim samym głębokim, groźnym pomrukiem, jaki usłyszała na drugim końcu linii. - Potrzebuje odpowiedniej opieki.

- Czy możesz go uratować?

Płowa głowa obróciła się w jej stronę, ponure zielone oczy wbiły się w nią jak pociski. - On potrzebuje krwi.

Savannah spojrzała na Gideona, przypominając sobie jego ostrą reprimendę, żeby się do niego nie zbliżała. Był wściekły, chociaż to było oczywiste, że rozpaczliwie pragnął się z niej napić... potrzebował tego.

- Kazał mi trzymać się od siebie z daleka.

To niepokojące spojrzenie przez dłuższą chwilę pozostało skupione na niej, zanim wampir zwrócił je w stronę swojego nieprzytomnego towarzysza. Zbadał ranę na nodze Gideona, warcząc kiedy oceniał jej powagę.

- Więc, jesteś tą dziewczyną.

- Słucham?

- Dawczynią Życia, ten facet, tutaj... nie był w stanie trzymać się od ciebie z daleka, odkąd zobaczył cię we wiadomościach TV nadawanych na początku tego tygodnia, mówiącą o mieczu, którym zgładzono jego braci.

Savannah poczuła się zdezorientowana. Ukłuło ją dziwne żądło strachu. - Gideon zobaczył mnie w wiadomościach? Wiedział, że widziałam miecz? - potrząsnęła głową. - Nie, to nieprawda. Poznaliśmy się w bibliotece, gdzie pracuję. Wcześniej niczego o mnie nie wiedział.

Wojownik ponownie obrzucił ją surowym spojrzeniem, co sprawiło, że jej dyskomfort jeszcze się pogłębił.

- Gideon oglądał jakieś freski na ścianach biblioteki. To było tuż przed zamknięciem, i... - urwała, ponieważ zaczęła uświadamiać sobie niechcianą prawdę.

Rzeczywiście. Po prostu, niespodziewanie zdarzyło mu się znaleźć w bibliotece, nie w poszukiwaniu książek, ale po to, by oglądać freski, które przypadkowo znajdowały się w sali obok jej biura. Flirtował z nią, cytując Plutarcha i praktycznie sprawiając, że pod ściennymi malowidłami w sali Abbey'a prawie spadły jej majtki. Udawał, że nic nie wiedział na temat faktu, iż jej współlokatorka została zamordowana poprzedniej nocy przez przekłętą wampira... jednego z jego własnego rodzaju.

Savannah poczuła się dziwnie ośmieszona. Tak jak głupiec, do którego z opóźnieniem dotarła puenta dowcipu.

- Więc chcesz powiedzieć, że szukał mnie tamtej nocy?

Wojownik zaklął pod nosem, ale nie odpowiedział na jej pytanie. Nie było

potrzeby. Teraz poznała prawdę. Na koniec... jak przypuszczała.

Gideon zobaczył w wiadomościach przeprowadzany z nią wywiad i szukał jej, aby uzyskać informacje na temat kogoś, kogo zdeterminowany był odnaleźć. Kogoś, kto według niego był wrogiem, mającym związek z morderstwem jego braci.

Wykorzystał ją.

Dlatego wiedział, gdzie mieszkała, dlatego zawsze znajdował się w odpowiednim miejscu o właściwym czasie. Tropił ją jak każdą inną ofiarę... albo kogoś, kogo mógłby użyć.

Boże, czy wszystko, co pomiędzy nimi zaszło było jedynie częścią jakiegoś chorego planu? Prywatnej wendetty, którą planował?

Savannah niemal się zatoczyła, miała wrażenie, jakby ktoś uderzył ją w twarz. Wykorzystał ją nawet dzisiaj, zachęcając, by dotknęła bransoletki Racheli, po to, żeby mógł dowiedzieć się czegoś więcej o Keatonie i wampirze, który go zaatakował.

Teraz Gideon leżał u jej stóp, ranny i słaby, nieprzytomny i krwawiący... być może umierający... z powodu tego cholernego dążenia do zemsty.

Stała nad nim jak idiotka, czując się bezsilna i wystraszona... przerażona tym, że pozwoliła sobie zakochać się w nim, podczas gdy, najwidoczniej była dla niego jedynie środkiem do celu.

Łatwiej było zaakceptować to, że był przedstawicielem Rasy... kimś więcej niż zwykłym człowiekiem... niż uświadomić sobie, że jedynie się nią bawił. Ból, jaki poczuła był jak cios sztyletem w samo serce.

Już kiedyś ktoś ją wykorzystał do zdobycia czegoś, czego pragnął bardziej, ale Danny Meeks ukradł jedynie jej dziewictwo. Gideon zabrał jej serce.

Savannah zrobiła krok do tyłu. Potem kolejny, patrząc jak należący do Zakonu druidów Gideon poprawia opaskę uciskową wokół jego rozerwanego uda i przygotowuje go do zabrania tam, gdzie należał.

Poczuła chłodne powietrze na swoich plecach, kiedy wysliznęła się w noc przez uchylone drzwi. Potem odwróciła się i zamknęła je za sobą, zanim pierwsze gorące łzy zaczęły zalewać jej policzki.

PRZEKŁAD – **Red-Room**

ROZDZIAŁ 15



- SAVANANAH!!!

Gideon powrócił do świata żywych z głośnym krzykiem, wszystkie obawy, przenikające każdą komórkę jego ciała, skoncentrowane były na jednym... na niej.

Usiadł i w odpowiedzi poczuł serię ostrego, kującego bólu, najgorszy miał swoje źródło w głębokiej ranie na udzie. Leżał w łóżku. Znajdował się w lazarecie Zakonu. Zrobił wdech. Nie poczuł jakiegokolwiek zapachu popiołu, potu ani krwi, która grubą skorupą pokrywała każdy cal jego ciała po gehennie w domu Sługusa.

Ktoś zadał sobie trud umycia go i pozszywania do kupy. - Która godzina? - wychrypiął. - Jak długo był nieprzytomny? - Niech to cholera. Jaki mamy dziś dzień?

- Już dobrze, Gideon. Uspokój się. - łagodna damska dłoń spoczęła na jego nagim ramieniu. - Wyjdiesz z tego. Tegan przyniósł cię tutaj zeszłej nocy.

Zeszłej nocy.

- Danika - wykrztusił, otwierając oczy by spojrzeć na Dawczynię Życia Conlana, która stała nad nim z rolką białego bandaża w ręce. - Gdzie ona jest? Gdzie jest Savannah?

Wysoka blondynka ze współczuciem pokręciła głową. - Przykro mi, ale nie wiem.

Cholera.

Gideon odrzucił prześcieradło i zsunął nogi na podłogę, ignorując gorący, przeszywający protest jego ran. - Muszę się z nią zobaczyć. Muszę ją odnaleźć. Wciąż gdzieś tam jest Mistrz Keatona. Ona nie jest bezpieczna...

- Ona odeszła, bracie.

Tegan stanął na progu szpitalnej sali. Jego twarz była ponura, ledwo zauważył, że Danika cicho wymknęła się i pozostawiła dwóch wojowników samych. - To moja wina, Gideon. Nie wiedziałem...

- Co się stało?

Nagły skok adrenaliny i strachu uderzył w jego żyły. - Co jej zrobiłeś?

- Powiedziałem jej prawdę. O czym ty najwyraźniej zapomniałeś.

- Kurwa. - Gideon przeczesał dłonią włosy. - Niech mnie szlag. Co jej powiedziałaś, T?

W odpowiedzi otrzymał jedynie niejasne wzruszenie ramion, a w zielonych oczach również nie można było niczego wyczytać. - To, że była twoją osobistą obsesją odkąd zobaczyłeś ją w wiadomościach w dzień po ataku na uniwersytecie.

Gideon jęknął. - Co za szambo.

- Taaa, nie wyglądała na zbyt szczęśliwą, kiedy o tym usłyszała.

- Muszę po nią pójść. Może być w niebezpieczeństwie, Tegan. Muszę ją odnaleźć i upewnić się, że z nią wszystko w porządku. I zapewnić ją, że za nią szaleję. Że jej potrzebuję.

- Nie jesteś w stanie opuścić Zakonu ani szpitala.

- Pieprzyć to. - Gideon dźwignął się na nogi, krzywiąc się z powodu agonii rannej nogi, ale nie mógł pozwolić czemuś tak błahemu jak niedawno przecięta tętnica udowa powstrzymać go przed ściganiem kobiety, którą kochał. - Ona jest moja. Należy do mnie. Zamierzam się jej zadeklarować, a potem przywieźć ją tutaj.

Tegan chrząknął. - Przypuszczałem, że możesz powiedzieć coś w tym stylu. I udało mi się, chłopie... być może jedyny raz, cię wyprzedzić. Odrzutowiec Zakonu czeka na ciebie w prywatnym hangarze, zatankowany. Musisz tylko powiedzieć pilotom dokąd chcesz lecieć.

- Do Luizjany - mruknął. - Na pewno pojechała do domu.

Tegan rzucił mu stos świeżych ubrań, które leżały obok łóżka.

- Na co czekasz? Wypierdalaj stąd.

KIEDY WYŁONIŁY SIĘ PRZED NIM gęste cienie bagnisk Atchafalaya, Gideon zeskoczył z tyłu starej furgonetki, którą złapał kiedy opuścił lotnisko w Baton Rouge. Rana na jego nodze bolała jak sam skurwysyn, mocniej za każdą milą, którą przebiegł w głąb gęstych zarośli i wypełniających kotlinę, pokrytych zwisającym, hiszpańskim mchem cyprysów.

Siostra Savannah, Amelie, mieszkała w ustronnej uliczce na tym słabo zaludnionym odcinku bagien. Gideon dokładnie wiedział gdzie ją znaleźć; po tym jak się ocknął w lazarecie Zakonu, został w kwaterze tylko na tyle długo, żeby starczyło mu czasu na włamanie się do elektronicznej bazy danych Powszechnego Spisu Ludności, która bardzo szybko wydusiła z siebie jej adres.

Kulejąc zszedł z niebrukowanej drogi w ścieżkę prowadzącą do skromnego domku z ciepłym światłem w oknach, którego dach i ganek pokrywał grafitowy gont. Żaden samochód nie parkował na niebrukowanym podjeździe od frontu. Żaden dźwięk nie dobiegał z wnętrza niewielkiego domu, kiedy skradał się w kierunku wejścia.

Wspiął się po przysadzistych schodach prowadzących do ganku i drzwi wejściowych, mięśnie jego uda protestowały przy każdym ruchu. Jego dar przeniknął przez cienkie ściany, szukając charakterystycznego blasku energii życiowej. Ktoś siedział w pokoju dziennym, samotnie.

Gideon zapukał we frontowe drzwi... tylko po to by odkryć, że wcale nie były zamknięte.

- Savannah?

Z wnętrza odpowiedział mu stłumiony jęk.

- Savannah! - W jednej chwili Gideon miał w dłoni swoją broń, wpadł do środka jak burza, jego ciało wypełniał niepokój.

To nie była Savannah. Bez wątplenia musiała to być jej siostra. Ciemnoskóra kobieta około trzydziestki była skrępowana i zakneblowana, siedziała na kuchennym krześle ustawionym pośrodku pokoju. Ślady napaści widać było wszędzie, powywracane sprzęty, połamane w drzazgi meble.

Ale ani śladu Savannah.

Oczy Amelie Dupree rozwarły się szeroko, kiedy Gideon podszedł do niej z pistoletem zaciśniętym w dłoni. W panice zaczęła szarpać się na krześle i krzyczeć przez knebel.

- Ciii - zamruczał Gideon uspokajająco, pomimo własnego strachu o Savannah. Rozluźnił więzy Amelie, ściągnął szmatę zawiązaną wokół jej twarzy i krępującą jej usta. - Nie mam zamiaru cię skrzywdzić. Gdzie jest Savannah? Jestem tu żeby ją chronić.

- Zabrali ją!

Krew Gideona zmieniła się w lód. - Kto ją zabrał?

- Nie wiem - potrząsnęła głową, szloch wydarł się z jej gardła. - Dwóch mężczyzn, jakąś godzinę temu. Związali mnie i zabrali moją siostrzyczkę z pistoletem przystawionym do głowy.

Warknięcie wściekłości Gideona, przypominało odgłos śmiertelnie groźnego drapieżnika. - Dokąd ją zabrali? Jak wyglądali ci ludzie?

Amelie pochyliła się do przodu, ukrywając twarz w dłoniach. - Nie mam pojęcia, nie wiem! Boże, ktoś musi jej pomóc. Muszę zadzwonić po policję!

Gideon ujął ramiona kobiety mocnym chwytem, zmuszając ją by na niego spojrzała. - Posłuchaj mnie, Amelie. Nie możesz się stąd ruszać i nie dzwoń do nikogo. Musisz mi zaufać. Nie pozwolę żeby Savannah coś się stało.

Wpatrywała się w niego, jej udręczone oczy były pełne wątpliwości. - Czy to ty nim jesteś? Facetem z Bostonu, który złamał jej serce i odesłał ją tu wczoraj wieczorem, wyglądającą jakby rozpadł się cały jej świat?

Nie odpowiedział chociaż przygniotło go poczucie winy. - Jestem tym, który ją kocha. Bardziej niż własne życie.

- Nie pozwól im jej skrzywdzić - krzyknęła. - Nie pozwól, żeby ci ludzie zabili moją słodką Savannah.

Gideon z powagą skinął głową. - Nie pozwolę. Przysięgam na swoje życie.

Ledwie to powiedział, podjechał jakiś samochód, zatrzymując się obok domu. Monotonny warkot silnika zamilkł, chwilę później zastąpiony przez głuchy odgłos zatrzasnkujących się drzwi pojazdu.

Gideon podniósł głowę, wszystkie jego wojownicze instynkty wprawione zostały w stan pełnej gotowości. Z bronią gotową do strzału odwrócił się i ruszył w stronę frontowych drzwi.

Była tam.

Stała w ciemnościach przed domem na trawniku swojej siostry, trzymana jedną ręką za kark przez ludzkiego mężczyznę... Sługusa, co Gideon zauważył od razu. Ogromny zbir trzymał wylot lufy swojego pistoletu przyciśnięty do skroni Savannah. Była zapłakana, miała twarz pokrytą smugami łez, a wargi sine z przerażenia.

Cała krew odpłynęła z głowy Gideona i zaczęła gwałtownie pulsować w centrum jego klatki piersiowej. Wówczas zauważył drugiego mężczyznę, osobnika Rasy, stojącego swobodnie w cieniu pobliskiego cyprysu. Ubrany był w dwurzędowy,

granatowy, wełniany płaszcz, brązowe włosy miał nienagannie ostrzyżone i elegancko zaczesane do tyłu. Przed nim, trzymane luźnym chwytem błysnęło ostrze z polerowanej stali. Długi brzeszczot lśnił w świetle księżyca.

Gideon nie musiał widzieć rękojeści, by wiedzieć, że byłby to drapieżny ptak... sokół... wytłoczony wokół uchwytu.

To była broń Hugh'a Faulknera.

Ale to nie był płatnerz pochodzący z pierwszej generacji Rasy, którego wieki temu Gideon zabił w Londynie. Nigdy wcześniej nie widział tego wampira, był tego pewny.

- Rzuć broń, wojowniku.

Spojrzenie Gideona przebiegło od mężczyzny do Sługusa trzymającego Savannah, kalkulował w myślach, którego z nich powinien zabić najpierw, by dać jej większą szansę, żeby wyszła z tego cała i zdrowa. Żadna opcja nie dawała mu na to zbyt dużej gwarancji, a wcale nie miał ochoty ryzykować popełnienia błędu, który mógłby pociągnąć za sobą tak wysoki koszt.

- Odłóż ją w tej chwili - zażądał wampir przeciągając samogłoski. - Albo mój człowiek odstrzeli jej piękną główkę.

Gideon rozluźnił uchwyt na pistolecie, po czym pochylił się by odłożyć go na ziemię.

- Resztę też. Powoli.

Wojownik zdjął swój pas z bronią i położył go u swoich stóp. Zabandażowana rana

na udzie znowu zaczęła krwawić, przesączając się przez nogawkę spodni.

Drugi wampir teatralnie wciągnął powietrze, jego wargi rozciągnęły się w złośliwym uśmiešku. - Mimo wszystko, nie jesteś taki nietykalny.

Gideon patrzył jak mężczyzna kręci mieczem opierając jego czubek w wilgotnej ziemi na podjeździe Amelie Dupree.

- Czy ja cię znam?

Wampir zachichotał. - Nikt mnie nie znał. Nie wtedy.

Gideon próbował go zlokalizować, przypomnieć sobie czy ich drogi mogły się kiedyś skrzyżować.

- Nie zauważyłeś mnie. On też ledwie zwracał na mnie uwagę. - W jego głosie pojawił się nie tylko cierpki ton urazy, ale również coś innego. Gorzka, zadawniona udręka. Jestem jego nieuznanym bękartem. Jediną rodziną jaką miał.

Gideon zmrużył oczy patrząc na stojącego naprzeciw niego mężczyznę. - Więc, Hugh Faulkner miał syna?

Szyderczy, wypełniony nienawiścią uśmiech rozciągnął przystojne rysy w brzydki grymas. - Nastoletniego syna, który widział jak jego ojciec ginie z twojej ręki, zarżnięty jak zwykła świnia. Syna, który poprzysiągł go pomścić, chociaż wiedział że nigdy nie byłoby dla niego miejsca w jego życiu.

Bękart Hugh Faulknera uśmiechał się teraz prawdziwym uśmiechem. - Syn, który zdecydował, że również odbierze zabójcy ojca jego jedynych krewnych.

Gideon najeżył się, furia zagotowała się w jego żyłach. - Moi bracia byli jedynie niewinnymi dziećmi. Zorganizowałeś trzech Szkarłatnych by przyszli i ich zamordowali?

- Myślałem, że to wystarczy - odpowiedział obojętnie. - Myślałem, że to wyrówna nasze rachunki. I przez długi czas tak było. Nawet kiedy przybyłem do Ameryki, by rozpocząć nowe życie pod innym nazwiskiem. Nazwiskiem, które uczyniłem prestiżowym, godnym szacunku: Cyril Smithson.

Gideon mgliście przypominał sobie to nazwisko przewijające się wśród elity Mrocznych Przystani. Bogate, społecznie ważne nazwisko. Które mogło stracić swój prestiż w cywilnych kręgach Rasy, jeśli pogłoski o haniebnej, morderczej przeszłości jego patriarchy wypłynęłyby na światło dzienne.

- Sądziłem, że pozbawienie cię ostatnich żyjących krewnych wystarczy, nawet wtedy, kiedy znalazłem się w Bostonie i obserwowałem, jak przeprowadzałeś wasze misje jako jeden z Zakonu – ciągnął dalej Smithson. - Ale wtedy moja uszczęśliwiająca innych na siłę Dawczyni Życia, głupio ofiarowała niektóre z moich osobistych przedmiotów na rzecz uniwersytetu, w tym miecz mojego ojca. Gdy poszedłem go odzyskać, zastałem Keatona w jego biurze. Posuwał jakąś młodą zdzirę. Zobaczyła mnie i zaczęła wrzeszczeć.

Mężczyzna Rasy zamlaskał z dezaprobatą. - Więc, jak można mnie obwiniać o to, co stało się potem. Dziewczyna zobaczyła moje kły, moje oczy.

- Dlatego ją też zabiłeś - powiedział Gideon.

Smithson wruszył ramionami. - Musiała zostać usunięta. Jak również jej obecna tu współlokatorka.

Gideon podążył za spojrzeniem wampira skierowanym na Savannah. Ciężko oddychała z powodu przeżywanego stresu, ze strachu jej pierś unosiła się i opadała gwałtownie. Wzrok miała utkwiony Gideonie, jej oczy błagały, modliły się o cud.

Smithson leniwie obrócił miecz w palcach. - Nigdy nie powinien był opuścić mojej posiadłości, po tym jak przynieśli mi go Szkarłatni, splamionego krwią twoich braci. Nigdy nie powinieneś poznać prawdy o tym, co wydarzyło się tamtej nocy. Jednak skoro wiesz... to cóż, przypuszczam, że wszystko zatoczyło krąg i wróciło do początku, nieprawdaż?

Wampir uniósł miecz, jakby wypróbując jego wagę. - Nigdy nie byłem zbyt dobrym szermierzem. To prymitywna broń, naprawdę. Ale skuteczna.

- Czego chcesz, Smithson? Pojedynku na śmierć i życie, tu i teraz?

- Tak - wampir wytrzymał kpiące spojrzenie Gideona rzucone mu przez podwórko.

- Tak. To jest dokładnie to, czego chcę. Ale nie, nie zlekceważę cię, jak uczynił to mój ojciec.

Rzucił spojrzenie swojemu Sługusowi. Rozległy się dwa strzały, jeden po drugim, kule przeszły obydwie ramiona Gideona.

Savannah krzyknęła. Zaczęła walczyć, żeby wyrwać się z uścisku trzymającego ją mężczyzny, z jej oczu płynęły łzy, kiedy patrzyła na Gideona i lufę pistoletu Sługusa powracającą do jej skroni.

Ledwie poczuł ból z powodu nowych ran. Cała jego uwaga skupiona była na niej i jej dzikim, zrozpaczonym spojrzeniu. Lekko skinął do niej głową, wydając milczące polecenie, żeby nie robiła niczego, co mogłoby narazić na szwank jej życie.

- To powinno wyrównać szanse - podsumował Smithson, podczas gdy echo wystrzałów ciągle jeszcze rozbrzmiewało na bagnach. - Po namyśle, chyba się jednak zdecyduję na małą przewagę.

- Tym razem w brzuch - rzucił swojemu Niewolnikowi.

Ręka Sługusa zaczęła oddalać się od głowy Savannah. Gideon zobaczył to w dręcząco- zwolnionym tempie... każde drgnięcie mięśnia, kiedy nadgarstek człowieka na polecenie jego Mistrza zaczął się skręcać, żeby namierzyć w nowy cel.

Savannah, nie!

Gideon nie miał nawet czasu by przenieść te słowa na język. Dziewczyna skorzystała z okazji by nieco się przesunąć, a kiedy uwaga Sługusa skierowała się gdzie indziej, Savannah podbiła ramię człowieka dokładnie w chwili, gdy ten pociągnął za spust. Kula poszła w górę, pomiędzy korony drzew, a Savannah wyrwała się z uścisku Sługusa.

- Zabij ją - rozkazał Smithson.

I w tym strasznym momencie, z broni Sługusa padł drugi strzał. Pocisk trafił ją w plecy i jak śmiertelna pięść powalił na ziemię.

Amelie krzyknęła i zbiegła z ganku by podbiec do leżącej siostry.

Gideon ryknął. Przerazenie i wściekłość wypełniły mu żyły, zimne, mroczne i piekące. - Nie! - zawył, dręczony bólem jakiego jeszcze nigdy nie zaznał. - Nie!

Skoczył na Smithsona i gwałtownie przewrócił go na ziemię. Walił w niego pięściami. Wampiry zaczęły turlać się i szamotać po mokrej trawie w brutalnej walce.

Gideon niejasno zdawał sobie sprawę ze Sługusa biegnącego w ich kierunku, lufa jego pistoletu skierowana była w dół, na nich, jednak bał się przypadkowo postrzelić swojego stwórcę.

Gideon zignorował groźbę i kontynuował okładanie Smithsona. Szarpali się nawzajem, zmagali ze sobą, zgrzytały zęby i kły. Furia Gideon była głodną bestią, czekającą na okazję żeby zadać ostateczny cios. Gdy Smithson obrócił głowę, by sięgnąć po swoje upuszczone ostrze, Gideon skoczył na niego ze śmiertelną celnością. Złapał gardło mężczyzny zębami i kłami, zatapiając je głęboko. Brutalnie wgrzyzł się w szyję Smithsona, rozdzierając mu krtań jednym, okrutnym szarpnięciem.

Smithson wyprężył się i zatrzęsł w agonii, krew tryskała wszędzie.

Jego Sługus stał w pełnym szoku milczeniu, to krótkie wahanie było wystarczające, żeby Gideon jednym celnym ciosem zdołał zakończyć egzystencję ich obu, niewolnika umysłu i jego pana.

Podniósł miecz Faulknera i wbił go w klatkę piersiową Smithsona. Wampir zadygotał i wytrzeszczył oczy.

Gideon usłyszał kolejny strzał i poczuł jak coś nagle uderzyło w bok jego czaszki, po czym wzrok zamgliła mu czerwień. Krew. Jego krew, zalewała mu czy z otworu po ostatniej kuli wystrzelonej przez Sługusa.

Klatka piersiowa Smithsona szarpnęła się w mokrym, bulgoczącym oddechu, gdy śmierć zabrała go do siebie. W tej samej chwili jego Sługus padł martwy na ziemię, życie niewolnika umysłu było nierozzerwalnie związane z jego Mistrzem.

- Savannah.

Gideon dowlókl się do miejsca, gdzie pochylała się nad nią Amelie. Savannah nie poruszała się. Jej plecy były pokryte krwią. Rana postrzałowa w okolicy żeber wyglądała jak ciemna dziura wypalona w jej jasnoszarym swetrze.

- Ona umiera! - załkała Amelie, nie patrząc na niego, całkowicie skupiona na siostrze. Głaskała Savannah drżącymi rękami, na twarzy miała wyraz głębokiej rozpacz. - Obiecałeś ją ocalić. Przysiągłeś na własne życie.

- Odsuń się - wychrypiał, jego głos był niesamowity, zniekształcony z powodu ran, cierpienia i wysuwających się kłków, które wypełniały mu usta. - Pozwól mi jej pomóc.

Dopiero wtedy Amelie odwróciła się, żeby na niego spojrzeć. Zakrztusiła się gwałtownym oddechem i odskoczyła. Zaczęła się cofać przyciągając Savannah do siebie obejmowała siostrę jakby myślała, że może ją ochronić przed krwawiącym potworem, tak odrażająco odmiennym od człowieka jakim był zaledwie kilka minut temu.

- ? O mój Boże. Jakiego rodzaju diabelskim nasieniem, jesteś?

- Proszę - wycedził Gideon. Wzrok mu się mącił, a tętno ciężko pulsowało w skroniach, powodując rozdzierający ból czaszki. Musiał działać szybko. Nie było zbyt wiele czasu na to by zrobić to, co konieczne, zanim któreś z nich mogło umrzeć. Sięgnął po rękę Savannah, delikatnie wyłuskał jej bezwładne ciało z objęć Amelie.

- Proszę, to jest jedyny sposób. Zaufaj mi w tym. Pozwól mi ją uratować. - Nie czekał. Nie móc sobie pozwolić nawet na sekundę zwłoki w dostarczeniu Savannah mocy własnej krwi, by uleczyć jej ranę.

Nagryzł swój nadgarstek i trzymał otwartą żyłę ponad jej rozchylonymi ustami.
- Pij - szepnął ochryple. - Proszę dziecinko... pij, zrób to dla mnie.

Grube, czerwone krople kapały do jej rozchylonych ust. Strumień zwiększył prędkość, pulsując z niego za każdym ciężkim uderzeniem jego serca. - Proszę, Savannah. Zrób to. Proszę, przyjmij mój dar. To jest wszystko, co mogę ci teraz dać.

Jej język drgnął nieznacznie, a smukłe gardło poruszyło się przełykając pierwszy łyk z jego żyły. Przełknęła jeszcze raz, potem kolejny. Jej powieki zaczęły się unosić w delikatnej aluzji reakcji, ale wystarczającej, żeby z piersi Gideona wyrwało się westchnienie naglej ulgi

Będzie żyła.

Poczuł to z pewnością, która uczyła go pokory. Jego krew uratowała ją. Żyła, a Smithson był martwy, niezdolny ją skrzywdzić. Gideon dotrzymał swojej obietnicy, mimo wszystko.

Jego wzrok wyblakł do rozmazanej czerni i szarości, a skóra na jego głowie zaczęła drętwieć.

Musiał mocno walczyć, żeby pozostać w pionie, jakby niewidzialne postronki ciągnęły go w dół. Zmagając się by nie poddać się otumaniającym efektom swoich ran, ostrożnie ułożył głowę Savannah na własnym ramieniu, koncentrując się na miarowym rytmie jej ust poruszających się cicho przy jego nadgarstku, pijących z niego, czerpiących uzdrawiającą moc z jego żyły.

Na razie, to mu wystarczyło.

PRZEKŁAD – **Red-Room**

ROZDZIAŁ 16



SAVANNAH ODPOCZYWAŁA W FOTELU, stojącym w sypialni na tyłach domu Amelie, gdy Gideon obudził się po raz pierwszy od czasu postrzelenia.

To było niemal osiemnaście godzin czekania i modlenia się z nadzieją, że jakimś cudem do niej wróci.

Zajmowała się nim najlepiej jak umiała, sama w pełni doszła do siebie po przeżytych horrorze i czuła się silniejsza niż kiedykolwiek w swoim życiu.

Dzięki niemu.

Gdy zaczęły drgać mu powieki, podeszła do jego łóżka. Nachyliła się nad nim, pogłaskała go po twarzy, przyglądała miękkie kosmyki jego blond włosów. Z cichym jękiem przytulił twarz do jej dłoni. Ostrożnie otworzył oczy, mrużąc je w słabym świetle zaciemnionej sypialni. - Gdzie jesteśmy?

- W domu mojej siostry - odpowiedziała łagodnie.

Jego oddech stał się teraz nieco niespokojny. - Jesteśmy sami? Nikt nie wie, że tu jestem?

- Tylko Amelie. Wszystko w porządku, Gideon. Ona wie o tobie. Pomogłam jej zrozumieć czym jesteś. Ona utrzyma nasz sekret.

- Gdzie ona jest?

- W sąsiednim pokoju, ogląda telewizję.

Obrócił twarz w kierunku ściany oddzielającej pokój od korytarza. Savannah domyśliła się, że szuka Amelie używając swojego paranormalnego daru.

- Nie jestem w stanie jej zobaczyć. Mój dar... on nie działa. Odszedł.

Savannah była świadoma jego niepokoju. Jego tętno przyspieszyło. Uniósł dłoń, żeby zasłonić oczy. - Tutaj jest zbyt jasno.

Spojrzała na rolety zasłaniające okna, które zostały opuszczone i blokowały całe popołudniowe światło, ograniczając je do zaledwie szarego półcienia. - Przepraszam. Myślałam, że będzie wystarczająco ciemno dla ciebie.

Podeszła do toaletki i przyniosła parę bardzo ciemnych, przeciwsłonecznych okularów. - Proszę - powiedziała, ostrożnie wsuwając je mu na twarz. - Wypróbuj je.

Otworzył oczy i lekko skinął głową. - Lepiej. Prawdopodobnie nie wyglądam jak Mr. Ameryka, ale...

- Jak dla mnie wyglądasz całkiem nieźle - uśmiechnęła się i usiadła obok niego na łóżku. - Nie byłam pewna czy się jeszcze obudzisz. Nie miałam pojęcia, czy to zadziała.

Kiedy zmarszczył brwi, ciągnęła dalej. - Tamtej nocy, gdy wróciłeś z domu Keatona w takim strasznym stanie, twój przyjaciel z Zakonu powiedział, że potrzebujesz krwi. A Amelie opowiedziała mi, co zrobiłeś dla mnie wczoraj wieczorem, po tym jak zostałam postrzelona. Ocaliłeś mnie swoją krwią, Gideon.

Więc, musiałam spróbować uratować cię moją.

Zdusił przekleństwo - Więź krwi, Savannah... to jest trwałe. Nierozzerwalne. Jest świętą rzeczą. - Jego brwi ściągnęły się jeszcze bardziej. - To nie powinno zdarzyć się w ten sposób.

Usiadła z powrotem, czując ból. Miała uczucie, że popełniła błąd i go rozczarowała.- Przepraszam, jeśli sobie tego nie życzyłeś.

Gideon podniósł się na łóżku i jęknął z bólu. - Ostrożnie - powiedziała, próbując delikatnie położyć go z powrotem. - Nie powinieneś wstawać, a ja nie powinnam mówić rzeczy, które cię martwią. Ty też zostałeś postrzelony wczorajszej nocy. Pocisk, który trafił we mnie ominął moje płuco i żebra, jednak jeden z tych, które zraniły cię...

- Wciąż tkwi w mojej głowie - domyślił się ponuro. - W moim mózgu.

Savannah z powagą skinęła głową. - Amelie chciała zabrać cię do szpitala...

- Nie - powiedział to tak samo stanowczo, jak tamtej nocy, gdy został ranny w Bostonie, kiedy chciała zapewnić mu pomoc medyczną. - Ludzcy lekarze nie mogą mi pomóc, Savannah.

- Wiem - powiedziała. - Więc, zrobiłam jedyną rzecz, jaka przyszła mi do głowy.

Sięgnął i wziął ją za rękę. - Uratowałeś mi życie. - Znowu zaklął, tym razem bardziej dosadnie. - Kiedy zdałem sobie sprawę, że odeszłaś... podczas gdy Mistrz Keatona wciąż gdzieś tam był, obawiałem się, że nie zdążę dotrzeć do ciebie na czas, Savannah.

Usłyszała w jego głosie wściekłość na wroga, którego tak bardzo pragnął wykorzenić i niszczyć, i ze smutkiem pokiwała głową. - Cieszę się, że on nie żyje. Za to, co zrobił Racheli i twoim braciom, a także profesorowi Keatonowi. Za to, co zrobił tobie, Gideonie, jestem szczęśliwa, że Smithson nie żyje. Cieszę się, że dostałeś to, po co tu przyszedłeś.

Zmarszczył brwi. - Przyszedłem tu dla ciebie, Savannah. Kocham cię. Ja powinienem był powiedzieć ci to wcześniej. Dziś powinienem powtórzyć ci to tysiąc razy, żebyś nie miała najmniejszych wątpliwości.

Poczuła, jak w jej piersi rozkwita ciepło, sącząc się przez jej żyły. Nie jej własne uczucie, lecz Gideona. Płynące przez ich więź. - Wiem, że to czujesz - powiedział, zaciskając swoją ciepłą dłoń na jej ręce. - I wiem, że teraz możesz poczuć w sobie moją miłość, w twojej krwi. Powiedz mi, że też mnie kochasz, Savannah. Powiedz mi, że pozwolisz mi to udowodnić. Bądź moją partnerką. Wróć ze mną do Bostonu. Pozwól mi spróbować być bohaterem na jakiego zasługujesz.

Wsunęła rękę z jego dłoni i pokręciła głową. - Nie pragnę bohatera.

Pomyślała o tym, że wczoraj o mało nie umarł... w walce. Teraz głęboko w jego mózgu tkwiła kula, kiedyś mogła zacząć się przemieszczać, siejąc więcej spustoszeń, których jej krew nie będzie w stanie naprawić.

Być może ta kula już odebrała mu pewne rzeczy: jego paranormalny dar i jakąś część wzroku. - Nie mogłabym tego znieść - wyszeptała. - Nie byłabym w stanie spokojnie patrzeć, jak co noc wychodzisz na patrol. Nie jestem aż tak silna, by pozwolić ci walczyć, narażać się na zranienie i pogodzić się z tym, że kiedyś mógłbyś nie wrócić z akcji.

Gideon długo milczał z opuszczoną głową. - Zabijałem Szkarłatnych przez większą

część mojego dorosłego życia, starając się zlikwidować ich tylu ilu zdołam. To była pokuta, która nie spełniła swojej roli. Jednak Zakon jest moją rodziną, Savannah. Wojownicy są teraz moimi braćmi, jedynymi jakich kiedykolwiek będę miał. Nie mogę z nich zrezygnować, nawet dla ciebie.

Czując jak pęka jej serce, w milczeniu skinęła głową. Z trudnością wydobyła z siebie głos. - Rozumiem. To nie byłoby w porządku z mojej strony, stawiać cię przed takim wyborem.

Uniósł jej brodę krawędzią swojej dłoni. - Nie robisz tego. Chodziło ci tylko o to bym nie brał udziału w walce. Być może mógłbym spróbować. Być może istnieją inne sposoby.... nie związane z bezpośrednią walką... na jakie mógłbym służyć Zakonowi podczas jego misji, i jednocześnie dotrzymać obietnicy jaką złożyłem tobie... mojej kobiecie. Mojej partnerce. Mojej wiecznej miłości.

Savannah chciała pozwolić porwać się fali radości, ale wciąż niepokoił ją sposób w jaki potraktował ją w Bostonie. - Zraniłeś mnie, Gideonie. Nie byłeś ze mną szczery, a bez tego nie możemy zacząć budować naszej przyszłości.

- Wiem - pogłaskał ją po policzku. - Wiem i przepraszam. Pozwól mi to naprawić. Pozwól mi cię kochać. - Objął ją za szyję swoją potężną dłonią i przyciągnął do siebie by złożyć na jej ustach delikatny pocałunek. - Powiedz, że mnie kochasz i pozwól mi stać się dla ciebie takim mężczyzną, jakiego pragniesz.

Westchnęła, niezdolna by mu się oprzeć, ani go odepchnąć. - Kocham cię, Gideonie.

- Więc pozwól mi związać się z tobą tak, jak na to zasługujesz, jak oboje na to zasługujemy. Bądź moja, Savannah.

- Dobrze - szepnęła przy jego ustach. - Dobrze, Gideonie. Zostanę twoją partnerką.

Przytulił ją do siebie, pozwalając jej poczuć swoje pobudzenie. - Zróbmy to... teraz.

Sięgnęła i palcem wskazującym zsunęła mu śmieszne okulary na czubek nosa.

Bursztynowe iskry wystrzeliły z jasnego błękitu jego oczu. - Zaledwie kilka godzin temu uciekłeś kostusze spod kosy, i chcesz się kochać?

Zachichotał - Och, chcę zrobić coś więcej.

- Moja siostra jest w sąsiednim pokoju - przypomniała mu szeptem z nieco zgorszonym wyrazem twarzy.

Gideon skupił się na moment, który wystarczył by pod wpływem jego sugestii drzwi do sypialni cicho się zamknęły, a zamek zatrzasnął się z delikatnym szczękiem. Pocałował ją, po czym wytyczył wargami wilgotną ścieżkę na boku jej szyi. Tętno Savannah zabiło mocniej w odpowiedzi na subtelny nacisk końcówek kłów w miejscu gdzie uderzał jej puls.

Wciągnął ją na siebie i przetoczył się na nią, przyciskając swoją napiętą erekcją do jej biodra, nie kryjąc swojego pożądanego. - Jesteś bardzo niegrzeczny - powiedziała, gdy przywarł ustami do jej tętnicy szyjnej.

A wtedy poczuła jak łagodnie i zmysłowo, te ostre jak brzytwa końcówki przebiły jej delikatną skórę. Jej żyły zapłonęły jakby przebiegł przez nie impuls czystej mocy, kiedy Gideon pociągnął z niej pierwszy głęboki łyk.

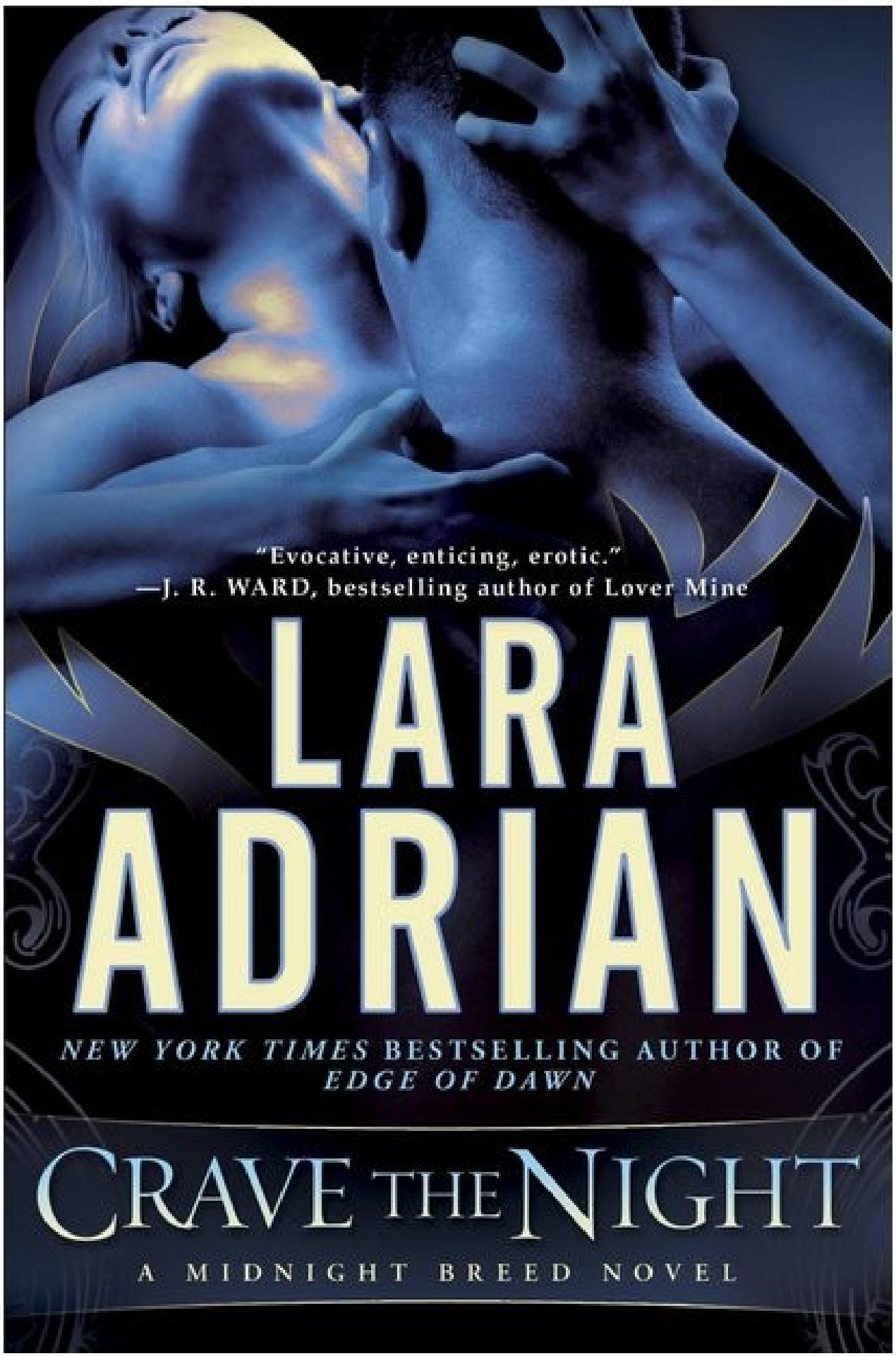
- O Boże wysapała – gdy zalała ją zniewalająca rozkosz. - Jesteś strasznie niegrzeczny. To jest słodkie piekło.

A kiedy jej ciało roztopiało się z przyjemności. - Pomyślała, że jej życie z Gideonem będzie czymś bardzo dobrym, czymś wręcz cudownym.

KONIEC

To już koniec, a może dopiero początek historii Gideona i Savannah. Mam nadzieję że się wam podobała. Czytając kolejne powieści tej serii często zastanawiałam się w jaki sposób poznała się ta para. Jestem wdzięczna autorce, że poświęciła im trochę czasu i napisała tą nowelę. Mam nadzieję, że czytanie o ich losach sprawiło wam trochę radości. Zainteresowanych tą serią informuję, że już niedługo pojawi się kolejna powieść pani Adrian, którą również mam zamiar dla was przełożyć. Pozdrawiam wszystkie chomiki, a szczególnie te, które dopingowały mnie swoimi komentarzami. Buziaki dla wszystkich, Gosia.

Już wkrótce....



"Evocative, enticing, erotic."
—J. R. WARD, bestselling author of *Love Mine*

LARA ADRIAN

NEW YORK TIMES BESTSELLING AUTHOR OF
EDGE OF DAWN

CRAVE THE NIGHT

A MIDNIGHT BREED NOVEL

Urodzony i wychowany by być pozbawioną emocji maszyną do zabijania, Nathan jest jednym ze najbardziej śmiertelnych wampirów w całej historii Rasy. Ceniony członek Zakonu... elitarnej grupy wojowników odpowiedzialnej za ochronę zarówno śmiertelników jak i wampirów... wykonuje każdą misję z zegarmistrzowską precyzją i całkowitym brakiem litości.

Teraz musi on ścigać potężnego, ukrytego się wroga. Ale żelazna dyscyplina Nathana i jego wyszkolenie nie są w stanie wygrać z gwałtownym przyciąganiem, jakie czuje do młodej kobiety, której nie ma prawa pożądać... kobiety bogatej, o wysokiej pozycji społecznej, która już dawno została przyobiecana innemu mężczyźnie Rasy, i może okazać się również kluczem do wytropienia nieuchwytej zdobyczy Nathana.

Jordana wie o złocie życia w Bostonie, jako członkini znaczącej i szanowanej rodziny Rasy. Otoczona luksusem i tłoczącym się wokół niej wianuszkami wielbicieli, Jordana nie pragnie niczego więcej... dopóki jej ścieżka nie skrzyżuje się z mrocznym, pełnym mocy wojownikiem Zakonu i zostaje dosłownie zamroczona impulsywnym, pełnym żaru pocałunkiem, którego żadne z nich nie może zapomnieć. Mimo, że bardzo próbuje zaprzeczać swojemu głębokiemu uczuciu do Nathana, nie może oprzeć się pragnieniu by być przy nim jak najbliżej, przedrzeć się przez jego mury obronne i poznać mężczyznę jakim jest on naprawdę. Ale będąc blisko Nathana zostaje zepchnięta do zdradliwego, nowego świata i zmuszona do zaryzykowania wszystkiego, co posiada, oraz wie o sobie i swojej przeszłości. A pragnienie pokochania tego mrocznie pociągającego mężczyzny może okazać się najniebezpieczniejszą pokusą....

